

AGATHA CHRISTIE

# DOM PRZESTĘPCÓW

(Przełożyła Anna Polak)

## 1.

Sophię Leonides poznałem pod koniec wojny w Egipcie. Zajmowała tam wysokie stanowisko administracyjne w departamencie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Po raz pierwszy spotkaliśmy się na gruncie służbowym i już wkrótce zacząłem podziwiać zdolności, dzięki którym zdobyła taką pozycję, mimo swej młodości (miała wtedy dwadzieścia dwa lata).

Poza tym, że była wyjątkowo ładna, była też inteligentna, i miała humor, co mnie oczarowało. Staliśmy się przyjaciółmi. Była osobą, z którą rozmawiało się wyjątkowo łatwo, toteż nasze wspólne kolacje i okazjonalne tańce sprawiały mi wiele radości.

To wszystko wiedziałem, ale dopiero po zakończeniu wojny w Europie, kiedy dostałem służbowy przydział na Wschód dowiedziałem się jeszcze czegoś - że kocham Sophię i chcę się z nią ożenić.

Odkrycia tego dokonałem w czasie pożegnalnej kolacji, na którą zaprosiłem Sophię do Sheparda. Nie był to dla mnie szok, a raczej uświadomienie sobie faktu, o którym wiedziałem już od dawna. Popatrzyłem na nią nowymi oczyma, ale zobaczyłem to co zawsze. I wszystko mi się podobało. Ciemne kędzierzawe włosy, opadające na jej dumne czoło, żywe niebieskie oczy, prosty nos i mały kwadratowy podbródek, znamionujący konsekwencję i nieugiętość. Podobał mi się jej dobrze skrojony szary kostium i biała bluzka. Wyglądała jak prawdziwa Angielka, co po trzech latach pobytu na obczyźnie robiło na mnie szczególne wrażenie. Kiedy jednak przyjrzałem się jej uważnie, zacząłem się zastanawiać, czy naprawdę jest ona tak angielska, jak wygląda. Czy realna rzecz może mieć perfekcję scenicznego przedstawienia? Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że chociaż dużo i swobodnie rozmawialiśmy z sobą, dyskutując o naszych poglądach, gustach, przyszłości i bliskich znajomych, to jednak Sophia ani razu nie wspomniała o swoim domu i rodzinie. Wiedziała wszystko o mnie (była dobrym słuchaczem), ale ja nie wiedziałem o niej prawie nic. Podejrzywałem, że pochodzi ze zwyczajnej rodziny, ale nigdy o tym nie mówiła.

Widząc, że coś mnie trapi, zapytała, o czym myślę.

Odpowiedziałem zgodnie z prawdą:

- O tobie.

- Rozumiem - odparła i zabrzmiało to tak, jakby rzeczywiście rozumiała.

- Mmożemy się nie spotkać przez kilka najbliższych lat – powiedziałem - Nie wiem, kiedy wrócę do Anglii. Ale gdy to nastąpi, pierwszą rzeczą, jaką zrobię, będzie poproszenie cię o rękę.

Przyjęła to bez mrugnięcia powieką. Siedziała i paliła spokojnie papierosa, nie patrząc

na mnie.

Przez obawiałem się, że mogła mnie nie zrozumieć.

- Posłuchaj – powiedziałem - Jedyną rzeczą, jakiej jestem zdecydowany nie robić, to poprosić cię o rękę teraz. To by się nie powiodło. Po pierwsze mogłabyś dać mi kosza, a wtedy czułbym się bardzo nieszczęśliwy i prawdopodobnie związałbym się z jakąś okropną kobietą, by ukoić zranioną próżność. A jeżeli byś mnie przyjęła, co moglibyśmy zrobić? Pobrać się i od razu rozdzielić? Zareczyć się na nie wiadomo jak długo? Bardzo bym tego nie chciał. Mogłabyś spotkać kogoś i czuć się zobowiązana do „lojalności” względem mnie. Żyjemy w dziwnej, chaotycznej atmosferze, pełnej napięcia i pośpiechu, a to prowokuje do nierozważnych decyzji, których możemy później żałować. Chcę, żebyś wróciła do domu, wolna i niezależna, rozejrzała się w powojennym świecie i zdecydowała, czego naprawdę pragniesz. To, co jest między nami, musi być trwałe. Inny rodzaj małżeństwa nie ma sensu.

- Zgadza się - odparła Sophia.

- Z drugiej jednak strony - powiedziałem - myślę, że mam chyba prawo wyznać ci... cóż... co czuję.

- Ale bez nadmiernego liryzmu - wymruczała Sophia.

- Kochanie... nie rozumiesz? Próbuję, nie powiedzieć ci, że cię kocham...

Sophia powstrzymała mnie.

- Rozumiem, Charlesie. I podoba mi się twój zabawny sposób myślenia. W każdym razie, kiedy tylko wrócisz, możesz spotkać się ze mną... jeżeli oczywiście nadal będziesz chciał...

Teraz ja z kolei musiałem jej przerwać.

- Co do tego nie ma wątpliwości - stwierdziłem.

- Zawsze są wątpliwości co do wszystkiego, Charlesie. Zawsze może zadziałać nie dający się przewidzieć czynnik. Na przykład nie wiesz o mnie zbyt wiele, prawda?

- Nie wiem nawet, gdzie mieszkasz w Anglii.

- W Swinly Dean.

Kiwnąłem głową, kiedy wymieniła dobrze znane mi przedmieście Londynu, które szczyci się trzema doskonałymi polami golfowymi dla wielkiej finansjery.

- *W małym przestępczym domu...* - dodała cicho zadumany głosem.

Musiałem wyglądać na zaskoczonego, bo rozbawiona rozwinęła ten cytat.

- „*I wszyscy żyli razem w małym, przestępczym domu*”. To my. Chociaż dom wcale nie jest mały. Ale zdecydowanie przestępczy.

- Masz dużą rodzinę? Braci, siostry?

- Jednego brata, jedną siostrę, matkę, ojca, wuja, ciotkę, dziadka, jego drugą żonę i cioteczną babkę.

- Dobry Boże! - wykrzyknąłem lekko przytłoczony.

Roześmiała się.

- Oczywiście, normalnie nie mieszkamy razem. Wojna i naloty doprowadziły do tego... ale nie wiem... - Zamyślona zmarszczyła brwi. - Możliwe, że duchowo rodzina zawsze żyła razem... pod okiem i protekcją dziadka. Ten mój dziadek to niezwykła persona. Ma powyżej osiemdziesiątki, około metra pięćdziesięciu wzrostu i każdy wypada przy nim blade.

- To brzmi interesująco - zauważyłem.

- On jest interesujący. To Grek ze Smyrny. Aristide Leonides.

Po chwili dodała z błyskiem w oku:

- Jest niezwykle bogaty.

- Czy ktokolwiek będzie teraz bogaty?

- Mój dziadek będzie - odparła z pewnością w głosie. - Żadne tam „topienie bogatych” nie odniesie w jego przypadku skutku. Utopi topiących. Zastanawiam się, czy go polubisz?

- A ty? Lubisz go? - zapytałem.

- Bardziej niż ktokolwiek na świecie.

## 2.

Do Anglii wróciłem dopiero po dwóch latach. Nie były to lata łatwe. Pisałem do Sophii i często otrzymywałem od niej wiadomości, nie były to jednak wyznania miłosne, lecz zwykajnie listy, pisane przez bliskich przyjaciół - zawierały w sobie myśli i komentarze do zdarzeń codziennego życia. A mimo to wiedziałem, że nasze wzajemne uczucia umocniły się.

Przybyłem do Londynu pewnego szarego dnia we wrześniu. Liście na drzewach były złote. Buszował w nich wiatr. Prosto z lotniska wysłałem telegram do Sophii:

*Właśnie wróciłem. Czy zjesz ze mną kolację w „Mario” o dziewiątej? Charles.*

Kilka godzin później, przeglądając „Timesa”, w rubryce „Narodziny, Śluby, Zgony” natknąłem się na nazwisko Leonides.

„19 września w Trzech Szczytach (Swinly Dean) zmarł w osiemdziesiątym ósmym roku życia Aristide Leonides, ukochany mąż Brendy Leonides”.

Nieco niżej zamieszczone było drugie zawiadomienie:

„LEONIDES - 19 września zmarł nagle w swej rezydencji w Swinly Dean Aristide Leonides - ukochany ojciec i dziadek. Pozostawił pogrążone w żałobie kochające dzieci i wnuki. Kwiaty prosimy przysyłać do kościoła Świętego Eldreda w Swinly Dean”.

Uznałem te dwa zawiadomienia za dziwne. „Widocznie personel gazety pomylił się i stąd ta powtórka” - pomyślałem. Ale moją główną troską była Sophia. Pośpiesznie wysłałem jej drugi telegram.

*Właśnie dowiedziałem się o śmierci twojego dziadka. Bardzo mi przykro. Daj znać, kiedy będziesz mogła się ze mną zobaczyć, Charles.*

Około szóstej otrzymałem telegraficzną odpowiedź:

*Będę w „Mari” o dziewiątej, Sophia.*

Myśl o ponownym spotkaniu z Sophią sprawiła, że nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Byłem zdenerwowany i podekscytowany. Czas włókł się niemiłosiernie.

Przybyłem do „Mario” dwadzieścia minut przed czasem. Sophia spóźniła się tylko pięć minut.

Zawsze ogromnym przeżyciem jest spotkanie z kimś, kogo nie widziało się przez długi czas, ale kto był wciąż obecny w naszych myślach w tym okresie. Kiedy w końcu Sophia przeszła przez wahadłowe drzwi, nasze spotkanie wydało mi się zupełnie nierealne. Była ubrana na czarno i to w jakiś dziwny sposób zaszokowało mnie. Większość kobiet była ubrana na czarno, ale kolor ten zawsze kojarzył mi się z żałobą i byłem wyraźnie zaskoczony, że to właśnie Sophia jest osobą, która nosi żałobę...

Wypiliśmy koktajle, a potem znaleźliśmy stół. Początkowo rozmowa nie kleiła się. Mówiliśmy o wszystkim i o niczym. Była to sztuczna konwersacja, ale ośmieliła nas trochę do siebie. Wyraziłem ubolewanie z powodu śmierci jej dziadka, a Sophia powiedziała cicho, że było to „bardzo nagłe”. Potem ponownie wróciliśmy do wspomnień. Wyraźnie czułem, że coś jest nie tak... coś poza naturalnym zażenowaniem po długiej rozłące. Coś było nie w porządku z samą Sophią. Czy zamierza mi powiedzieć, że znalazła sobie innego mężczyznę, na którym zależy jej bardziej niż na mnie? Czy jej uczucie do mnie było pomyłką?

Wyczuwałem jednak instynktownie, że to nie to... Ciągnęliśmy nadal tę sztuczną rozmowę aż do momentu, gdy kelner podał nam kawę i oddalił się z ukłonem. Nagle wszystkie obawy zniknęły. Poczuliśmy się tak jak za dawnych czasów. Lata rozłąki przestały się liczyć.

- Sophia - powiedziałem.

A ona natychmiast odpowiedziała:

- Charlesie!

Odetchnąłem z ulgą.

- Dzięki Bogu, skończyło się - westchnąłem. - Co się z nami działo?

- Prawdopodobnie to moja wina. Byłam głupia.

- Ale już w porządku?

- Tak, wszystko w porządku.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Więc kiedy wyjdiesz za mnie? - zapytałem.

Jej uśmiech zamarł. To coś, cokolwiek to było, powróciło.

- Nie wiem - powiedziała. - Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek będę mogła za ciebie wyjść.

- Ależ, Sophio! Dlaczego nie? Czy dlatego, że czujesz, iż jestem obcy? Chcesz czasu, by do mnie ponownie przywyknąć? Czy jest ktoś inny? Nie... - przerwałem. - Jestem głupcem. To nic z tych rzeczy.

- Nie. - Potrząsnęła głową.

Czekałem.

- To śmierć mojego dziadka - powiedziała cicho.

- Śmierć twojego dziadka? Ale dlaczego? Co to ma za związek z nami? Czy chodzi ci... o pieniądze? Nie zostawił wam spadku? Przecież wiesz, że...

- To nie pieniądze. - Uśmiechnęła się przelotnie. - Wiem, że „wziąłbyś mnie nawet w jednej koszuli”, jak to się kiedyś mawiało. Dziadek nigdy w życiu nie utracił pieniędzy.

- Zatem o co chodzi?

- Po prostu o jego śmierć... widzisz Charlesie, ja myślę, że on nie... umarł. Myślę, że go... zamordowano...

Wpatrywałem się w nią zaskoczony.

- Ależ... to zupełnie nieprawdopodobny pomysł. Dlaczego tak myślisz?

- Nie myślałam tak. Ale lekarz od samego początku zachowywał się dziwnie. Nie podpisał świadectwa zgonu. Będzie sekcja zwłok. Jasne, że to podejrzone.

Nie spierałem się z nią. Sophia wie, co mówi, i można polegać na jej konkluzjach. Nadal jednak nie rozumiałem, co to mi wspólnego z naszym małżeństwem.

- Podejrzenia mogą być niesłuszne - powiedziałem. - nawet zakładając, że są słuszne, czy może to mieć wpływ na nas?

- Może. W pewnych okolicznościach. Pracujesz w dyplomacji. Twoi przełożeni dość szczególnie patrzą na żony swoich pracowników. Nie... proszę, nie mów tego, co chcesz powiedzieć. Teoretycznie zgadzam się z nimi. Ale jestem dumna diabelnie dumna. Pragnę, żeby nasze małżeństwo było w porządku. Nie chcę być uważana za osobę, dla której poświęciłeś się z miłości! I, jak mówię, wszystko może być w porządku..

- Sądziś, że lekarz... mógł się pomylić?

- Nawet gdyby się nie pomylił, to nie będzie to miało znaczenia, jeżeli dziadka zabiła właściwa osoba.

- Co masz na myśli?

- Wiem, że powiedziałam coś paskudnego, ale chcę być szczerą.

Ubiegła moje kolejne pytanie.

- Nie, Charlesie, nie zamierzam powiedzieć nic więcej. Prawdopodobnie i tak powiedziałam już za dużo. Ale musiałam tu przyjść i spotkać się z tobą dzisiaj, byś zrozumiał, że nie możemy niczego planować, dopóki to się nie wyjaśni.

- Przynajmniej opowiedz mi wszystko.

Potrząsnęła głową.

- Nie chcę.

- Ale... Sophio...

- Nie, Charlesie. Mój stosunek do sprawy jest zbyt osobisty. A mnie zależy na tym, żebyś ocenił ją obiektywnie, bez jakichkolwiek uprzedzeń.

- Jak mam to zrobić?

Popatrzyła na mnie z dziwnym błyskiem w oczach.

- Dowiesz się od swego ojca.

Po tych słowach poczułem zimny dreszcz. Powiedziałem kiedyś Sophii, że mój ojciec

jest komisarzem w Scotland Yardzie. Czyżby więc...

- Jeat zatem aż tak źle? - zapytałem z niepokojem.

- Chyba tak. Widzisz tego mężczyznę, który siedzi samotnie przy samych drzwiach, tego przypominającego eks-żołnierza?

- Tak

- Był na peronie w Swinly Dean, kiedy wsiadałam do metra.

- Sądzisz, że cię śledzi?

- Tak. Myślę, że wszyscy jesteśmy... jak to się mówi...? pod obserwacją. Powiedziano nam, żebyśmy nie opuszczali domu. Ale musiałam zobaczyć się z tobą. - Wojowniczo wysunęła swój mały kwadratowy podbródek. - Wyszłam przez okno w łazience i sunęłam się po rynnie.

- Ty? Przez okno?

- Tak. Ale policja jest skuteczna. Przechwycili zapewne telegram, który ci wysłałam. Zresztą mniejsza z tym... jesteśmy tu... razem... Ale od tej pory musimy grać na własną rękę.

Po chwili milczenia dodała:

- Niestety... nie ma wątpliwości, co do tego... że się kochamy.

- Żadnej wątpliwości - przyznałem. - I nie mów: „niestety”. Przeżyliśmy wojnę, wielokrotnie uniknęliśmy śmierci i nie rozumiem, dlaczego nagły zgon starego człowieka... Przy okazji, ile miał lat?

- Osiemdziesiąt siedem.

- Oczywiście. Było to w „Timesie”. Uważam, że zmarł ze starości, i każdy rozsądny lekarz potwierdziłby ten fakt.

- Gdybyś znał mojego dziadka - powiedziała Sophia – byłbyś zdumiony, że zmarł od czegokolwiek.



### 3.

Zawsze interesowałem się policyjną pracą ojca, ale nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek może mnie ona dotyczyć osobiście.

Jeszcze nie widziałem się ze Staruszką. Nie było go, kiedy wróciłem, a potem po kąpieli, goleniu i zmianie ubrań wyszedłem na spotkanie z Sophią. Kiedy wróciłem, Glover powiedział mi, że ojciec jest w gabinecie.

Siedział za biurkiem, marszcząc brwi nad stosem papierów. Podskoczył, kiedy wszedłem.

- Charles! Długo się nie widzieliśmy.

Nasze spotkanie po pięciu latach wojny rozczarowałoby Francuza. Ale były w nim wszystkie emocje związane z ponownym połączeniem. Staruszek i ja bardzo się kochaliśmy i doskonale się rozumieliśmy.

- Mam trochę whisky - powiedział. - Przykro mi, że nie zastałeś mnie po przyjeździe. Mam po uszy pracy. Akurat zdarzył się ten piekielny przypadek.

- Aristide Leonides? - zapytałem.

Uniósł brwi. Spojrzał przenikliwie.

- Dlaczego to powiedziałeś, Charlesie? - Jego głos był uprzejmy, ale zimny.

- Zatem mam rację?

- Skąd o tym wiesz?

- Dostałem informację.

Staruszek czekał.

- Moja informacja - dodałem - pochodzi z pierwszej ręki.

- Tak?

- Może ci się to nie spodobać - odparłem. - Poznałem w Kairze Sophię Leonides i zakochałem się w niej. Chcę się z nią ożenić. Spotkałem ją dzisiaj. Jedliśmy razem kolację.

- Jadła z tobą kolację? W Londynie? Zastanawiam się, jak zdołała tego dokonać. Rodzinę poproszono - och, zupełnie uprzejmie - by nikt nie opuszczał domu.

- Wysłała przez okno w łazience i ześlizgnęła się po rynnie.

Wargi Staruszka ułożyły się w przelotny uśmiech.

- Wygląda - powiedział - na pomyslową młodą damę.

- Ale twoja policja jest skuteczna. Jakiś miły mężczyzna o wyglądzie żołnierza śledził ją do „Mario”. Będę zapewne figurował w raportach, które otrzymasz. Metr osiemdziesiąt wzrostu, brązowe oczy, ciemne włosy, granatowy garnitur w prążki itd.

Staruszek popatrzył na mnie twardo.

- Czy to... poważne? - zapytał.

- Tak - odparłem. - To poważne, tato.

Na chwilę zapadła cisza.

- Masz coś przeciwko temu? - zapytałem.

- Nie miałbym nic przeciwko... tydzień temu. To dobrze sytuowana rodzina... dziewczyna będzie miała pieniądze... A poza tym znam cię i wierzę, że nie tracisz łatwo głowy. Cóż, może...

- Tak, tato?

- Może być w porządku, jeżeli...

- Jeżeli co?

- Jeżeli zrobiła to właściwa osoba.

Drugi raz tej nocy usłyszałem to określenie. Zaczyniało mnie ono intrygować.

- Kto jest tą właściwą osobą? - zapytałem.

- Rzucił mi przenikliwe spojrzenie.

- Co wiesz o tej sprawie?

- Nic.

- Nic? - Wyglądał na zaskoczonego. - Czy ta dziewczyna nie opowiedziała ci?

- Nie. Stwierdziła, że lepiej będzie jeśli zobaczą to z własnego punktu widzenia.

- Ciekawe dlaczego?

- Czy to nie jest jasne?

- Nie, Charlesie. Nie sądzę, by było.

Zaczął spacerować po pokoju. Zapalił cygaro, ale po chwili mu zgasło. Widać było, że jest wyraźnie zaniepokojony.

- Co wiesz o rodzinie? - spytał nagle.

- Do diabła! Wiem, że był tam dziadek i mnóstwo krewnych. Nic więcej. Dlatego lepiej będzie, jeśli wprowadzisz mnie w sytuację, tato.

- Dobrze. - Usiadł. - Zatem... zacznę od początku... od Aristide Leonidesa. Przybył do Anglii w wieku lat dwudziestu czterech.

- Grek ze Smyrny.

- Więc jednak coś wiesz?

- Tak, ale nic poza tym.

Drzwi otworzyły się, wszedł Glover i poinformował nas, że przybył inspektor Taverner.

- Niech wejdzie - powiedział ojciec, po czym zwrócił się do mnie: - To bardzo

dobrze się składa. Taverner ci wszystko wyjaśni. On prowadzi tę sprawę. Właśnie sprawdza rodzinę i wie zapewne o nich więcej niż ja.

Zapytałem, czy lokalna policja wezwała Yard.

- To nasza jurysdykcja - odparł ojciec. - Swinly Dean to Londyn.

Skinąłem głową wchodzącemu inspektorowi. Znałem Ta-verniera od lat. Powitał mnie serdecznie i pogratulował powrotu.

- Właśnie wprowadzam Charlesa w sprawę - rzekł Staruszek. - Popraw mnie, gdybym coś podał źle. Leonides przybył do Londynu w 1884 roku. Otworzył małą restaurację w Soho, która przyniosła mu spore zyski. Otworzył więc drugą i wkrótce stał się właścicielem siedmiu czy ośmiu. Wszystkie przynosiły olbrzymie dochody.

- Nigdy nie popełniał błędów w inwestycjach - dodał inspektor Taverner.

- Tak. Miał naturalną smykałkę do interesów – stwierdził ojciec. - W końcu stał za większością znanych restauracji w Londynie. Potem zajął się dostarczaniem żywności na wielką skalę.

- Nie tylko. Prowadził różne interesy - wtrącił Taverner. - Komisy ubrań, sklepy z tanią biżuterią i tym podobne. Oczywiście - dodał zamyślony - zawsze był krętaczem.

- Przestępca? - zapytałem.

Taverner potrząsnął głową.

- Nie. Ocierał się o przestępstwa, ale nie był przestępcą. Nigdy nie robił czegoś, co byłoby niezgodne z prawem. Ale to rodzaj faceta, który wymyśla setki sposobów na obejście prawa. Zarobił grubą forszę nawet podczas ostatniej wojny, choć był już bardzo stary. Wszystko, co robił, było legalne, ale kiedy tylko się wycofywał, natychmiast wkraczało w to prawo. On tymczasem zajmował się już czymś innym.

- Niezbyt atrakcyjny charakter - zauważyłem.

- To zabawne, ale był atrakcyjny. Miał osobowość. Można to było wyczuć. Nieciekawy wygląd. Po prostu gnom... żółty, małeńki facet., ale pociągający. Kobiety go uwielbiały.

- Jego małżeństwo zaskoczyło wszystkich - rzekł ojciec. - Poślubił córkę wpływowego właściciela ziemskiego.

- Pieniądze? - zapytałem.

Staruszek potrząsnął głową.

- Nie. Miłość. Spotkała go, kiedy załatwiał dostawę żywności na ślub jej przyjaciół i zakochała się. Rodzice protestowali, ale ona była uparta. Mówię ci, ten mężczyzna miał urok... było w nim coś egzotycznego i dynamicznego. To do niej przemówiło. Znudziła ją własna sfera.

- Małżeństwo było szczęśliwe?

- To dziwne, ale bardzo. Oczywiście, przyjaciele obojga odsunęli się od nich - były to czasy, kiedy pieniądze nie zatarły jeszcze różnic klasowych - ale nie przejmowali się tym. Żyli bez przyjaciół. Wybudowali ten dziwaczny dom w Swinly Dean. Mieszkali tam i mieli ośmioro dzieci.

- To rzeczywiście kronika rodzinna.

- Stary Leonides mądrze wybrał to miejsce. Swinly Dean dopiero zaczynało być wtedy modne. Nie było tam jeszcze pól golfowych. Społeczność Swinly Dean stanowili rozmiłowani w swoich ogrodach starzy mieszkańcy, którzy polubili panią Leonides i bogaci ludzie z City, którzy chcieli mieć dobre stosunki z Leonidesem. Zatem mogli sobie wybrać znajomych. Byli idealnie szczęśliwi, dopóki ona nie zmarła w 1905 roku na zapalenie płuc.

- Zostawiając go z ośmiorgiem dzieci?

- Jedno umarło jako niemowlę. Dwóch synów zginęło pod czas ostatniej wojny. Jedna córka wyszła za mąż, wyjechała do Australii i zmarła tam. Druga, niezamężna, zginęła w wypadku samochodowym. Kolejna zmarła rok czy dwa lata temu. Zostało dwóch synów: najstarszy - Roger, żonaty, ale bezdzietny, i Philip, który ożenił się ze znaną aktorką i ma troje dzieci. Są to Sophia, Eustace i Josephine.

- I wszyscy mieszkają w... jak się to nazywa...? Trzech Szczytach?

- Tak. Dom Rogera został zbombardowany na początku wojny. Philip z rodziną mieszka tam od 1937 roku. Jest jeszcze panna de Haviland, siostra pierwszej pani Leonides. Zawsze odczuwała niechęć do szwagra, ale po jej śmierci uznała za swój obowiązek wychowanie dzieci.

- Ma silne poczucie obowiązku - dodał inspektor Taverner. - Ale nie jest osobą, która łatwo zmienia opinie o ludziach. Nigdy nie zaakceptowała Leonidesa i jego metod...

- Cóż - odezwał się - wygląda na to, że dom był pełen ludzi. Jak sadzicie, kto go zamordował?

Tavemer potrząsnął głową,

- Założę się, że wiesz, kto to zrobił - nalegałem.

- Za wcześnie - powiedział. - Za wcześnie, by o tym mówić.

- Daj spokój, Tavemer. Nie jesteśmy przecież w sądzie.

- Nie - rzekł Taverner ponuro. - I możemy nigdy nie być.

- Czy to znaczy, że mógł nie zostać zamordowany?

- Och, został zamordowany. Otruty. Ale wiesz, jakie są te sprawy z otruciem. Trudno zdobyć dowody. Bardzo trudno. Poszlaki mogą wskazywać jedną osobę.

- O to mi właśnie chodzi. Wszystko już sobie poukładałeś, prawda?  
- To sprawa niby oczywista. Jedna z tych od razu jasnych. Idealne rozwiązanie. Ale nie wiem. Coś mi tu nie gra.

Popatrzył błagalnie na Staruszkę.

- W sprawach morderstw - rzekł powoli - jak wiesz, Charlesie, zwykle najprostsze rozwiązanie jest właściwe. Stary Leonides ożenił się ponownie dziesięć lat temu.

- Kiedy miał siedemdziesiąt siedem lat?

- Tak. Ona miała wtedy dwadzieścia cztery lata.

Aż gwizdnąłem z wrażenia.

- Co to za kobieta? - zapytałem.

- Młoda kelnerka z herbaciarni. Idealnie zasługująca na szacunek. Przystojna w anemiczny, apatyczny sposób.

- I to ona jest osobą najbardziej podejrzaną?

- Właśnie nad tym musimy się zastanowić - rzekł Taverner. - Ma trzydzieści cztery lata, a to niebezpieczny wiek dla kobiety. Lubi bogate życie. W domu jest młody mężczyzna, nauczyciel wnuków. Nie brał udziału w wojnie - choruje na serce, czy coś w tym rodzaju. Tacy jak on są śliscy jak złodzieje.

Popatrzyłem na niego zadumany. Był to z pewnością znajomy schemat. Sytuacja jakich wiele. A druga pani Leonides, jak podkreślał ojciec, była godna szacunku. W imię szacunku popełniła wiele morderstw.

- Co to było? - zapytałem. - Arszenik?

- Nie. Nie mamy jeszcze wyników analizy, ale lekarz podejrzewa, że to eserina.

- Trochę niezwykle, prawda? Z pewnością łatwo wysledzić nabywcę.

- Nie tym razem. Lek należał do niego - krople do oczu.

- Leonides chorował na cukrzycę - wyjaśnił ojciec. - Brał regularnie zastrzyki insuliny.

Insulina jest sprzedawana w małych buteleczkach z gumową zatyczką. Przebija się igłą tę gumę i naciąga strzykawkę.

Odgadłem resztę.

- I w butelce była nie insulina, ale eserina?

- Dokładnie tak.

- Kto zrobił mu zastrzyk?

- Żona.

Zrozumiałem teraz, co Sophia miała na myśli, mówiąc o „właściwej osobie”.

- Czy rodzina dobrze żyła z drugą panią Leonides? - zapytałem.

- Raczej nie. Sądzę, że ledwie z sobą rozmawiali.

Wszystko wydawało się być proste. A jednak inspektorowi

Tavemerowi nie podobało się to.

- Co ci tu nie gra? - spytałem go.

- Jeżeli morderstwa dokonała Brenda, to łatwo byłoby jej zastąpić tę butelkę prawdziwą fiolką po insulinie. Nie rozumiem więc, dlaczego tego nie zrobiła?

- Tak, to by było logiczne. Miała pod ręką insulinę?

- O tak. Pełne butelki i puste. I gdyby to zrobiła, lekarz niczego by nie zauważył. Niewiele wiadomo o pośmiertnych objawach zatrucia eserina. Ale kiedy sprawdził na wszelki wypadek - mogła być za silna dawka lub coś w tym rodzaju - pozostałe w buteleczkach resztki insuliny, natychmiast odkrył, że nie była to insulina.

- Wygląda więc na to - rzekłem w zadumie - że pani Leonides jest albo bardzo głupia, albo bardzo sprytna.

- Myślisz, że...

- Mogła liczyć na twoją konkluzję, że nikt nie może być tak głupi. Jaka jest alternatywa? Czy są jacyś inni podejrzani?

- Praktycznie każdy z mieszkańców domu mógł to zrobić - odparł cicho ojciec. - Zawsze był tam zapas insuliny, co najmniej na tydzień. Jedna z fiolek mogła zostać napełniona trucizną i włożona między inne. Wiadomo było, że w końcu została użyta.

- I każdy miał do nich dostęp?

- Nie były zamknięte. Trzymano je na specjalnej półce w łazience tuż obok jego sypialni. Każdy mógł tam swobodnie wchodzić.

- A motyw?

Ojciec westchnął.

- Mój drogi Charlesie, Aristide Leonides był niezwykle bogaty. Dał rodzinie dużo pieniędzy, ale może ktoś chciał jeszcze więcej.

- A najbardziej chciała ich pewnie obecna wdowa. Czy jej młody przyjaciel ma pieniądze?

- Nie. Jest biedny jak mysz kościelna

Coś mi błysnęło. Przypomniałem sobie cytat Sophii. I cały dziecinny wierszyk:

*Był sobie raz przestępca, co szedł przestępczą drogą.*

*Znalazł przestępczą monetę, tuż pod swoją nogą.*

*Miał on kota-przestępcę, co złapał mysz po kryjomu.*

*I wszyscy razem żyli w małym, przestępczym domu.*

- Jaka jest pani Leonides? - zapytał Tavernera. – Co o niej sądzisz?

- Trudno powiedzieć - odparł powoli. - Bardzo trudno. Nie jest łatwo ją rozszyfrować. Cicha, zamknięta w sobie, nigdy nie wiadomo, co myśli. Ale lubi bogate życie, to mogę przysiąc. Przypomina mi kota - wielkiego, mruczącego leniwie kota.

Westchnął.

- Potrzebujemy dowodu - powiedział.

„Tak - pomyślałem. - Wszyscy potrzebujemy dowodu na to, że pani Leonides otruła męża. Chce tego Sophia, ja i inspektor Tavemer”.

Wtedy wszystko byłoby w porządku!

Ale Sophia nie była pewna. Ja nie byłem pewien. I sądzę, że inspektor Tavemer też nie był pewien...

#### 4.

Następnego dnia razem z Tavemerem udałem się do Trzech Szczytów.

Moja pozycja w tym wszystkim była co najmniej dziwna. Odbiegała od utartych wzorów. Ale Staruszek nigdy nie lubił szablonów.

Formalnie miałem niby pewne podstawy, by brać udział w śledztwie - pracowałem w jednym z oddziałów Yardu w początkach wojny.

To, oczywiście, była zupełnie inna sprawa, ale wcześniejsza współpraca dawała mi, powiedzmy, oficjalne uprawnienia.

- Jeżeli chcemy rozwikłać tę zagadkę - rzekł ojciec - musimy dotrzeć do wnętrza. Musimy wiedzieć wszystko o ludziach z tego domu. Musimy poznać ich od środka. I ty to dla nas zrobisz.

Nie byłem zachwycony tą misją.

- Mam być policyjnym szpiegiem? - zapytałem. – Mam szpiegować Sophie, którą kocham i która również mnie kocha i ufa mi?

Staruszek zirytował się trochę.

- Wielkie nieba, nie mów mi tu frazesów. Przede wszystkim nie wierzysz chyba, że ta młoda kobieta zamordowała swojego dziadka?

- Oczywiście, że nie. Ten pomysł to absolutny absurd.

- Dobrze, my też nie sądzimy, by to było możliwe. Kilka lat przebywała za granicą. Zawsze była z nim w przyjacielskich stosunkach. Ma niezłe dochody, a dziadek byłby pewnie uradowany jej zaręczynami z tobą i dałby jej sporą sumkę w prezencie ślubnym. Nie podejrzewamy Sophii. Dlaczego mielibyśmy to robić? Ale musisz pamiętać o jednym: jeżeli sprawa nie zostanie wyjaśniona, ta dziewczyna nie poślubi cię. Po tym, co mi powiedziałaś, jestem tego pewien. I weź pod uwagę, że to rodzaj przestępstwa, które może nigdy nie zostać wyjaśnione. Możemy być całkiem pewni, że żona i jej młody przyjaciel działali wspólnie. Ale trzeba to udowodnić. A jeżeli nie będzie rozstrzygającego dowodu, to na zawsze pozostaną wątpliwości. Rozumiesz, prawda?

Tak, rozumiałem.

- Dlaczego nie zostawić tego jej decyzji? - dodał po chwili.

- Chodzi ci o to, by zapytać Sophie, czy ja...

Staruszek kiwnął energicznie głową.

- Właśnie. Nie każę ci iść tam bez poinformowania dziewczyny o swojej roli. Zobaczmy, co ona na to powie.



I tak następnego dnia pojechałem z inspektorem Taverne-rem i sierżantem Lambem do Swinly Dean.

Niedaleko za polem golfowym skręciliśmy w furtkę, która przed wojną musiała być imponującą bramą, ale patriotyzm albo rekwizycje sprawiły, że wrota usunięto. Przejechaliśmy długą aleją wysadzaną rododendronami i dotarliśmy do żwirowego podjazdu przed domem.

Jego widok sprawił mnie w zdumienie. Zastanawiałem się, dlaczego nazywano go „Trzy Szczyty”. Jedenaście Szczytów” byłoby bardziej trafną nazwą! Był to dom w typie willi, i to willi pozbawionej jakichkolwiek proporcji. Wyglądał jak wiejska chatka oglądana przez gigantyczne szkło powiększające. Nachylone belki, na wpoi drewniana obudowa ścian, no i te szczyty - wszystko to powodowało, że ten trochę przekrzywiony dom przypominał potężnego grzyba, który wyrósł po nocnym deszczu.

Zrozumiałem zamysł. Było to wyobrażenie greckiego restauratora o czymś angielskim. Miał to być dom Anglika... dom o rozmiarach zamku! Ciekawe, co sądziła o nim pierwsza pani Leonides. Prawdopodobnie nie konsultowano z nią planów domu. Miała to być zapewne mała niespodzianka ze strony egzotycznego męża. Zastanawiałem się, czy wzdrygnęła się, czy uśmiechnęła. Podobno żyła tu szczęśliwie.

- Przytłaczające, co? - zauważył inspektor Tavemer. - Oczywiście stary dżentelmen nie mało się natrudził. Są tu trzy oddzielne domy z kuchniami, łazienkami itd. Wnętrze jest tip-top, przypomina luksusowy hotel.

We frontowych drzwiach ukazała się Sophia. Była bez kapelusza. Miała na sobie zieloną bluzkę i tweedową spódnice. Na mój widok zatrzymała się jak wryta.

- Co ty tu robisz?! - wykrzyknęła.

- Sophia, muszę z tobą porozmawiać - powiedziałem. - Gdzie moglibyśmy pójść?

Przez chwilę sądziłem, że mi odmówi, ale potem odwróciła się i powiedziała:

- Tędy.

Przeszliśmy przez trawnik. Roztaczał się stamtąd widok na pole golfowe numer 1. Dalej widoczna była kępa sosen, a za nimi zamglony krajobraz.

Sophia zaprowadziła mnie do zaniedbanego skalnego ogródka, gdzie usiedliśmy na stojącej tu drewnianej ławce.

- No i? - zapytała niezbyt zachęcającym tonem.

Ale wysłuchiwała mnie uważnie.

Jej twarz nie wyrażała jednak tego, co myślała. Dopiero później, kiedy skończyłem, wyraźnie ożywiła się.

- Twój ojciec - powiedziała - to mądry człowiek.

- Staruszek ma swoje zalety. Osobiście uważam, że to paskudny pomysł... ale...  
- Och, nie - przerwała mi. - To wcale nie jest paskudny pomysł. Twój ojciec, Charlesie, wie dokładnie, co dzieje się w moim umyśle. Wie lepiej niż ty.

Z nagłą, desperacką gwałtownością wcisnęła jedną zaciśniętą dłoń w drugą.

- Muszę znać prawdę. Muszę wiedzieć.  
- Z powodu naszego związku? Ależ, kochanie...  
- Nie tylko dlatego. Muszę wiedzieć dla własnego spokoju. Widzisz, Charlesie, nie powiedziałam ci tego wczoraj... ale prawda jest taka... że boję się.

- Boisz się?  
- Tak, boję się. Bardzo się boję. Policja, twój ojciec, ty - wszyscy sądzą, że to była Brenda.

- Wszystko na to wskazuje...  
- O tak, to możliwe. Ale kiedy mówię sobie: „Zrobiła to prawdopodobnie Brenda”, czuję, że to tylko pobożne życzenie. Widzisz, ja nie sądzę, by ona to zrobiła

- Dlaczego?  
- Nie wiem. Usłyszałeś o tym od kogoś postronnego, tak jak chciałam. Teraz pokażę ci to od wewnątrz. Po prostu nie wydaje mi się, żeby Brenda była tego typu osobą, która ma ochotę narażać się na jakieś niebezpieczeństwo. Jest na to zbyt ostrożna.

- A ten młody człowiek? Laurence Brown?  
- Laurence to tchórz. Nie miałby do tego nerwów.  
- Zastanawiam się.

Tak, nigdy tak do końca nic nie wiadomo, prawda? Ludzie potrafią zaskakiwać. Wyrabiamy sobie o kimś opinię, a potem okazuje się, że jest ona całkowicie błędna. Nie zawsze... ale czasami. Jednakże Brenda... - potrzęsła głową - nie, to nie mogła być ona, ona zawsze grała zgodnie ze schematem. Nazywano ją typem z haremu. Lubi siedzieć i jeść słodczyce, mieć ładne ubrania i biżuterię, czytać tanie powieści i chodzić do kina. I może to zabrzmiało dziwnie - zważywszy, że dziadek miał osiemdziesiąt siedem lat - ale myślę, iż ona była nim zafascynowana. Naprawdę. Miał w sobie jakąś siłę. Wyobrażam sobie, że kobieta mogła się czuć przy nim... jak królowa... faworyta sultana! Myślę - zawsze tak myślałam - że dzięki niemu Brenda czuła się ekscytująca i romantyczna. Zawsze sprytnie postępował z kobietami... jest to pewien rodzaj sztuki... takiego talentu nie traci się z wiekiem.

Zostawiłem na razie problem Brendy i wróciłem do słów Sophii, które mnie zaniepokoiły.

- Dlaczego powiedziałaś, że się boisz? - zapytałem.

Sophia zadrżała lekko i zacisnęła dłonie.

- Bo to prawda - odparła cicho. - Bardzo ważne, byś to zrozumiał. Widzisz, jesteśmy dziwną rodziną... Jest w nas dużo bezwzględności... różnych rodzajów bezwzględności. To właściwie nie jest niepokojące. Te różne rodzaje.

- Przyznam, że nie bardzo rozumiem.

- Spróbuję ci to wyjaśnić. Na przykład dziadek. Kiedy raz opowiadał nam o swojej młodości na Smyrnie, wspominał, że zasztytował dwóch mężczyzn. Była jakaś bójka... niewybaczalna zniewaga... nie wiem... ale stało się to zupełnie naturalnie. On sam właściwie o tym zapomniał. Ale jednak dziwnie było usłyszeć o tym w Anglii.

Kiwnąłem głową.

- To jeden rodzaj bezwzględności - ciągnęła Sophia. - Potem moja babka. Słabo ją pamiętam, ale wiele o niej słyszałam. Jej zachowanie również cechowała bezwzględność, wynikająca prawdopodobnie z braku wyobraźni. Te wszystkie polowania na lisy! Była niezwykle prostolinijna, ale i pełna arogancji i nie bała się brać odpowiedzialności za życie i śmierć.

- Czy to nie jest zbyt naciągana charakterystyka?

- Tak, to możliwe... ale zawsze bałam się takich typów. Jest w nich uczciwość, ale i bezwzględność. Ot, choćby moja matka... To urocza kobieta, ale zupełnie nie ma wycucia proporcji. A przy tym wyjątkowa egoistka - widzi wszystko pod kątem związków z nią samą, nie zdając sobie jednocześnie sprawy z własnego egoizmu. To dość przerażające, nie sądzisz? Dalej Clemency, żona wuja Rogera. To kobieta-naukowiec, prowadzi jakieś ważne badania. Jest też bezwzględna w zimny, nieludzki sposób. Wuj Roger stanowi jej przeciwieństwo. Jest najbardziej uroczym i serdecznym człowiekiem na świecie, ale ma straszny temperament. Kiedy coś go doprowadzi do szału, nie wie, co robi. I wreszcie ojciec... Zrobiła długą pauzę.

- Ojciec - rzekła powoli - kontroluje się aż za dobrze. Nigdy nie wiadomo, co myśli. Nigdy nie okazuje emocji. Prawdopodobnie jest to podświadoma samoobrona przed szaleństwami emocjonalnymi matki, ale czasami... to mnie trochę niepokoi.

Moja droga - powiedziałem - właściwie to każdy jest zdolny do morderstwa.

- Przypuszczam, że to prawda. Nawet ja.

- Ty nie!

- Och tak, Charlesie, nie jestem wyjątkiem. Przypuszczam, że mogłabym zamordować... - Milczała przez chwilę, po czym dodała: - Ale musiałoby to być naprawdę tego warte!

Roześmiałem się. Nie mogłem się powstrzymać. Sophia również uśmiechnęła się.

- Może jestem głupia - powiedziała - ale odkryjemy prawdę o śmierci dziadka.  
Musimy. Gdyby to tylko była Brenda...

Nagle zrobiło mi się żal Brendy Leonides.

## 5.

Na wąskiej ścieżce wiodącej do skalnego ogródka ukazała się wysoka postać, zdążająca w naszą stronę. Miała na głowie sponiewierany filcowy kapelusz, starą spódnicę i raczej niewygodny pulower.

- Ciocia Edith - szepnęła Sophia.

Postać przystanęła raz czy dwa, schylając się nad rabatkami, po czym energicznym krokiem zbliżyła się do nas. Wstałem.

- To Charles Hayward, ciociu Edith. Moja ciocia, panna de Haviland.

Edith de Haviland była kobietą około siedemdziesięcioletnią. Miała masę szarych, rozczochranych włosów, ogorzałą twarz i przenikliwe, badawcze oczy.

- Miło mi - powiedziała. - Słyszałam o tobie. Wróciłeś ze Wschodu. Jak tam twój ojciec?

Zaskoczony odparłem, że miewa się dobrze.

- Znałam go, kiedy był chłopcem - wyjaśniła panna de Haviland. - Znałam też jego matkę. Jesteś do niej podobny. Przyszedłeś, by nam pomóc... czy po coś innego?

- Mam nadzieję, że pomogę - odparłem zażenowany.

Kiwnęła głową.

- Potrzebna nam pomoc. Wszędzie roi się od policji. Wyskakują na człowieka z każdej strony. Niektórzy mi się wcale nie podobają. Chłopiec z uczciwej szkoły nie powinien iść do policji. Któregoś dnia widziałam absolwenta Moyra Kinoul, który kierował ruchem ulicznym przy Marble Arch. Doprawdy nie wiedziałam, gdzie jestem!

Odwróciła się do Sophii.

- Szuka cię niania. Ryba.

- Kolejny kłopot - powiedziała Sophia. - Pójdę i zadzwonię w tej sprawie.

Energicznie ruszyła w stronę domu. Panna de Haviland podążała powoli w tym samym kierunku. Dostosowałem się do jej kroków.

- Nie wiem, co byśmy zrobili bez kogoś takiego jak niania - powiedziała. - Prawie wszyscy mają swoje stare nianie. One piorą, prasują, gotują i sprzątają. Są wierne. Naszą wybrałam sama... całe lata temu.

Zatrzymała się i wyrwała zaplątaną nić zieleni.

- Paskudztwo... powój! Najgorszy chwast! Płacze się, wije... nie można się go pozbyć.

Ze złością rozgniotła garść zieleni obcasem.

- To brzydka sprawa, Charlesie Haywardzie - powiedziała, wskazując głową na dom. -

Co sądzi policja? Przypuszczam, że nie wolno mi o to pytać. Dziwne, że Aristide otruto. W ogóle dziwne, że nie żyje. Nigdy go nie lubiłam. Nigdy! Ale nie mogę oswoić się z myślą o jego śmierci... Dom bez niego jest taki... pusty.

Milczałam. Pomimo lakonicznego sposobu mówienia Edith de Haviland była w nastroju do wspomnień.

- Myślałam dziś rano... żyję tu już bardzo długo. Ponad czterdzieści lat. Przyszłam po śmierci siostry. On mnie poprosił. Siedmioro dzieci, a najmłodsze miało zaledwie rok... Nie mogłam pozwolić, żeby wychował je cudzoziemiec, prawda? To było niedopuszczalne małżeństwo. Zawsze czułam, że Marcia musiała być... zaczarowana. Brzydki, pospolity, mały obcokrajowiec. Chociaż gdy chodzi o dzieci, to muszę przyznać, że dał mi wolną rękę. Opiekunki, guwernantki, szkoła. I właściwe jedzenie... nie ten dziwny, ostro przyprawiany ryż, który on jadał.

- I mieszka tu pani do tej pory? - wymruczałam.

- Tak. Trochę to dziwne... Mogłam odejść, kiedy dzieci dorosły i pożeniły się... chyba zainteresowałam się ogrodem. No i był Philip. Kiedy mężczyzna żeni się z aktorką, nie ma życia rodzinnego. Nie wiem, po co aktorki rodzą dzieci. Kiedy tylko małżeństwo przychodzi na świat, zostawiają je i pędzą jak szalone, by grać w takim na przykład Edynburgu lub jakimś innym odległym miejscu. Philip zrobił rozsądną rzecz. Przeniósł się tutaj ze swoimi książkami.

- Co robi Philip Leonides?

- Píše książki. Też nie wiem, po co, bo nikt nie chce ich czytać. Wszystkie dotyczą niejasnych szczegółów historycznych. Nigdy o nich nie słyszałeś, prawda?

Przyznałam to.

- Zbyt wiele pieniędzy, oto w czym problem - rzekła panna de Haviland. - Większość ludzi musi porzucić dziwactwa, by zarabiać na życie.

- Czy jego książki nie przynoszą dochodów?

- Oczywiście, że nie. Uważany jest za wielki autorytet odnośnie pewnych okresów dziejów, i to wszystko. Ale jego książki nie muszą przynosić dochodów. Aristide podarował mu sto tysięcy funtów. Coś fantastycznego! Żeby mógł unikać obowiązków! Aristide dał im finansową niezależność. Roger kieruje firmą Associated Catering, Sophia ma pokaźne konto, a dzieci pieniądze w trustach.

- Więc nikt nie zyskuje szczególnie na jego śmierci?

Rzuciła mi dziwne spojrzenie.

- Ależ tak. Wszyscy dostaną więcej pieniędzy. Ale prawdopodobnie mogliby je mieć, gdyby go po prostu poprosili.

- Czy podejrzewa pani kogoś o to otrucie, panno de Haviland?

Odpowiedziała w typowy dla siebie sposób.

- Nie, naprawdę nie. Bardzo mnie to martwi. Nie jest przyjemnie myśleć, że w domu jest osoba w rodzaju Borgii. Przypuszczam, że policja podejrzewa biedną Brendę.

- Nie sądzi pani, że mają rację?

- Trudno powiedzieć. Zawsze wydawała mi się wyjątkowo głupią i pospolitą kobietą, dość konwencjonalną. Nie tak wyobrażałam sobie trucicielkę. Ale kiedy dwudziestoczteroletnia kobieta wychodzi za mąż za mężczyznę około osiemdziesiątki, to jasne jest, że robi to dla jego pieniędzy. Myślała pewnie, że szybko zostanie młodą wdową. Ale przeliczyła się – Aristide był wyjątkowo twardym starym człowiekiem. Jego cukrzyca zatrzymała się. Wyglądało na to, że dożyje setki. Przypuszczam, że zmęczyło ją czekanie...

- W takim razie... - zacząłem i urwałem.

- W takim razie - odparła panna de Haviland energicznie - wszystko będzie mniej więcej w porządku. Oczywiście nie da się uniknąć irytującego rozgłosu, ale ostatecznie ona nie należy do rodziny.

- Nie podejrzewa pani nikogo innego?

- Kogo mogłabym podejrzewać?

Zastanowiłem się. Miałem podejrzenie, które mogło też zagościć w głowie pod sfatygowanym filcowym kapeluszem.

Byłem pewien, że za tym trochę chaotycznym sposobem mówienia ukrywał się przenikliwy umysł, który nie próżnował. Przez chwilę rozważałem możliwość, że panna de Haviland sama otruła Aristide Leonidesa...

Nie było to niemożliwe. Wciąż miałem przed oczami malującą się na jej twarzy zawziętość, z jaką rozgniatała obcasem ten nieszczęsny powój.

Przypomniało mi się słowo, którego użyła Sophia. Bezwzględność.

Potrzebowałyby jednak dostatecznego powodu... Co mogło być dla Edith de Haviland wystarczającym powodem?

Wiedziałem, że aby na to odpowiedzieć, muszę poznać ją lepiej.

## 6.

Frontowe drzwi domu były otwarte. Weszliśmy przez nie do zadziwiająco obszernego holu. Był umeblowany z umiarem i bez zbytniego przepychu: wypolerowany czarny dąb i błyszczący mosiądz. W tyle, gdzie zwykle znajduje się klatka schodowa, dostrzegłem ścianę z białej boazerii i drzwi.

- Ta część domu należała do mojego szwagra - wyjaśniła panna de Haviland. – Parter zamieszkują Philip i Magda.

Weszliśmy w drzwi po lewej stronie i znaleźliśmy się w olbrzymim salonie o ścianach wyłożonych białoniebieską boazerią. Stały tu solidne meble obite ciężkim brokatem, a na każdym stoliku i na ścianach pełno było fotografii i obrazów aktorów, tancerzy, projektów scenografii i kostiumów. Nad kominkiem wisiało płótno Degasa przedstawiające scenę z baletu. Salon tonął wręcz w kwiatach - wszędzie porozstawiane były wazony pełne wspaniałych goździków i olbrzymich brązowych chryzantem.

- Przypuszczam - powiedziała panna de Haviland - że chce się pan zobaczyć z Philipem.

Czy chciałem zobaczyć się z Philipem? Nie miałem pojęcia. Jedyne, co chciałem, to zobaczyć ponownie Sopię. Wyraźnie zachęcała mnie do planu Staruszka, ale zniknęła ze sceny, by telefonować gdzieś w związku z rybą, i nie dała mi żadnych wskazówek do dalszego działania. Czy miałem przedstawić się Philipowi Leonidesowi jako młody mężczyzna pragnący poślubić jego córkę, czy jako przypadkowy przyjaciel, który wpadł z wizytą (z pewnością nie w takim momencie!), czy jako współpracownik policji?

Ale panna de Haviland nie dała mi czasu, bym mógł rozważyć jej pytanie. W rzeczy samej nie było to pytanie, a raczej stwierdzenie, jako że panna de Haviland - jak zdążyłem zauważyć - skłonna była bardziej do twierdzenia niż pytania.

- Pójdziemy do biblioteki - powiedziała. Poprowadziła mnie przez salon, korytarz i drugie drzwi do dużego pokoju pełnego książek. Książki nie ograniczały się do sięgających sufitu półek. Leżały wszędzie - na krzesłach, stołach, a nawet na podłodze. Jednak nie były w nieładzie.

Pokój był chłodny. Brakowało w nim zapachu, którego się spodziewałem. Czułem stęchliznę książek i trochę wosku. Po sekundzie czy dwóch zrozumiałem, czego brakowało. Tytoniu. Philip Leonides nie palił.

Kiedy weszliśmy, wstał zza biurka. Był to wysoki mężczyzna, około czterdziestki, niezwykle przystojny. Wszyscy tak bardzo podkreślali brzydotę Aristide Leonidesa, że z



jakiegoś powodu oczekiwałem, iż jego syn także będzie brzydki. Toteż zaskoczyła mnie doskonałość rysów jego twarzy - prosty nos, nieskazitelna linia szczęk, kształtne czoło i przydające mu uroku, jasne, lekko posrebrzone siwizną włosy.

- To Charles Hayward, Philipie - powiedziała Edith de Haviland.

- Ach, miło mi.

Nie mogłem stwierdzić, czy słyszał o mnie. Dłoń, którą mi podał, była zimna. Nie okazał ciekawości. Trochę mnie to zdenerwowało. Stał tam, cierpliwy i nie zainteresowany.

- Gdzie są ci okropni policjanci? - zapytała panna de Havi-land. - Byli tutaj?

- Wydaje mi się, że inspektor... - popatrzył na wizytówkę na biurku - Taverner ma za chwilę przyjść się ze mną zobaczyć.

- Gdzie jest teraz?

- Nie mam pojęcia, ciociu Edith. Chyba na górze.

- Z Brendą?

- Naprawdę nie wiem.

Patrząc na Philipa Leonidesa, wydawało się niemożliwe, że w jego bliskim otoczeniu popełniono morderstwo.

- Czy Magda już wstała?

- Nie wiem. Zwykle nie wstaje przed jedenastą.

- Chyba ją słyhać - mruknęła Edith de Haviland.

Z korytarza dobiegł wysoki donośny głos, zbliżający się wyraźnie do biblioteki. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich wysoka kobieta z papierosem w długiej szklanej lufce. Nie wiem, jak zdołała to zrobić, ale odniosłem wrażenie, że weszły trzy osoby, a nie jedna.

Ubrana była w elegancki peniuar z brzoskwiniowej satyny, którego poły podtrzymywała ręką. Na plecy spływała jej kaskada tycjanowskich włosów, zaś twarz nieomal szokowała nagością, którą kobiety uzyskują dziś przez zupełny brak makijażu.

Miała ogromne niebieskie oczy i mówiła bardzo szybko ochrypłym, atrakcyjnym głosem z nieco przesadną dykcją.

- Kochanie, nie wytrzymam tego... po prostu nie wytrzymam... pomyśl tylko o prasie... nie ma tego jeszcze w gazetach, ale oczywiście będzie... Wciąż nie mogę zdecydować się, co założyć na czas śledztwa... coś bardzo przytłumiającego... ale nie czerń, może ciemna purpura... tylko że nie mam ani odrobiny takiego materiału, a zgubiłam gdzieś adres tego okropnego człowieka, który je sprzedaje... wiesz, to gdzieś w pobliżu alei Shafterbury... jeżeli tam pojedę samochodem, policja będzie mnie śledzić i mogą zadawać mi żenujące pytania,

prawda? Co ja mam im odpowiedzieć? Jaki ty jesteś spokojny! Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że możemy teraz opuścić wreszcie ten okropny dom? Wolność... wolność! Och, to nieuprzejme, kiedy stary dziadzio... Oczywiście, nigdy nie ode-szlibyśmy, gdyby był. Naprawdę świata poza nami nie widział... pomimo tych wszystkich kłopotów, jakie mieliśmy przez tę kobietę z góry. Jestem pewna, że gdybyśmy odeszli zostawiając go jej, odciałby nas od wszystkiego. Okropna kreatura! Ostatecznie biedny stary dziadzio był bliski dziewięć-dziesiątki... nic by nie powstrzymało tej okropnej kobiety. Wiesz, Philipie, naprawdę uważam, że to doskonała okazja do zagrania sztuki o Edith Thompson. To morderstwo zrobi nam reklamę. Bildenstien powiedział, że może dostać Thespiana... ta ponura sztuka wierszem o górnikach może zejść ze sceny w każdej chwili... to cudowna rola... cudowna. Wiem, że muszę zawsze grać w komediach, z powodu mojego nosa... ale w sztuce o Edith Thompson jest wiele komizmu... nie sądzę, by autor zdawał sobie z tego sprawę... komedia zawsze wzmacnia niepewność. Wiem już jak to zagram... zwyczajna, głupia, symulująca aż do ostatniej minuty, a potem...

Wyrzuciła ramię w przód, papieros wypadł jej z luftó i upadł na wypolerowane mahoniowe biurko, które zaczął przypalać. Philip obojętnie sięgnął po niedopałek i wrzucił go do kosza na śmieci.

- A potem - wyszeptała Magda Leonides z nagle rozszerzonymi oczyma i zeszywniałą twarzą - ...czysty terror...

Trwało to przez jakieś dwadzieścia sekund, a potem jej twarz odprężyła się, skurczyła, przybierając minę zakłopotanego dziecka bliskiego wybuchnięcia płaczem.

Nagle wszystkie emocje zniknęły, jakby zmyte przez gąbkę, i kobieta odwróciła się do mnie, pytając zwyczajnym tonem:

- Nie sądzi pan, że tak należy zagrać Edith Thompson?

Odpowiedziałem, że dokładnie tak, choć w tym momencie nie bardzo mogłem sobie przypomnieć, kim była Edith Thompson, zależało mi jednak, by dobrze zacząć znajomość z matką Sophii.

- Podobna do Brendy, prawda? - zapytała Magda. - Właściwie nigdy o tym nie myślałam. To interesujące. Czy powinnam powiedzieć o tym inspektorowi?

Mężczyzna za biurkiem zmarszczył lekko brwi.

- Magdo, w ogóle nie ma potrzeby, byś z nim rozmawiała. Powiem mu wszystko, co zechce wiedzieć.

- Nie rozmawiać z nim? - Podniosła głos. - Ależ oczywiście, że muszę się z nim zobaczyć. Och, Philipie, ty w ogóle nie posiadasz wyobraźni. Nie zdajesz sobie sprawy z

ważności detali. Będzie chciał wiedzieć dokładnie, jak i kiedy to się stało, wszystkie szczegóły, które mogliśmy zauważyć, czas...

- Mamo - odezwała się Sophia, wchodząc do pokoju - nie wolno ci opowiadać inspektorowi kłamstw.

- Sophio... kochanie...

- Wiem, wiem. Już sobie wszystko wymyśliłaś<sup>1</sup> i jesteś gotowa do wspaniałego przedstawienia. Ale mylisz się. Całkowicie się mylisz.

- Nonsens. Nie wiesz...

- Wiem. Chcesz to zagrać zupełnie inaczej. Będziesz zgaszona... małomówna... zatrzymująca wszystko dla siebie... stojąca na straży... chroniąca rodzinę.

Twarz Magdy Leonides wyrażała naiwne zakłopotanie dziecka.

- Naprawdę tak sądzisz? - zapytała.

- Tak. Odrzuć to. To idea sztuki - odparła Sophia, a widząc, że matka zaczyna się zastanawiać, natychmiast dodała:

- Przygotowałam ci czekoladę. Jest w salonie.

- Och, cudownie. Umieram z głodu. Ruszyła ku drzwiom.

- Nie wie pan - powiedziała, a słowa te były skierowane albo do mnie, albo do półki za moją głową -jak wspaniale jest mieć córkę!

Po tej ostatniej sentencji wyszła.

- Bóg wie - westchnęła panna de Haviland - co powie policji.

- Będzie w porządku - odparła Sophia.

- Może powiedzieć wszystko.

- Nie martw się. Zagra to, co każe jej reżyser. A reżyserem będę ja.

Podążyła za matką, ale w drzwiach odwróciła się na pięcie i powiedziała:

- Jest tu inspektor Taverner, ojczcie. Chce z tobą rozmawiać. Nie będzie ci przeszkadzać, że Charles zostanie, prawda?

Na twarzy Philipa Leonidesa pojawiło się lekkie zakłopotanie.

- Ależ, oczywiście... oczywiście - wymruczał niewyraźnie. Wszedł inspektor Taverner, solidny, niezawodny i zawodowo punktualny.

„To tylko niewielka nieprzyjemność - zdawały się mówić jego maniery - i na dobre wyniesiemy się z tego domu, a proszę mi wierzyć, nikt nie pragnie tego bardziej niż ja. Wcale nie chcemy się nikomu naprzykrzać, zapewniam pana”...

Nie wiem, jak zdołał bez słów, a jedynie przysuwając krzesło do biurka, zakomunikować to wszystko, ale zadziało. Usiadłem skromnie w pewnym oddaleniu.

- Służę panu, inspektorze Taverner - odezwał się Philip.
- Czy ja jestem potrzebna? - zapytała panna de Haviland.
- Nie w tym momencie. Porozmawiam z panią później...
- Oczywiście. Będę na górze. Wyszła, zamykając za sobą drzwi.
- Więc, inspektorze? - powtórzył Philip.

- Wiem, że jest pan bardzo zajęty i nie chcę pana długo niepokoić. Ale muszę panu w zaufaniu powiedzieć, że nasze podejrzenia potwierdziły się. Pański ojciec nie zmarł śmiercią naturalną. Jego zgon był wynikiem przedawkowania eseriny.

Philip skłonił głowę. Nie okazał szczególnych emocji.

- Czy to coś panu sugeruje? - ciągnął Tavemer.
- Co mogłoby sugerować? Moim zdaniem ojciec musiał zażyć truciznę przez przypadek.

- Naprawdę tak pan sądzi, panie Leonides?

- Tak, wydaje mi się to zupełnie możliwe. Miał prawie pięćdziesiąt lat, proszę o tym pamiętać, i nie najlepszy wzrok.

- Więc przełał zawartość buteleczki z kroplami do fiołki po insulinie. Czy naprawdę uważa pan, że to wiarygodne wyjaśnienie?

Philip nie odpowiedział. Jego twarz stała się jeszcze bardziej obojętna. Tavemer kontynuował.

- Znaleźliśmy pustą buteleczkę po kroplach w śmietniku... nie było na niej odcisków palców. To dziwne. Z pewnością pański ojciec, może jego żona lub lokaj...

Philip Leonides podniósł wzrok.

- Co z lokajem? - zapytał. - Co z Johnsonem?

- Sugeruje pan, że Johnson to potencjalny morderca? Z pewnością miał okazję! Ale jeżeli chodzi o motyw, to wręcz przeciwnie. Zwyczajem pana Leonidesa było wypłacać mu co roku premię, która się ciągle powiększała. Pański ojciec postawił sprawę jasno - było to świadczenie zamiast sumy, którą zostawiłby mu w testamencie. Obecna premia po siedmiu latach służby jest całkiem pokaźna i nadal by rosła. Johnson był więc zainteresowany tym, żeby pański ojciec żył jak najdłużej. Co więcej, ich wzajemne stosunki były idealne, a cały okres służby Johnsona bez zarzutu. Jest sprawnym i wiernym lokajem. Nie podejrzewamy Johnsona.

- Rozumiem - odpowiedział Philip bezbarwnym głosem.

- Czy mógłby mi pan teraz zdać relację z własnych poczynań w dniu śmierci ojca?

- Oczywiście, inspektorze. Cały dzień spędziłem tutaj, w tym pokoju... za wyjątkiem posiłków, ma się rozumieć.

- Czy w ogóle widział się pan z ojcem?
- Powiedziałem mu zgodnie ze zwyczajem „Dzień dobry” przy śniadaniu.
- Byli panowie sami?
- Nie. W pokoju była ona... to znaczy moja... macocha.
- Pański ojciec wyglądał tak jak zwykle?
- Nie okazywał, że przewiduje własne morderstwo.
- Czy część domu należąca do pańskiego ojca jest zupełnie odseparowana od pańskiej?
- Tak. Jedyne połączenie to drzwi w holu.
- Czy te drzwi są zamykane? -Nie.
- Nigdy?
- Nic mi o tym nie wiadomo, by były kiedyś zamknięte.
- Każdy mógł swobodnie przechodzić z jednej części domu do drugiej?
- Oczywiście. Są one oddzielone tylko ze względu na domową wygodę.
- Jak dowiedział się pan o śmierci ojca?
- Mój brat, Roger, który zajmuje zachodnie skrzydło piętra, przybiegł tu i powiedział mi, że ojciec ma nagły atak.
- Co pan zrobił?
- Zadzwoiłem po lekarza, o czym nikt wcześniej nie pomyślał. Doktora nie było w domu, ale zostawiłem wiadomość, by przybył, kiedy tylko będzie to możliwe.
- A potem?
- Udałem się na górę. Ojciec rzeczywiście był w ciężkim stanie. Miał trudności w oddychaniu i wyglądał na bardzo chorego. Zmarł przed nadejściem lekarza.
- W głosie Philipa nie było emocji. Po prostu stwierdzenie faktu.
- Gdzie była w tym czasie reszta rodziny?
- Moja żona przebywała w mieście. Wróciła krótko po zgonie ojca. Sądzę, że Sophia też była nieobecna. Młodsze dzieci, Eustace i Josephine, były w domu.
- Mam nadzieję, że nie zrozumie mnie pan źle, panie Leo-nides, jeżeli zapytam, jaki wpływ ma śmierć ojca na pańską sytuację finansową.
- Doceniam to, że chce pan znać wszystkie fakty. Ojciec dał nam niezależność finansową wiele lat temu. Mój brat został szefem i głównym udziałowcem firmy Associated Catering - największej kompanii ojca. Ja otrzymałem ekwiwalentną sumę, coś około stu pięćdziesięciu tysięcy funtów w różnych walorach i mogłem korzystać z kapitału zgodnie ze swoją wolą. Równie hojnie obdarowane zostały moje nieżyjące już siostry.
- Ale pański ojciec i tak pozostał nadal bogatym człowiekiem?

- Nie. Zostawił sobie stosunkowo skromny dochód. Powiedział, że to sprawi, iż będzie nadal interesował się życiem. Od tej pory - po raz pierwszy na ustach Philipa pojawił się słaby uśmiech - dzięki różnym przedsięwzięciom stał się jeszcze bogatszy niż wcześniej.

- Pański brat i pan zamieszkaliście tutaj razem z ojcem. Czy nie wynikało to z trudności finansowych?

- Oczywiście, że nie. To wyłącznie sprawa wygody. Mój ojciec zawsze mówił, że możemy tu zamieszkać. Z różnych domowych powodów było to dla mnie dogodne. Poza tym - dodał - bardzo kochałem ojca. Przeprowadziłem się tu wraz z rodziną w 1937 roku. Nie płacę czynszu, jedynie część opłat eksploatacyjnych.

- A pański brat?

- Roger przeniósł się tu w 1937 roku, kiedy jego dom został zbombardowany.

- Panie Leonides, czy zna pan postanowienia testamentu?

- Owszem. Został zmieniony w 1946 roku. Ojciec nie robił z tego tajemnicy. Zwołał rodzinne konklawe, w którym brał udział również jego prawnik, i przedstawił nam postanowienia testamentu. Przypuszczam, że je pan zna. Pan Gaitskill na pewno poinformował pana. Suma stu tysięcy funtów, wolna od podatku, przypadła mojej macosze jako dodatek do tego, co dostała w momencie ślubu. Reszta majątku została podzielona na trzy równe części: jedna dla mnie, jedna dla mojego brata i jedna dla trojga wnucząt. Jest to olbrzymi spadek, ale będzie, oczywiście, wielki podatek.

- Żadnych legatów dla służby czy na dobroczynność?

- Nie. Pensje, które płacił służbie, zwiększały się co roku, jeżeli pozostawali u niego.

- Czy nie jest pan obecnie, proszę wybaczyć to pytanie, w kłopotach finansowych?

- Jak pan wie, podatki są ciężkie, ale mój dochód wystarcza na zaspokojenie potrzeb moich i żony. Co więcej, ojciec często dawał nam hojne prezenty, a w wypadku jakiegoś kryzysu finansowego pośpieszyłyby natychmiast z pomocą.

Po chwili dodał zimno i dobitnie:

- Zapewniam pana inspektorze, że nie miałem żadnych finansowych powodów, żeby pragnąć śmierci ojca.

- Przykro mi panie Leonides, jeżeli sądzi pan, że sugerowałem coś w tym rodzaju. Ale musimy znać wszystkie fakty. Teraz, niestety, muszę zadać panu kilka dość delikatnych pytań. Dotyczą one stosunków między pańskim ojcem a jego żoną. Czy byli z sobą szczęśliwi?

- O ile wiem, tak.

- Żadnych kłótni?

- Sądzę, że nie.

- Była... duża różnica wieku, prawda? -Tak.
- Czy pan, proszę wybaczyć, a próbował drugi związek ojca?
- Nie prosił mnie o aprobatę.
- To nie jest odpowiedź, panie Leonides.
- Skoro pan nalega, to powiem - uważałem to małżeństwo za niemądre.
- Czy protestował pan przeciwko temu związkowi?
- Kiedy się o nim dowiedziałem, był już faktem dokonany.
- Był to dla pana szok... co? Philip nie odpowiedział.
- Czy to małżeństwo wywołało uczucie niechęci?
- Ojciec mógł robić to, na co miał ochotę.
- Pańskie stosunki z panią Leonides były przyjazne?
- Idealnie przyjazne.
- Są państwo przyjaciółmi?
- Rzadko się spotykamy. Inspektor Tavemer zmienił temat.
- Czy może mi pan powiedzieć coś o panu Laurensie Brow-nie?
- Obawiam się, że nie. Zatrudnił go mój ojciec.
- Ależ został zaangażowany jako nauczyciel pańskich dzieci
- To prawda. Mój syn cierpiał na paraliż dziecięcy... na szczęście choroba miała łagodny przebieg... ale posyłanie go do szkoły publicznej nie było wskazane. Ojciec zasugerował, że on i młodsza córka, Josephine, powinni mieć prywatnego nauczyciela. Nie mieliśmy wielkiego wyboru, w grę wchodził jedynie mężczyźni niezdolni do służby wojskowej. Referencje Browna były satysfakcjonujące, mojemu ojcu i ciotce, która zawsze zajmowała się dziećmi, podobał się, więc wyraziłem zgodę. Cóż więcej? Mogę tylko dodać, że jego sposób nauczania nie budzi moich zastrzeżeń. Jest sumienny i kompetentny.
- Zajmuje pokój w części domu należącej do pańskiego ojca, nie tutaj?
- Jest tam więcej miejsca.
- Czy zauważył pan kiedykolwiek jakieś oznaki zażyłości między Laurencem Brownem a pańską macochą?
- Nie miałem możliwości, by zaobserwować coś takiego.
- Może słyszał pan jakieś plotki?
- Nie słucham plotek, inspektorze.
- To wiarygodne - rzekł Taverner. - Zatem nie widział pan zła, nie słyszał zła i nie mówił zła.
- Jeżeli chce pan to tak określić, inspektorze. Taverner wstał.

- Dziękuję bardzo, panie Leonides - powiedział, po czym skierował się do drzwi.
- Fiu! Fiu! - zagwizdał Taverner. - Zimna ryba!



## 7.

- A teraz - rzekł inspektor - pójdziemy porozmawiać z żoną pana Philipa. Magda West - to jej sceniczne nazwisko.

- Czy jest dobra? - zapytałem. - Znam to nazwisko i chyba widziałem ją w kilku sztukach, ale nie pamiętam kiedy i gdzie.

- Jest jedną z tych „blisko sukcesu” - odparł Taverner. - Raz czy dwa była gwiazdą West Endu, wyrobiła sobie nazwisko, gra dużo w małych teatrach intelektualnych i w klubach niedzielnych. Prawda jest taka, że zaszkoziły jej pieniądze. Nigdy nie musiała zarabiać na życie i mogła wybierać to, co się jej podobało, okazjonalnie nawet finansować niektóre przedstawienia, w których grała. Były to zwykle role zupełnie dla niej nieodpowiednie. W rezultacie jest bardziej amatorką niż profesjonalistką. I mimo że jest dobra, szczególnie w komedii, dyrektorzy teatrów nie przepadają za nią. Mówią, że jest zbyt niezależna i przysparza im kłopotów, wywołuje kłótnie i wtrąca się do reżyserii. Nie wiem, ile jest w tym prawdy, ale nie jest popularna wśród swoich scenicznych kolegów.

W drzwiach salonu ukazała się Sophia.

- Matka jest tutaj, inspektorze - powiedziała, wskazując za siebie.

Weszliśmy z Tavernerem do dużego pomieszczenia. Przez chwilę miałem trudności z rozpoznaniem kobiety, która siedziała na obitej brokatem sofie.

Tycjanowskie włosy miała upięte wysoko na czubku głowy. Ubrana była w ciemnoszary kostium i delikatnie plisowaną, bladofioletową bluzkę, którą zdobiła zapięta pod szyją kamea. Po raz pierwszy dostrzegłem urok jej zadartego nosa. Przypominała nieco Athene Seyler i trudno było uwierzyć, że to ta sama, pełna temperamentu istota w brzoskwiniowym peniuarze.

- Inspektor Taverner? - zapytała. - Proszę wejść i usiąść. Zapali pan? Cóż za okropna sprawa. Doprawdy trudno mi w to uwierzyć.

Jej głos był niski i pozbawiony emocji. Mówiła jak osoba, która za wszelką cenę stara się utrzymać samokontrolę.

- Proszę powiedzieć mi, w czym mogę pomóc - ciągnęła.

- Dziękuję, pani Leonides. Gdzie pani była w czasie, gdy doszło do tragedii?

- Chyba wracałam z miasta. Jadłam tego dnia lunch z przyjaciółką. Byłyśmy w Ivy. Potem poszłyśmy na pokaz sukien. Wraz z innymi przyjaciółmi wstąpiłyśmy na drinka do Berkley. Następnie udałam się do domu. Kiedy tu dotarłam, wszędzie panowało zamieszanie. Wyglądało na to, że teść dostał nagłego ataku. On... nie żył już. - Głos jej lekko zadrżał.

- Lubiała pani teścia?

- Uwielbiałam...

Ton jej głosu podniósł się na moment, ale natychmiast opadł.

- Bardzo go kochałam - powiedziała cicho. - Wszyscy go kochaliśmy, był dla nas taki dobry.

- Lubi pani Brendę Leonides?

- Nie widzimy się zbyt często.

- Dlaczego?

- Cóż, niewiele mamy z sobą wspólnego. Biedna Brenda. Życie czasami musiało być dla niej ciężkie.

- Czyżby? W jaki sposób?

- Och, nie wiem. - Magda potrząsnęła głową i uśmiechnęła się smutno.

- Czy pani Leonides była szczęśliwa z mężem?

- O, tak.

- Żadnych kłótni?

Ponownie lekki uśmiech i przeczący ruch głową.

- Naprawdę nie wiem, inspektorze. Ich część domu jest zupełnie oddzielona od naszej.

- Pani Brenda Leonides i pan Laurence Brown przyjaźnili się, prawda?

- Nie sadzę - powiedziała z godnością - że powinien mnie pan pytać o takie rzeczy.

Brenda przyjaźni się ze wszystkimi. Jest towarzyska osobą.

- Czy lubi pani pana Browna?

- Jest cichy. Dość miły, ale prawie się go nie zauważa. Naprawdę rzadko go widuję.

- Dobrze uczy?

- Chyba tak. Doprawdy nie wiem. Philip wydaje się być z niego zadowolony.

- Przykro mi, że o to pytam - zaczął Tavemer, chcąc wypróbować taktykę szoku - ale czy pani zdaniem pan Brown i pani Brenda Leonides mają z sobą romans?

Magda wstała. Wyglądała jak grandę damę.

- Nigdy nie spostrzegłam niczego, co by na to wskazywało - odparła. - Naprawdę sędzę, inspektorze, że nie powinien mi pan zadawać takich pytań. Ona była żoną mojego teścia.

Nieomal zaklaskałem. Inspektor wstał również.

- Dziękuję, pani Leonides - powiedział uprzejmie i wyszedł z pokoju.

- Zagrałaś przepięknie! - zawołała Sophia, okazując matce autentyczną serdeczność.

Magda zamyślona zakręciła na palcu lok za prawym uchem i przejrzała się w szybie.

- Taak - wymruczała. - Sędzę, że był to właściwy sposób zagrania tej roli.

Sophia popatrzyła na mnie.

- Czy nie powinienes - zapytała - iść z inspektorem?

- Sophio, to co powinienem, to...

Nie dokończyłem. Nie mogłem w obecności matki Sophii mówić wprost o swojej roli. Magda Leonides jak dotąd nie wykazała zainteresowania moją obecnością poza obdarzeniem mnie uwagą na temat pożytku z córek. Mogłem być reporterem, narzeczonym Sophii lub właścicielem zakładu pogrzebowego. Dla Magdy Leonides wszyscy oni stanowili jedynie publiczność.

Patrząc na swoje stopy, aktorka powiedziała z niezadowoleniem.

- Te buty są nieodpowiednie. Zbyt frywolne.

Posłuszny znakowi danemu przez Sophię, pośpieszyłem za Tavernerem. Dopadłem go w holu przy drzwiach do klatki schodowej.

- Idę zobaczyć się ze starszym bratem - wyjaśnił. Bez ceregieli przedstawiłem mu swój problem.

- Kim mam tu właściwie być? - zapytałem. Wyglądał na zdumionego.

- Kim masz być?

- Tak. Co robię w tym domu? Jeżeli ktoś mnie zapyta, to co mam odpowiadać?

- Rozumiem. - Zastanawiał się przez chwilę. Potem uśmiechnął się. - A ktoś cię pytał?

- Nie.

- Zatem zostaw to tak, jak jest. Nigdy nie wyjaśniaj. To dobre motto. Każdy ma zbyt wiele własnych trosk, by być w nastroju do zadawania pytań. Dopóki będziesz pewny siebie, będą uważać twoją obecność za zupełnie naturalną. To wielki błąd mówić coś, kiedy nie potrzeba. Hm, chyba wejdziemy na schody. Drzwi nie są zamknięte. Oczywiście zdajesz sobie sprawę z tego, że te wszystkie moje pytania to bzdura! Funta kłaków nie warte jest to, kto był tego dnia w domu, a kto nie...

- Więc po co...

- Ponieważ to daje mi przynajmniej szansę przyjrzenia się im, ocenienia ich i usłyszenia tego, co mają do powiedzenia. I mam nadzieję, że przez przypadek ktoś może dać mi pożyteczną wskazówkę. - Przez chwilę milczał, a potem wymruczał pod nosem: - Założę się, że Magda Leonides mogłaby nam wiele pomóc, gdyby tylko chciała.

- Czy można by na tym polegać? - zapytałem.

- Och, nie - odparł Tavemer. - Nie można by. Ale dałoby to może punkt wyjścia do dochodzenia. Każdy w tym cholernym domu miał środki i możliwość. Potrzebny mi motyw.

U szczytu schodów znajdowały się następne drzwi, zamykające prawy korytarz. Zawieszona była na nich mosiężna kołatka, którą Tavemer zapukał, kilkakrotnie poruszając rączką. Otworzył mu natychmiast mężczyzna, który musiał stać tuż za drzwiami. Był to niezgrabny olbrzym z silnymi ramionami, ciemnymi rozczochranymi włosami i niezwykle brzydką, choć równocześnie miłą twarzą. Spojrzał na nas, po czym odwrócił wzrok w ten ukradkowy, pełen zażenowania sposób, który spotyka się u ludzi nieśmiałych, ale z gruntu uczciwych.

- Proszę wejść. Zamierzałem właśnie... ale to nie jest ważne. Proszę do salonu. Clemency... och, jesteś tu, kochanie. To inspektor Tavemer. On... czy są tu jakieś papierosy? Proszę chwilę zaczekać, dobrze? - Zderzył się z parawanem, powiedział mu w zakłopotany sposób „przepraszam” i wyszedł z pokoju.

Żona Rogera Leonidesa stała przy oknie. Od razu zaintrygowała mnie jej osobowość i atmosfera panująca w pokoju.

Ściany były białe - naprawdę białe, a nie w kolorze kości słoniowej czy kremowe, co zwykle rozumie się przez określenie „biały” odnośnie wnętrza domu. Nie wisiały na nich żadne obrazy, z wyjątkiem-jednego nad kominkiem - geometrycznej fantazji szarych i niebieskich trójkątów. Umeblowanie było skromne - jedynie niezbędne wyposażenie, trzy lub cztery krzesła, stół ze szklanym blatem, mała biblioteczka. Nie dostrzegłem żadnych bibelotów. Pokój był pełen światła i powietrza. Różnił się od wielkiego, brokatowego, pełnego kwiatów salonu na parterze jak kreda od sera. A żona Rogera Leonidesa różniła się od żony Philipa Leonidesa tak bardzo, jak tylko jedna kobieta może różnić się od drugiej. Podczas gdy czuło się, że Magda Leonides może być tuzinem różnych osobowości, w przypadku Clemency Leonides można było mieć pewność, że zawsze będzie wyłącznie sobą. Miała wyraźnie określoną, silną osobowość.

Oceeniłem ją na około pięćdziesiąt lat. Jej włosy były szare i krótko obcięte (fryzura typowa dla Eton), ale tak pięknie przylegały do doskonałego kształtu czaszki, że nie dostrzegłem brzydoty, jaka zawsze kojarzyła mi się z tego typu uczesaniem. Miała inteligentną, zmysłową twarz i jasnoszare oczy, które patrzyły badawczo i intensywnie. Ubrana była w prostą ciemnoczerwoną suknię, doskonale dopasowaną do jej szczupłej figury.

Od razu poczułem, że to niepokojąca kobieta... Niewątpliwie duży wpływ na tę ocenę miało wnętrze, w którym mieszkała, a które zupełnie nie nadawało się dla zwyczajnej kobiety. Zrozumiałem, dlaczego Sophia użyła w odniesieniu do niej słowa „bezwzględność”. Pokój był tak zimny, że aż zadrzałem.

Clemency Leonides odezwała się spokojnie:

- Proszę usiąść, inspektorze. Czy ma pan jakieś nowiny?
- Zgon spowodowała eserina, pani Leonides.
- Zatem morderstwo - powiedziała w zadumie. - Nie mógł to być wypadek, prawda?
- Nie, pani Leonides.
- Proszę być wyrozumiałym dla mojego męża. Bardzo się tym przejmie. Uwielbiał ojca.

Jest szalenie uczuciowy.

- Czy pani stosunki z teściem były dobre?
- Tak, dość dobre. - Po chwili dodała cicho: - Nie lubiłam go specjalnie.
- Dlaczego?
- Nie podobały mi się jego cele życiowe... i metody, którymi do nich dążył.
- A pani Brenda Leonides?
- Brenda? Rzadko ją widywałam.
- Czy sądzi pani, że może być coś między nią a panem Brownem?
- Ma pan na myśli romans? Nie sądzę. Ale naprawdę nie wiem nic na ten temat.

Wyglądała na zupełnie nie zainteresowaną. W tym momencie drzwi otworzyły się i do pokoju wpadł Roger Leonides.

- Zatrzymano mnie - wyjaśnił pośpiesznie. - Telefon. Więc, inspektorze. Są jakieś wiadomości? Co spowodowało śmierć ojca?

- Zatrucie eseriną.

- Tak? Mój Boże! Zatem to ta kobieta! Nie mogła się już doczekać. Wyciągnął ją z rynsztoka i oto nagroda. Zamordowała go z zimną krwią! Boże, gotuje się we mnie, kiedy o tym pomyślę.

- Czy ma pan jakiś szczególny powód, by tak myśleć? -zapytał Taverner.

Roger przemierzał pokój tam i z powrotem, mierzwiąc sobie dłonią bujną czuprynę.

- Powód? A któż by to mógł być inny? Nigdy jej nie ufałem... nie lubiłem jej! Nikt z nas jej nie lubił. Philip i ja byliśmy przerażeni, kiedy tato przyszedł któregoś dnia i powiedział nam, co zrobił! W jego wieku! To było szaleństwo... szaleństwo. Mój ojciec był zdumiewającym człowiekiem, inspektorze. Intelktualnie był wciąż młody i bystry. Zawdzięczam mu to, co posiadam. Zrobił dla mnie wszystko, nigdy mnie nie zawiodł. To ja go zawiodłem... kiedy o tym pomyślę...

Opadł ciężko na krzesło. Żona cicho podeszła do niego.

- Dość, Rogerze. Uspokój się.

- Wiem, najdroższa, wiem. - Ujął jej dłoń. - Ale jak mogę być spokojny, kiedy czuję...

- Wszyscy musimy zachować spokój, Rogerze. Inspektor Tavemer oczekuje od nas pomocy.

- To prawda, pani Leonides. Popatrzył na nią zawstydzony.

- Przepraszam, najdroższa. - Odwrócił się do nas. - Bardzo przepraszam. Nerwy mnie poniosły. Proszę mi wybaczyć...

Ponownie wyszedł z pokoju.

- Naprawdę nie skrzywdziłby muchy - rzekła Clemency, uśmiechając się lekko.

Taverner uprzejmie zaakceptował tę uwagę.

Potem zaczął zadawać rutynowe pytania.

Clemency Leonides odpowiadała zwięźle i dokładnie.

W dniu śmierci ojca Roger Leonides był w mieście w Box House, zarządzie firmy Associated Catering. Wrócił wczesnym popołudniem i spędził trochę czasu z ojcem, jak to miał w zwyczaju. Ona zaś przebywała w Instytucie Lambert przy ulicy Gower, gdzie pracuje. Wróciła do domu tuż przed szóstą.

- Widziała pani teścia?

- Nie. Ostatni raz widziałam go dzień wcześniej. Piliśmy razem kawę po obiedzie.

- I nie widziała go pani w dniu śmierci?

- Nie. Właściwie to poszłam do jego części domu, bo Roger myślał, że zostawił tam swoją fajkę - bardzo cenną fajkę, ale okazało się, iż leżała na stole w holu i nie musiałam niepokoić teścia. Często drzemał około szóstej.

- Kiedy usłyszała pani o jego chorobie?

- Wpadła tu Brenda. Było minutę czy dwie po wpół do siódmej.

Wiedziałem, że te pytania są nieważne, ale byłem świadom tego, iż Taverner bacznie obserwuje odpowiadającą kobietę. Zadał kilka pytań na temat jej pracy. Odparła, że ma ona związek z promieniowaniem podczas rozszczepiania atomu.

- W rzeczy samej pracuje pani nad bombą atomową, tak?

- W mojej pracy nie ma nic destrukcyjnego. Instytut prowadzi eksperymenty w zakresie możliwości leczniczych.

Kiedy Tavemer wstał i wyraził chęć obejrzenia ich części domu, wydała się lekko zaskoczona, ale uprzejmie pokazała mu wnętrze. Sypialnia z podwójnym łóżem, białymi narzutami i najniezbędniejszymi przyborami na toaletce przypominała szpital albo celę klasztorną. Łazienka była również surowa bez specjalnego luksusu i nadmiernej ilości kosmetyków, kuchnia sterylna i dobrze wyposażona w urządzenia ułatwiające pracę. Potem podeszliśmy do drzwi, które Clemency otworzyła, mówiąc:

- To specjalny pokój mojego męża.

- Proszę do środka - rzekł Roger.

Odetchnąłem z ulgą. Ta nieskazitelna surowość robiła na mnie trochę przygnębiające wrażenie. W tym pokoju czuło się intensywną osobowość gospodarza. Wielkie biurko z żaluzjo-wym zamknięciem zawałone było papierami, starymi fajkami i popiołem. Obok stały duże, zniszczone krzesła. Podłogę pokrywały perskie chodniki. Na ścianach zaś wisiały wyblakłe fotografie uczniów, zawodników do gry w krykieta, żołnierzy itp. Obok wisiały akwarelowe szkice pustyni i minaretów, żaglówek, morza i zachodów słońca. Był to miły pokój. Pokój należący do uroczego, towarzyskiego mężczyzny.

Roger niezgrabnie nalewał nam drinki z karafki i zbierał z krzeseł książki i papiery.

- Przepraszam za bałagan - tłumaczył się niezgrabnie. - Akurat przeglądałem stare papiery. To dlatego.

Inspektor podziękował za drinka. Ja poprosiłem.

- Muszą mi panowie wybaczyć - ciągnął Roger. Przyniósł mi mojego drinka, odwrócił głowę do Tavemera i mówił dalej: - Poniosły mnie nerwy.

Rozejrzał się dokoła z poczuciem winy, ale Clemency Leo-nides nie weszła z nami do pokoju.

- Jest cudowna - powiedział. - To znaczy moja żona. Mimo całego nieszczęścia jest wspaniała... wspaniała. Nie umiem wyrazić, jak bardzo ją podziwiam. Miała takie ciężkie życie. Chciałbym panom o tym opowiedzieć. Było to, zanim pobraliśmy się. Jej pierwszy mąż był człowiekiem wielkiego umysłu, ale słabego zdrowia, w rzeczy samej gruźlik. Prowadził bardzo cenne badania w dziedzinie krystalizacji. Licho mu płacono i była to niezwykle ciężka praca, ale nie poddawał się. Clemency stała się jego niewolnicą, praktycznie utrzymywała go, cały czas wiedząc, że on umiera. I nigdy nie żaliła się, nie narzekała na zmęczenie. Zawsze mówiła mu, że jest szczęśliwa. Po jego śmierci załamała się. W końcu zgodziła się wyjść za mnie. Bardzo się cieszyłem, że mogę dać jej trochę wytchnienia i szczęścia. Chciałem, żeby przestała pracować, ale oczywiście uważała to za swój obowiązek w czasie wojny i chyba nadal to czuje. Ale jest cudowną żoną. Najwspanialszą Jaką miał kiedykolwiek mężczyzna. Do licha, miałem szczęście! Zrobiłbym dla niej wszystko.

Taverner rzucił stosowną odpowiedź. Potem raz jeszcze zagłębił się w znane, rutynowe pytania.

- Kiedy po raz pierwszy usłyszał pan o śmierci ojca?

- Wpadła tu Brenda. Ojciec był chory... powiedziała, że ma jakiś atak. - Siedziałem z kochanym staruszkiem jeszcze pół godziny wcześniej. Czuł się wtedy doskonale. Kiedy

przybiegłem do niego, był siny na twarzy, z trudem łapał powietrze. Pobiegłem po Philipa. On zadzwonił po lekarza. Ja... my nie mogliśmy nic zrobić. Oczywiście ani przez chwilę nie myślałem, że jest w tym coś śmiesznego. Śmiesznego? Powiedziałem śmiesznego? Boże, co za słowo.

Z pewnym trudem uwolniliśmy się z emocjonalnej atmosfery pokoju Rogera Leonidesa. Kiedy znaleźliśmy się wreszcie za drzwiami, Taverner spojrzął na mnie i powiedział:

- To niezwykle interesujące. Co za kontrast w stosunku do drugiego brata. - Potem dodał bez związku: - Ciekawa rzecz, pokoje. Mówią dużo o tych, którzy w nich mieszkają.

Zgodziłem się z nim.

- Dziwne, jak ludzie łączą się w pary, prawda? - ciągnął dalej.

Nie byłem pewien, czy ma na myśli Clemency i Rogera, czy Philipa i Magdę. Jego słowa mogły odnosić się do obu par. A jednak wyglądało na to, że obydwa małżeństwa były szczęśliwe. Z pewnością można to było powiedzieć o Rogerze i Clemency.

- Nie powiedziałbym, że to truciciele. A ty? - zapytał Taverner. - Oczywiście nigdy nie wiadomo. Ale już bardziej ona. Bezlitosna kobieta. Możliwe, że trochę szalona.

Ponownie przyznałem mu rację.

- Nie przypuszczam jednak - dodałem - by zamordowała kogoś tylko dlatego, że nie aprobowała jego celów i stylu życia. Może gdyby naprawdę nienawidziła tego staruszka.... Ale czy morderstwa popełnia się z czystej nienawiści?

- Rzadko - odparł Taverner. - Sam nigdy się z czymś" takim nie zetknąłem. Nie, myślę, że bezpieczniej jest skoncentrować się na Brendzie. Ale Bóg jeden wie, czy kiedykolwiek zdobędziemy dowody.



## 8.

Otworzyła nam pokojówka. Wyglądała na przerażoną, ale rzuciła Tavernerowi lekko pogardliwe spojrzenie.

- Chce się pan widzieć z panią?

- Tak.

Wprowadziła nas do wielkiego salonu i wyszła.

Pokój był takiej samej wielkości jak salon na parterze. Nad kominkiem wisiał portret, który przyciągnął moją uwagę, i to nie tylko z powodu mistrzowskiego wykonania, ale także ze względu na twarz modela.

Był to portret małego starego mężczyzny z ciemnymi przenikliwymi oczami. Z płótna emanowała żywotność i siła. Migoczące oczy przyciągały mój wzrok.

- To on - rzekł inspektor Taverner. - Namalowany przez Augustusa Johna. Miał osobowość, co?

- Tak - odparłem i poczułem, że ta monosylaba była nieadekwatna.

Zrozumiałem teraz, co miała na myśli Edith de Haviland, mówiąc, że dom jest bez niego pusty.

- A to jego pierwsza żona, namalowana przez Sargenta -dodał Taverner, wskazując na obraz wiszący pomiędzy oknami.

Spojrzała na portret. Było w nim pewne okrucieństwo, tak typowe dla malarstwa Sargenta. Twarz kobiety została przesadnie wydłużona, co nadawało jej lekko koński wygląd. Był to portret typowej angielskiej damy. Przystojnej, ale bez życia. Wyjątkowo nieodpowiednia żona dla szczerzącego zęby w uśmiechu, małego despoty znad kominka.

Otworzyły się drzwi i ukazał się w nich sierżant Lamb.

- Zrobiłem, co mogłem odnośnie służby - powiedział. - Nic to nie dało.

Taverner westchnął.

Sierżant Lamb wyjął notatnik i zrejterował w odległy kąt pokoju, gdzie siedział, nie rzucając się w oczy.

Do pokoju weszła druga żona Aristide Leonidesa.

Ubrana była w czarną suknię, która spowijała ją od szyi po stopy. Poruszała się opieszale. Miała dość ładną twarz, piwne oczy i kasztanowe włosy, ułożone w zbyt wyszukany i pracochłonnym stylu. Jej twarz pokryta była sporą warstwą pudru i szminki, ale i tak nie zatuszowało to śladu łez. Widać było, że płakała. Miała na szyi sznur olbrzymich pereł, a na rękach wielki szmaragd i ogromny rubin.

Zauważyłem jeszcze coś. Była przerażona.

- Dzień dobry, pani Leonides - rzekł Taverner swobodnie. - Przepraszam, że jeszcze raz panią niepokoję.

- Przypuszczam, że nic na to nie można poradzić - odparła apatycznie.

- Wie pani oczywiście, że podczas naszej rozmowy może być obecny pani prawnik?

Zastanawiałem się, czy zrozumiała znaczenie tych słów. Sądzę, że nie.

- Nie lubię pana Gaitskilla. Nie chcę go - powiedziała posepnie.

- Może pani mieć własnego prawnika.

- Czy muszę? Nie lubię prawników. Wprawiają mnie w zakłopotanie.

- Zależy to wyłącznie od pani - odparł Taverner, uśmiechając się automatycznie. - Czy możemy zaczynać?

Sierżant Lamb poślinił ołówek. Brenda Leonides usiadła na sofie naprzeciwko inspektora.

- Odkrył pan coś? - zapytała.

Zauważyłem, że jej palce gniotły nerwowo szyfon sukni.

- Możemy z całą pewnością stwierdzić, że pani mąż zmarł na skutek zatrucia eseriną.

- To znaczy, że zabiły go te krople do oczu?

- Zastrzyk, który mu pani zrobiła, zawierał eserinę zamiast insuliny.

- Ale ja o tym nie wiedziałam. Nie mam z tym nic wspólnego. Naprawdę, inspektorze.

- Zatem ktoś musiał celowo zamienić insulinę na krople do oczu.

- Co za podłość!

- Tak, pani Leonides.

- Sądzi pan, że ktoś zrobił tu umyślnie? Nie mógł to być przypadek? Albo dowcip?

- Nie uważamy, by był to dowcip - powiedział oschle Taverner.

- To musiał być ktoś ze służby. Inspektor nie odpowiedział.

- Na pewno. Nie mógł to być nikt inny.

- Jest pani pewna? Proszę chwilę pomyśleć. Nie ma pani jakichś podejrzeń? Nie było żadnej niechęci? Żadnych kłótni?

Wpatrywała się w niego wyzywającym wzrokiem.

- Nie wiem o niczym.

- Była pani tego popołudnia w kinie, tak?

- Tak. Wróciłam o wpół do siódmej. Była już pora na insulinę. Zrobiłam mężowi zastrzyk tak jak zwykle... i stało się z nim coś dziwnego. Byłam przerażona. Pobiełam do

Rogera... mówiłam już o tym. Czy muszę to powtarzać raz po raz? -W jej głosie pojawiła się histeryczna nuta.

- Przykro mi, pani Leonides. Czy mógłbym teraz porozmawiać z panem Brownem.
- Z Laurencem? Po co? On nic nie wie?
- A jednak chciałbym z nim pomówić. Popatrzyła na inspektora podejrzliwie.
- Eustace uczy się z nim łaciny w pokoju lekcyjnym. Czy chce pan, żeby przyszedł tutaj?
- Nie. Pójdziemy do niego.

Taverner pośpiesznie opuścił pokój. Sierżant i ja podążyliśmy za nim. Inspektor poprowadził nas przez korytarz do obszernego pokoju z widokiem na ogród. Przy stole siedzieli jasnowłosa, przystojny mężczyzna około trzydziestki i ciemny szesnastoletni chłopiec.

Kiedy weszliśmy, podnieśli wzrok. Eustace, brat Sophii, popatrzył na mnie, a Laurence Brown utkwiał przerażone oczy w inspektorze Tavemerze.

Nigdy dotąd nie widziałem człowieka tak sparaliżowanego przez strach. Wstał i usiadł ponownie. Potem przemówił piskliwym głosem.

- Och... ee... dzień dobry, inspektorze.
- Dzień dobry - odparł Tavemer lakonicznie. - Czy możemy porozmawiać?
- Tak, oczywiście. Jak najchętniej. W każdym razie... Eustace wstał.
- Czy mam odejść? - zapytał uprzejmie z lekką arogancją w głosie.
- Będziemy... kontynuować później - powiedział nauczyciel.

Eustace ruszył nonszalancko w stronę drzwi. Poruszał się raczej sztywno. Będąc już w drzwiach spojrział nagle w moją stronę, zrobił palcem wskazującym ruch obrazujący podrzywanie gardła i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Potem wyszedł.

- Panie Brown - zaczął Tavemer. - Wyniki analizy są pewne. Przyczyną śmierci pana Leonidesa była eserina.

- Czy to znaczy... że został otruty? Miałem nadzieję...
- Został otruty - odparł Taverner zwięźle. - Ktoś zamienił insulinę na krople do oczu.
- Nie mogę w to uwierzyć... To nieprawdopodobne.
- Pytanie: kto miał motyw?
- Nikt Zupełnie nikt! - Młody mężczyzna podniósł głos.
- Może życzy pan sobie, żeby podczas rozmowy obecny był prawnik? - zapytał Taverner.

- Nie mam prawnika. I nie chcę mieć. Nie mam nic do ukrycia... nic...
- Rozumie pan, że wszystko, co pan powie, może być użyte przeciwko panu?

- Jestem niewinny... zapewniam pana, że jestem niewinny.
- Nie sugerowałem niczego innego - zauważył Taverner, a po chwili zapytał:
- Pani Leonides była dużo młodsza od męża, prawda?
- Ja., chyba tak... to znaczy tak.
- Musiała czasami czuć się samotna?

Laurence Brown nie odpowiedział. Zwilżył językiem suche usta.

- Musiało jej być przyjemnie mieć towarzystwo mniej więcej w swoim wieku?
- Ja... nie, wcale... To znaczy... Nie wiem.
- To zupełnie naturalne, że powstała więź sympatii. Młody mężczyzna zaprotestował gwałtownie.

- Nie powstała! Nic w tym rodzaju! Wiem, co pan myśli, ale to nieprawda! Pani Leonides zawsze była dla mnie bardzo miła i mam dla niej największy... największy respekt... ale nic więcej... nic więcej, zapewniam pana. To potworne sugerować takie rzeczy! Potworne! Nie mógłbym nikogo zabić... ani podmienić butelek., ani nic w tym rodzaju. Ja... sama myśl o zabijaniu to dla mnie koszmar... zrozumieli to w komisji do spraw zwolnień od służby wojskowej... mam obiekcje religijne. Zamiast tego pracowałem w szpitalu... przy kotłach parowych... okropnie ciężka praca... nie dawałem rady... w końcu pozwolili mi zająć się nauczaniem. Staram się, jak mogę, z Eustacem i Josephine... to inteligentne dziecko, ale trudne. Wszyscy byli tu dla mnie bardzo mili... pan i pani Leonides, panna de Haviland. A teraz stała się ta straszna rzecz... I policja podejrzę wamnie... mnie... omorder-stwo! Inspektor Taverner popatrzył na niego z zainteresowaniem.

- Nie powiedziałem tego - zauważył.

- Ale tak pan myśli! Wiem, że pan tak myśli! Wszyscy tak myślą! Patrzą na mnie. Ja... nie mogę z panem dłużej rozmawiać. Nie czuję się dobrze.

Wybiegł z pokoju. Taverner powoli odwrócił głowę i spojrzał na mnie.

- Co o nim sędzisz?
- Jest przerażony.
- Tak, wiem, ale czy jest mordercą?
- Moim zdaniem - wtrącił się sierżant Lamb - nie miałby do tego nerwów.
- Nigdy nie walnąłby kogoś w głowę ani nie zastrzelił z pistoletu - zgodził się inspektor.
- Ale to było szczególne morderstwo. Zbrodniarz jedynie pomanipulował wśród buteleczek... Po prostu pomógł staremu człowiekowi opuścić świat w bezbolesny sposób.
- Praktycznie eutanazja - dodał sierżant.

- A potem, w stosownym czasie, poślubić kobietę, która odziedziczy sto tysięcy funtów wolnych od podatku i która posiada już podobnie zawrotną sumę, nie licząc pereł, rubinów i szmaragdów wielkości kurzych jaj!

- Ach - westchnął Tavemer po chwili. - To tylko teoria i domysły! Zdołałem go przestraszyć, ale to jeszcze niczego nie dowodzi. Może boi się, chociaż jest niewinny. A zresztą wątpię, że to zrobił. Bardziej prawdopodobne, że to ta kobieta. Tylko dlaczego, do Ucha, nie wyrzuciła tej butelki po zastrzyku albo nie napełniła jej insuliną? - Odwrócił się do sierżanta. - Służba nie potwierdza, że coś między nimi było?

- Pokojówka mówi, że mieli się ku sobie.

- Jak?

- Sposób, w jaki patrzył na nią, kiedy nalewała mu kawę.

- Dużo nam to da w sadzie! Żadnych flirtów?

- Nikt nic nie widział.

- Założę się, że zauważyliby, gdyby było coś do zauważenia. Zaczynam wierzyć, że nic między nimi nie było. - Spojrzał na mnie. - Wróć i porozmawiaj z nią. Chcę poznać twoją opinię o tej kobiecie.

Poszedłem raczej niechętnie, choć byłem też zainteresowany.

## 9.

Znalazłem Brendę Leonides siedzącą dokładnie tam, gdzie ją zostawiliśmy. Kiedy wszedłem, rzuciła mi ostre spojrzenie.

- Gdzie inspektor Taverner? Czy wraca?

- Jeszcze nie.

- Kim pan jest?

W korku zadano mi pytanie, którego oczekiwałem cały ranek. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Mam związki z policją, ale jestem również przyjacielem rodziny.

- Rodzina! Bestie! Nienawidzę ich wszystkich. Była posepna, przerażona i wściekła.

- Zawsze zachowywali się w stosunku do mnie nieludzko... zawsze. Od samego początku. Dlaczego niby nie powinnam była poślubić ich cennego ojca? Jakie to miało dla nich znaczenie? Dostali już swoje pieniądze. On im je dał. Sami nie mieli dość rozumu, by zarabiać!

- Dlaczego nie miałyby ożenić się po raz drugi - ciągnęła - nawet jeżeli był trochę stary? Tak naprawdę to wcale nie był stary... nie wewnątrz. Bardzo go lubiłam. Kochałam. - Popatrzyła na mnie wyzywająco.

- Rozumiem - odparłem. - Rozumiem.

- Przypuszczam, że pan w to nie wierzy. Ale to prawda. Miałam dość mężczyzn. Chciałam mieć dom. Chciałam, żeby ktoś się o mnie troszczył i mówił mi miłe rzeczy. Aristide mówił mi najmiłsze rzeczy. Rozśmieszał mnie. Był inteligentny. Wcale się nie cieszę z jego śmierci. Jest mi przykro.

Odchyliła się w tył. Jej duże wyraziste usta ułożyły się w dziwny, senny uśmiech.

- Byłam tu szczęśliwa. Bezpieczna. Chodziłam do drogich krawcowych, o których wcześniej tylko czytałam. Byłam tak samo dobra jak każda inna. I Aristide dawał mi piękne rzeczy. - Wyciągnęła rękę i popatrzyła na rubin.

Przez chwilę jej dłoń przypominała mi kocia łapę, a głos mruczenie. Nadal uśmiechała się sama do siebie.

- Co w tym złego? - zapytała. - Byłam dla niego miła. Dawałam mu szczęście. - Pochyliła się do przodu. - Wie pan, jak go poznałam? - To było w „Gay Shamrock” - ciągnęła dalej, nie czekając na odpowiedź. - Zamówił jajecznicę i grzanekę. Kiedy przyniosłam je, płakałam. „Usiądź - powiedział - i powiedz mi, co się stało”. „Och, nie mogę - odparłam. - Jeżeli to zrobię, wyrzucą mnie z pracy”. „Nikt cię nie wyrzuci - odrzekł. - Jestem właścicielem tego miejsca”. Popatrzyłam na niego. Pomyślałam z początku, że to taki dziwny, mały

człowieczek. Ale miał w sobie siłę. Opowiedziałam mu wszystko... Dowie się pan od nich. Pewnie zrobią ze mnie kobietę lekkich obyczajów, ale nie byłam nią. Wychowano mnie starannie. Mieliśmy sklep, sklep wysokiej klasy z haftami. Nigdy nie byłam typem łatwej dziewczyny, która ma wielu mężczyzn. Ale Terry wydawał mi się inny. Zakochałam się w nim. Był Irlandczykiem i wybierał się za ocean... Nigdy do mnie nie napisał. Chyba byłam głupia. Tak to było. Później miałam kłopoty... jak jakaś okropna, mała służąca...

Jej głos był pogardliwy w swoim snobizmie.

- Aristide był cudowny. Powiedział, żebym się nie martwiła, że wszystko będzie w porządku. Powiedział, że jest samotny. Że pobierzemy się od razu. To było jak sen. A potem odkryłam, że to wielki Leonides. Posiadacz wielu sklepów, restauracji i nocnych klubów. To było jak bajka, prawda?

- Bajka określonego rodzaju - odparłem sucho.

- Wzięliśmy ślub w małym kościółku i pojechaliśmy za granicę.

Popatrzyła na mnie jak gdyby z ogromnego dystansu.

- W końcu nie było tego dziecka. Pomyliłam się. Uśmiechnęła się krzywo kącikami ust.

- Przysięgłam sobie, że będę dla niego dobrą żoną. I byłam. Sprowadzałam mu jedzenie, które lubił, ubierałam się w rzeczy, które się mu podobały i robiłam wszystko, żeby go zadowolić. I był szczęśliwy. Tylko, że nigdy nie pozbyliśmy się tej jego rodziny, tych darmozjadów żyjących w jego kieszeni. Na przykład stara panna de Haviland. Uważałam, że powinna odejść po naszym ślubie. Powiedziałam mu to. Ale Aristide odparł: „Ona jest tu od dawna. To teraz jej dom”. Prawda jest taka, że lubił mieć ich wszystkich pod pantoflem. Byli dla mnie okropni, ale on tego nie zauważał lub nie zwracał uwagi. Roger nienawidzi mnie... widział pan Rogera? Zawsze mnie nienawidził. Jest zazdrosny. A Philip jest tak zarozumiały, że nigdy się do mnie nie odzywa. A teraz twierdzą, że to ja go zamordowałam... a ja tego nie zrobiłam... nie zrobiłam! - Pochyliła się w moim kierunku. - Proszę mi uwierzyć.

Była patetyczna. Pogardliwy sposób, w jaki wyrażała się o niej reszta rodziny i żarliwość, z jaką wierzyli w to, że popełniła morderstwo, wydały mi się nagle nieludzkie. Ona była sama, bezbronna, ścigana.

- A jeżeli nie ja, to myślą, że to Laurence - ciągnęła. - Tak?

- Bardzo mi go żal. Jest delikatny i nie mógł iść walczyć, ale nie jest tchórzem. To po prostu wrażliwość. Próbowałam sprawić, by poczuł się szczęśliwy. Musi uczyć te okropne dzieci. Eustace zawsze z niego szydzi, a Josephine... cóż, widział pan Josephine. Wie pan, jaka ona jest.

Stwierdziłem, że nie widziałem jeszcze Josephine.

- Czasami myślę, że ona ma źle w głowie. Zakrada się wszędzie, podsłuchuje, jest okropna i wygląda tak dziwnie... Często przyprawia mnie o dreszcze.

Nie chciałem mówić o Josephinie. Wróciłem do Laurence'a Browna.

- Kim jest? - zapytałem. - Skąd się tu pojawił? Niezręcznie sformułowałem to zdanie. Zarumieniła się.

- Nie jest nikim szczególnym. Tak samo jak ja... Jaką mamy szansę w walce przeciwko nimi

- Nie sądzi pani, że to lekka histeria?

- Nie. Oni chcą wykazać, że zrobił to Laurence albo ja. Ten policjant jest po ich stronie.

Jaką mam szansę?

- Nie wolno się poddawać - odparłem.

- Dlaczego to któreś z nas miałyby go zabić? Może to ktoś z zewnątrz? Lub ktoś ze służby?

- Brak motywu.

- Och, motyw! A jaki ja mam motyw? Lub Laurence? Czułem się nieszczególnie, mówiąc:

- Chyba policja zakłada, że pani i... pan Laurence... kochacie się... i chcecie się pobrać.

Wyprostowała się.

- To podła sugestia! I nieprawdziwa! Nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy. Było mi go żal i próbowałam go rozweselić. Jesteśmy przyjaciółmi, to wszystko. Wierzy mi pan, prawda?

Wierzyłem jej. To znaczy wierzyłem, że ona i Laurence są jedynie przyjaciółmi. Ale wierzyłem też, że może nie uświadamiając tego sobie, jest zakochana w tym młodym mężczyźnie.

Myśląc o tym, poszedłem na dół, by poszukać Sophii.

Miałem właśnie wejść do salonu, kiedy Sophia wystawiła głowę z drzwi w głębi korytarza.

- Hej - powiedziała. - Pomagam niani robić lunch.

Chciałem do niej dołączyć, ale weszła do korytarza, zamknęła za sobą drzwi, wzięła mnie za ramię i zaprowadziła do pustego salonu.

- No? - zapytała. - Widziałeś Brendę? Co o niej myślisz?

- Szczerze mówiąc, żal mi jej - odparłem. Sophia wyglądała na rozbawioną.

- Rozumiem - powiedziała. - Przekonała cię.

Poczułem się lekko zirytowany.



- Nie. Po prostu staram się spojrzeć na to z jej strony.

- Z jej strony?

- Powiedz szczerze, Sophio, czy ktokolwiek z rodziny był dla niej miły, odkąd się tu pojawiła?

- Nie, nie byliśmy dla niej mili. Dlaczego mielibyśmy być?

- Z powodu chrześcijańskiej życzliwości, jeżeli już nie z żadnego innego.

- Przybierasz wysoki, moralny ton, Charlesie. Widocznie Brenda dobrze odegrała swoją rolę.

- Doprawdy, Sophio... nie wiem, co cię napadło.

- Po prostu jestem szczerą i nie udaję. Zobaczyłeś to z punktu widzenia Brendy. Teraz zobacz z mojego. Nie podoba mi się ta młoda kobieta, która wymyśla jakąś historyjkę i dzięki niej wychodzi za mąż za bardzo bogatego staruszka. Mam pełne prawo nie lubić tego typu kobiet, i do licha, nie widzę powodu, dla którego miałabym udawać, że jest inaczej. Gdybyś znał prawdę, też byś jej nie lubił.

- Czy to była zmyślona historia? - zapytałem.

- O dziecku? Nie wiem. Osobiście sędzę, że tak.

- I czujesz się dotknięta faktem, że dziadek dał się na to nabrać?

- Och, dziadek nie dał się nabrać. - Sophia roześmiała się. - Dziadka nikt nie mógł nabrać. Chciał mieć Brendę. Chciał odegrać Cophetue dla pokojówki-żebaczki. Wiedział, co robi, i wszystko szło zgodnie z planem. Z punktu widzenia dziadka to małżeństwo było sukcesem, jak wszystkie jego posunięcia.

- Czy zatrudnienie Laurence'a Browna też było sukcesem? - zapytałem ironicznie.

Zmarszczyła brwi.

- Wiesz, nie jestem pewna, czy nie było. Chciał, by Brenda była szczęśliwa i radosna. Może sądził, że stroje i biżuteria nie wystarczą. Może uważał, że potrzeba jej jakiegoś romansu. Mógł wymyślić sobie, że ktoś taki jak Laurence Brown, ktoś naprawdę łagodny, świetnie się do tego nadaje. Piękna przyjaźń dusz zabarwiona melancholia powstrzymałaby Brendę przed prawdziwym romanssem z kimś z zewnątrz. Nie dałabym głowy, że dziadek nie rozumował w ten sposób. To był stary diabeł, wiesz.

- Musiał być - zgodziłem się.

- Nie mógł oczywiście przewidzieć, że to doprowadzi do morderstwa... A tego - rzekła Sophia gwałtownie - nie rozumiem, mimo że chcę, by okazało się, iż to ona. Gdyby zaplanowała to morderstwo albo gdyby zaplanowali je razem, dziadek wiedziałby o tym. Zapewne stwierdzisz, że to lekka przesada...

- Muszę wyznać, że tak - odparłem.

- To dlatego że nie znalazłeś dziadka. Z pewnością nie patrzyłby przez palce na własne morderstwo! I znowu jesteśmy w punkcie wyjścia! Mur nie do przebycia.

- Ona się boi, Sophio - zauważyłem. - Jest przerażona.

- Inspektor Taverner i jego banda wesołych policjantów? Tak, ośmielę się powiedzieć, że są niepokojący. Przypuszczam, że Laurence histeryzuje?

- Prawie. Myślę, że dał niesmaczny pokaz. Nie rozumiem, co kobieta może widzieć w takim mężczyźnie.

- Nie wiesz, Charlesie? Laurence ma dużo sex appealu.

- Taki wymoczek bez charakteru? - zapytałem niedowierzająco.

- Dlaczego mężczyźni zawsze myślą, że jedynie typ jaskiniowca może być atrakcyjny dla przeciwnej płci? Laurence jest pociągający, ale nie oczekuję, że to zrozumiesz. - Popatrzyła na mnie nieco ironicznie. - Za to Brenda złowiła cię w swoje sieci.

- Nie mów głupstw. Nawet nie jest ładna. I z pewnością nie...

- Nie wabiła cię? Nie, po prostu sprawiła, że zrobiło ci się jej żal. Rzeczywiście nie jest piękna i nie jest inteligentna, ale ma zdecydowany charakter. Może narobić kłopotów. Już narobiła kłopotów między tobą a mną.

- Sophio! - krzyknąłem. Skierowała się ku drzwiom.

- Zapomnij o tym, Charlesie. Muszę zająć się lunchem.

- Pomogę ci.

- Nie. Zostań tutaj. Niania zrzędziłaby, że ma „dżentelmena w kuchni”.

- Sophio! - zawołałem za nią.

- Tak?

- Chciałem zapytać o służbę. Dlaczego jej nie macie?

- Dziadek miał kucharza, sprzątaczkę, pokojówkę i lokaja. Lubił służbę. Płacił im oczywiście bardzo dobrze. Clemency i Roger mają dochodzącą sprzątaczkę. Nie lubią służby, to znaczy Clemency nie lubi. Gdyby Roger nie jadł codziennie posiłków w pracy, głodowałby. Clemency uznaje tylko sałatę, pomidory i surową marchew. My czasem mamy służących, ale kiedy matka zaczyna szaleć, natychmiast odchodzą, więc przez pewien czas zatrudniamy służbę dochodzącą, a potem wszystko zaczyna się od nowa. Stale jest niania i to ona zażegnuje domowe niebezpieczeństwa. Teraz wiesz.

Sophia odeszła. Opadłem na jedno z wielkich brokatowych krzeseł i oddałem się spekulacjom.

Na górze zobaczyłem to od strony Brendy. Teraz poznałem punkt widzenia Sophii, a właściwie całej rodziny Leonidesów. Nie lubili obcej, która dostała się między nich podstępem. Mieli do tego pełne prawo...

Ale w zachowaniu Brendy było też coś ludzkiego, czego nie dostrzegali. Zawsze byli bogaci i dobrze sytuowani. Nie mieli pojęcia o pokusach biedaków. Brenda Leonides pragnęła bogactwa, ładnych rzeczy, bezpieczeństwa... i domu. Twierdziła, że w zamian uszczęśliwiała starego męża. Współczuł jej. Z pewnością podczas rozmowy z nią odczuwałem współczucie... Ale czy tak samo silnie czułem je teraz?

Dwie strony tej samej sprawy, dwa różne kąty widzenia... Który jest prawdziwy?

Mało spałem ubiegłej nocy. Od samego rana towarzyszyłem Tavemerowi. Teraz w ciepłej, pachnącej kwiatami atmosferze salonu Magdy Leonides, moje ciało odprężyło się w miękkich objęciach wielkiego fotela, moje powieki opadły...

Myślałem o Brendzie, Sophii, portrecie starego mężczyzny. Wszystko razem rozplynęło się w przyjemnej, obezwładniającej mgle.

Usnąłem...

## 10.

Wracałem do świadomości stopniowo, tak że z początku nie zdawałem sobie sprawy z tego, iż w ogóle spałem.

W nozdrzach czułem aromat kwiatów. Przed oczyma majaczyła mi unosząca się w powietrzu biała plama. Dopiero po kilku sekundach zrozumiałem, że patrzę na ludzką twarz, która sprawiała wrażenie zawieszonyj w powietrzu w odległości około pół metra ode mnie. Kiedy przytomność wróciła mi już w pełni, poprawiła się też wizja. Wpatrująca się we mnie twarz przypominała oblicze chochlika - była okrągła, miała wypukłe czoło, zaczesane do tyłu włosy i małe czarne oczy błyszczące jak dwa paciorki. Ale z całą pewnością należała do jakiegoś ciała, drobnego i chudego. Patrzyła na mnie badawczo.

- Cześć - powiedziała.

- Cześć - odpowiedziałem, mrugając powiekami.

- Jestem Josephine.

Odgadłem to już wcześniej. Na pierwszy rzut oka oceniłem, jedenaście lub dwanaście lat. Była fantastycznie brzydkim dzieckiem, z wyglądu podobnym do dziadka. Pomyślałem, że może posiada też jego inteligencję.

- Jesteś chłopakiem Sophii - powiedziała. Nie potwierdziłem prawdziwości tej uwagi.

- Ale przyjechałeś z inspektorem Tavernerem. Dlaczego przyjechałeś z inspektorem Tavernerem?

- To mój przyjaciel.

- Tak? Nie lubię go. Nie powiem mu.

- Czego?

- Tego, co wiem. Wiem dużo rzeczy. Lubię wiedzieć.

Usiadła na poręczu krzesła i natarczywie przyglądała się mojej twarzy. Poczulem się nieswojo.

- Dziadek został zamordowany. Wiedziałaś?

- Tak - odparłem. - Wiedziałem.

- Został otruty. E-se-ri-na - wymówiła starannie. - To ciekawe, prawda?

- Chyba tak.

- Eustace i ja bardzo się tym interesujemy. Lubimy kryminały. Zawsze chciałam być detektywem. Teraz nim jestem. Zbieram poszlaki.

Pomyślałem, że to rzeczywiście upiorne dziecko. Wróciła do zadawania pytań.

- Ten mężczyzna, który przyszedł z inspektorem Taveme-rem, to też detektyw, prawda? W książkach piszą, że detektywów w cywilu można rozpoznać po wysokich butach. Ale on nosi zamszowe półbuty.

- Stare porządki zmieniły się.

Josephine zinterpretowała tę uwagę po swojemu.

- Tak - powiedziała. - Teraz będzie dużo zmian. Zamieszkamy w domu na Embankment. Mama pragnęła tego od dawna. Ucieszy się. Ojcu będzie wszystko jedno, byle tylko mógł zabrać z sobą swoje książki. Wcześniej nie było go na to stać, stracił mnóstwo pieniędzy na „Jezebel”.

- Jezebel? - zdziwiłem się.

- Tak, widziałeś ją?

- Och, to sztuka? Nie, nie widziałem. Byłem za granicą.

- Krótko ją grali. Właściwie zrobiła kompletną klapę. Nie sądzę, by mama nadawała się do roli Jezebel, a ty?

Zastanowiłem się nad wrażeniem, jakie zrobiła na mnie Magda. Ani postać w brzoskwiowym peniuarze, ani ta w szytym na miarę kostiumie nie przywodziła na myśl Jezebel, ale mogły być jeszcze inne Magdy, których nie widziałem.

- Możliwe, że nie - powiedziałem ostrożnie.

- Dziadek zawsze mówił, że to będzie kłapa. Powiedział, że nie utopi pieniędzy w sztuce historyczno-religijnej, która nie ma szans na zrobienie kasy. Mnie się to przedstawienie nie podobało. Nie przypominało tej historii z Biblii. To znaczy Jezebel wcale nie była podła. Była patriotyczna i w ogóle miła. A przez to nudna. Tylko koniec był w porządku. Wyrzucili ją przez okno. Ale nie było psów, które by ją pożarły. Myślę, że szkoda, a ty? Ta część o psach i pożeraniu podoba mi się najbardziej. Mama mówi, że na scenie nie może być psów, ale nie rozumiem, dlaczego. Aktorzy mogliby zagrać psy. - Zacytowała z upodobaniem: *Pożarty ją, zostawiając jedynie dłonie*. Dlaczego nie zjadły dłoni?

- Nie mam pojęcia - odparłem.

- Nie sądzisz chyba, że psy mają szczególne prawa? Nasze psy nie mają. Jedzą wszystko.

Josephine dumiała kilka sekund nad biblijną tajemnicą.

- Przykro mi, że sztuka zrobiła klapę – powiedziałem.

- Tak. Mama ogromnie się martwiła. Recenzje były okropne. Kiedy je przeczytała, zalała się łzami i płakała cały dzień. Nawet rzuciła tacę ze śniadaniem w Gladys. To było zabawne.

- Widzę, że lubisz dramaty - zauważyłem.

- Zrobili dziadkowi sekcję zwłok - odparła Josephine. - Odkryli, że zmarł na APM.

Sądzę, że to kłopotliwa nazwa, bo skrót P.M. oznacza też premiera.

- Żal ci, że dziadek umarł? - zapytałem.

- Niespecjalnie. Nie lubiłam go. Nie pozwalał mi się uczyć baletu.

- Chciałaś się uczyć baletu?

- Tak. I mama tego chciała, a tato nie miał nic przeciwko temu, ale dziadek się nie zgodził.

Zsunęła się z poręczy krzesła, zrzuciła buciki i próbowała stanąć na czubkach palców.

- Trzeba mieć do tego odpowiednie pantofle – wyjaśniła - ale nawet wtedy można dostać okropnych odcisków na palcach. - Włożyła buty i zapytała niedbale: - Podoba ci się ten dom?

- Nie jestem pewien - odparłem.

- Teraz zostanie sprzedany. Chyba że nadal będzie tu mieszkać Brenda. I przypuszczam, że wuj Roger i ciotka Clemency teraz nie wyjadą.

- A mieli zamiar wyjechać? - zapytałem z nagłym zainteresowaniem.

- Tak. Chcieli wyjechać we wtorek. Gdzieś za granicę. Samolotem. Ciotka Clemency kupiła jedną z tych lotniczych walizek.

- Nie słyszałem nic o ich wyjeździe.

- Nie - zgodziła się Josephine. - Nikt nie wiedział. To była tajemnica. Nie zamierzali nikomu powiedzieć. Chcieli tylko zostawić notatkę dla dziadka.

Po chwili dodała:

- Ale nie przypiętą do poduszeczki na szpilki, jak to robią w staromodnych książkach żony, które opuszczają mężów. To głupie, a poza tym teraz nikt nie ma już poduszek na szpilki.

- Oczywiście. Czy wiesz, dlaczego wuj Roger chciał wyjechać?

Rzuciła mi znaczące spojrzenie.

- Myślę, że tak. Ma to jakiś związek z jego biurem. Wydaje mi się, ale nie jestem pewna, że coś sprzeniewierzył.

- Skąd wiesz?

Josephine przysunęła się tak blisko, że poczułem jej oddech na twarzy.

- W dniu, kiedy otruto dziadka, wuj Roger długo u niego przebywał. Rozmawiali i rozmawiali. Wuj Roger mówił, że nigdy nie był dobry, że zawiódł dziadka... i chyba nie chodziło mu o pieniądze, ale o to, że nie jest godzien zaufania. Był w okropnym stanie.

Popatrzyłem na dziewczynkę z mieszanymi uczuciami.

- Josephine - zapytałem - czy nikt ci nigdy nie mówił, że nieładnie jest podsłuchiwać pod drzwiami?

Dziewczynka energicznie kiwnęła głową.

- Oczywiście, że tak. Ale jeżeli chcesz coś odkryć, musisz podsłuchiwać pod drzwiami. Założę się, że inspektor Taverner też to robi.

- A nawet - ciągnęła dalej Josephine - jeżeli on tego nie robi, to na pewno ten drugi w półbutach. Szperają ludziom w biurkach, czytają listy i odkrywają sekrety. Tylko że to głupcy! Nie wiedzą, gdzie szukać!

Josephine mówiła z zimną wyższością. Byłem na tyle głupi, że nie wyciągnąłem z tego wniosków.

- Eustace i ja wiemy dużo rzeczy... ale ja więcej - chwaliło się to upierne dziecko. - I nie powiem mu. On twierdzi, że kobiety nie mogą być wielkimi detektywami. Ale ja uważam, że mogą. Zamierzam opisać wszystko w notatniku, a potem, kiedy policja się już podda, przyjdę i powiem: Ja wiem, kto to zrobił.

- Czytasz dużo kryminałów?

-Masę.

- I pewnie uważasz, że wiesz, kto zabił dziadka?

- Tak myślę... ale muszę jeszcze znaleźć więcej wskazówek. Inspektor Taverner sądzi, że to Brenda, prawda? Albo Brenda i Laurence razem, ponieważ się kochają.

- Nie powinnaś mówić takich rzeczy.

- Dlaczego nie? Kochają się.

- Nie możesz tego osądzić.

- Mogę. Piszą do siebie listy. Miłosne.

- Josephine! Skąd wiesz?

- Ponieważ je czytałam. Strasznie sentymentalne listy. Ależ ten Laurence jest cikliwy. Zbyt się bał, by walczyć na wojnie. Ukrył się w suterenie i palił w kotle. Kiedy padały bomby, zieleniał na twarzy. Eustace i ja śmialiśmy się z tego.

Nie wiem, co bym na to odpowiedział, ale akurat w tym momencie na podjeździe przed domem zatrzymał się jakiś samochód. Josephine błyskawicznie znalazła się w oknie z nosem przy szybie.

- Kto to? - zapytałem.

- Pan Gaitskill, prawnik dziadka. Chyba przyniósł testament.

Podeksycytowana wybiegła z pokoju, bez wątpienia w celu kontynuowania działalności śledczej.

Do salonu weszła Magda Leonides i ku mojemu zaskoczeniu podeszła do mnie i ujęła moje ręce.

- Mój drogi - powiedziała. - Dzięki Bogu, że tu nadal jesteś. Tak bardzo potrzebuję mężczyzny.

Puściła moje ręce i patrząc na siebie w lustrze, podeszła do krzesła z wysokim oparciem, zmieniła nieco jego pozycję, a potem wzięła ze stołu małe emaliowane pudełko i stała zadumana, otwierając je i zamykając.

Była to bardzo atrakcyjna poza.

W uchylonych drzwiach salonu pojawiła się głowa Sophii.

- Stało się coś? - zapytała Magda.

- Gaitskill! - wyszeptała Sophia i zniknęła za drzwiami.

Kilka chwil później weszła do salonu w towarzystwie niskiego, starego mężczyzny. Magda odstawiła pudełko i podeszła, by się z nim przywitać.

- Dzień dobry, pani Leonides. Idę na górę. Wygląda na to, że zaszło jakieś nieporozumienie odnośnie testamentu. Pani mąż napisał mi, że jakoby jest on w moim posiadaniu. Z zachowania pana Aristide Leonidesa wnioskowałem, że trzyma go w swoim sejfie. Czy wie pani coś o tym?

- O testamencie biedaczka? - Magda otworzyła oczy ze zdumienia. - Nie, oczywiście, że nie. Niech pan tylko nie mówi, że ta podła kobieta z góry zniszczyła go!

- Pani Leonides - potrząsnął upominające palcem - proszę nie snuć takich dzikich domysłów. To tylko kwestia odkrycia, gdzie pani teść trzymał testament.

- Ależ wysłał go do pana... na pewno to zrobił... po podpisaniu. Tak nam powiedział.

- Rozumiem - powiedział Gaitskill - że policja przejrzała dokumenty pana Leonidesa. Przepraszam bardzo, ale muszę porozmawiać z inspektorem Tavemerem. - Skłonił się lekko i wyszedł z pokoju.

- Kochanie - zaszlochała Magda. - Zniszczyła go. Wiem, że się nie mylę.

- Nonsens, mamó. Nie jest aż tak głupia, by zrobić coś takiego.

- To nie byłoby głupie. Jeżeli nie ma testamentu, ona odziedziczy wszystko.

- Ciii... wraca Gaitskill.

Prawnik ponownie wszedł do pokoju. Byli z nim inspektor Taverner i Philip.

- Ze słów pana Leonidesa - mówił Gaitskill - wywnioskowałem, że trzyma testament w bankowym sejfie.



Taverner potrząsnął głową.

- Jestem w kontakcie z bankiem. Nie mają tam żadnych prywatnych papierów pana Leonidesa.

- Zastanawiam się - rzekł Philip - ...czy Roger... lub ciocia Edith... Sophio, może poprosisz, by tu przyszli?

Ale Roger Leonides, który wraz z innymi dołączył do konklawe, nie wniósł nic nowego do sprawy.

- Ależ to nonsens... absolutny nonsens - stwierdził. - Ojciec podpisał testament i powiedział wyraźnie, że odsyła go do pana Gaitskilla.

- Jeżeli dobrze pamiętam - odezwał się prawnik - to na życzenie pana Leonidesa dwudziestego czwartego listopada ubiegłego roku przygotowałem według jego instrukcji projekt testamentu. Zaaprobował go i w odpowiednim czasie wysłałem mu testament do podpisu. Po upływie tygodnia ośmieliłem się mu przypomnieć, że nie otrzymałem go z powrotem po podpisaniu i zalegalizowaniu. Zapytałem, czy chce coś zmienić. Odpowiedział, że wszystko jest w absolutnym porządku, i dodał, iż po podpisaniu testamentu odesłał go do banku.

- Zgadza się - potwierdził Roger. - To było w końcu listopada ubiegłego roku... pamiętasz Philipie? Ojciec zebrał nas wszystkich razem i odczytał nam testament

Taverner odwrócił się do Philipa Leonidesa.

- Czy pan to potwierdza?

- Tak - odparł Philip.

- Zawsze uważałam, że w testamentach jest coś dramatycznego - westchnęła z egzaltacją Magda.

- Panno Sophio?

- Tak - przyznała Sophia. - Pamiętam doskonale.

- A postanowienia testamentu? - zapytał Taverner. Gaitskill miał zamiar odpowiedzieć, ale ubiegł go Roger.

- To był prosty testament. Electra i Joyce zmarły i ich pieniądze wróciły do ojca. Część majątku przypadającą synowi Joyce, Williamowi, który zginął w Birmie, otrzymał jego ojciec. Philip, ja i dzieci byliśmy więc jedynymi żyjącymi krewnymi. Ojciec zostawił pięćdziesiąt tysięcy funtów ciocie Edith, sto tysięcy i ten dom Brendzie. Reszta miała zostać podzielona na trzy części: dla mnie, Philipa i do podziału na Sophię, Eustace'a i Josephine. Wszystko się chyba zgadza, panie Gaitskill?

- To są postanowienia testamentu, który spisałem - przyznał prawnik, okazując pewną zgryźliwość, jako że nie pozwolono mu mówić.

- Ojciec odczytał nam testament - ciągnął Roger - i zapytał, i czy są jakieś uwagi. Oczywiście nie było.

- Jedynie Brenda... - zauważyła panna de Haviland.

- Tak - przyznała z satysfakcją Magda. - Powiedziała, że 11 u- /niesie tego, iż kochany Aristide mówi o śmierci. To „przyprawiało ją o dreszcze”. Twierdziła, że po jego śmierci nie chce żadnych pieniędzy!

- Był to - dodała panna de Haviland - konwencjonalny protest, typowy dla jej sfery.

Pomyślałem, że to bardzo złośliwa i okrutna uwaga. Nagle zrozumiałem, jak bardzo Edith de Haviland nie znosi Brendy.

- Testament był jasny i rozsądny - stwierdził Gaitskill.

- Co się stało po odczytaniu testamentu? - zapytał inspektor Taverner.

- Podpisał go - odparł Roger. Taverner pochylił się do przodu.

- Jak i kiedy się to odbyło?

Roger popatrzył błagalnie na żonę. W odpowiedzi na to spojrzenie Clemency przemówiła:

- Chce pan wiedzieć dokładnie, co miało miejsce?

- Tak, pani Leonides.

- Mój teść położył testament na biurku i zadzwonił po lokaja. Kiedy pojawił się Johnson, teść poprosił go, by sprowadził Janet Wolmer, pokojówkę. Kiedy byli tu już oboje, podpisał testament i poprosił ich, by potwierdzili jego podpis jako świadkowie.

- Prawidłowa procedura - rzekł Gaitskill. - Testament musi być podpisany przez testatora w obecności dwóch świadków, którzy muszą złożyć swe podpisy w tym samym czasie i miejscu.

- A potem? - zapytał Taverner.

- Teść podziękował im i wyszli. Następnie podniósł testament, włożył go do długiej koperty i powiedział, że następnego dnia odeśle go do pana Gaitskilla.

- Wszyscy się zgadzają - zapytał inspektor Taverner, rozglądając się dookoła - że to właśnie miało miejsce?

Rozległy się potwierdzające pomruki.

- Testament był na biurku. W jakiej odległości się państwo znajdowali?

- Niezbyt blisko. Pięć lub sześć metrów.

- Czy podczas czytania testamentu pan Leonides siedział za biurkiem?

- Tak.

- Czy wstał lub opuścił biurko po odczytaniu testamentu i przed podpisaniem go?

- Nie.

- Czy służba mogła odczytać dokument podczas składania podpisów?

- Nie - odparła Clemency. - Teść zakrył treść testamentu kartką czystego papieru.

- Zupełnie słusznie - zauważył Philip. - Zawartość testamentu nie powinna obchodzić służby.

- Rozumiem - rzekł Tavemer. - To znaczy... nie rozumiem. Energicznym ruchem wyciągnął długą kopertę i podał ją prawnikowi.

- Proszę spojrzeć i powiedzieć mi, co to jest.

Gaitskill wyjął z koperty poskładany dokument, rozłożył go i przebiegł po nim wzrokiem.

- To zdumiewające! - powiedział zaskoczony. - Nic nie rozumiem. Gdzie to było, jeżeli wolno zapytać?

- W sejfie wśród innych papierów pana Leonidesa.

- Ale co to jest? - zapytał Roger. - O co chodzi?

- To testament, który przygotowałem pańskiemu ojcu do podpisu... ale... nic nie rozumiem, po tym co tu usłyszałem... On nie jest podpisany.

- Co? Zatem to pewnie projekt

- Nie - odparł prawnik. - Pan Leonides zwrócił mi oryginalny projekt. Potem sporządziłem testament... właśnie ten - uderzył palcem w papier - i wysłałem go do podpisu. Zgodnie z tym, co tu usłyszałem, pan Leonides podpisał go na oczach wszystkich. Świadkowie też złożyli podpisy. A jednak testament nie jest podpisany.

- Ależ to niemożliwe! - wykrzyknął Philip Leonides z ożywieniem, jakiego wcześniej u niego nie widziałem.

- Czy pański ojciec miał dobry wzrok? - zapytał go Tavemer.

- Cierpiał na jaskrę. Do czytania używał silnych okularów.

- Czy miał je tego wieczora?

- Oczywiście. Zdjął okulary dopiero po złożeniu podpisu. Chyba się nie mylę.

- Nie mylisz się - potwierdziła Clemency.

- I nikt, jesteście tego państwo pewni, nie zbliżał się do biurka przed podpisaniem testamentu?

- Zastanawiam się - powiedziała Magda, mrużąc oczy - czy możemy sobie to teraz przypomnieć.

- Nikt nie podchodził do biurka - zapewniła Sophia. - Dziadek siedział przy nim cały czas.

- Biurko stało w tej pozycji co teraz? Nie bliżej drzwi, okna, ściany?

- Nie. Tam gdzie teraz.

- Próbuję ustalić, czy możliwa była jakaś zamiana - rzekł Taverner. - Musiało coś takiego nastąpić. Pan Leonides sądził, że podpisał dokument, który odczytał na głos.

- Czy podpis mógł zostać wymazany? - zapytał Roger.

- Nie, panie Leonides. W każdym razie nie bez pozostawienia śladów. Jest jeszcze jedna możliwość: to nie jest dokument przysłany przez pana Gaitskilla. Nie ten, który pan Leonides podpisał w państwa obecności.

- Wprost przeciwnie - zaprotestował prawnik. - Mogę przysiąc, że to oryginalny dokument. Papier ma skazę... w lewym górnym rogu... przypomina ona samolot. Zauważyłem ją wtedy i teraz.

Członkowie rodziny popatrzyli na siebie ze zdumieniem.

- Wyjątkowo dziwny zbieg okoliczności - rzekł Gaitskill. - Bez precedensu w moich doświadczeniach.

- To jest niemożliwe - powiedział Roger. - Przecież byliśmy tu wszyscy razem. To po prostu nie mogło się stać.

Panna de Haviland zakaszła sucho.

- Szkoda sobie strzepić język, mówiąc, że to, co się stało, D ic mogło się stać - zauważyła. - Jaka jest teraz nasza sytuacja? To chciałabym wiedzieć.

Gaitskill natychmiast stał się ostrożnym prawnikiem.

- Sytuację trzeba starannie zbadać - powiedział. - Ten dokument oczywiście unieważnia wcześniejsze testamenty. Są świadkowie, którzy widzieli, że pan Leonides podpisał go w dobrej wierze. Hm. Bardzo ciekawy problem prawniczy.

Tuerner zerknął na zegarek.

- Obawiam się, że opóźniłem państwa lunch.

- Może zje pan z nami, inspektorze - zaproponował Philip.

- Dziękuję, panie Leonides, ale jestem umówiony z doktorem Grayem.

Philip zwrócił się do prawnika.

- A pan?

- Dziękuję.

Wszyscy wstali. Zbliżyłem się dyskretnie do Sophii.

- Mam iść czy zostać? - wymruczałem. Zabrzmiało to jak śmieszny tytuł wiktoriańskiej piosenki.

- Myślę, że iść - odparła Sophia.

Cicho wysunąłem się z pokoju i podążyłem za Tavernerem. Zauważyłem Josephine, która jeździła tam i z powrotem na drzwiach prowadzących do pomieszczeń gospodarczych. Wyglądała na rozbawioną.

- Policjanci to głupcy - zauważyła. Sophia wyszła z salonu.

- Co robisz, Josephine?

- Pomagam niani.

- Mam nadzieję, że nie podsłuchiwałaś.

Josephine wykrzywiła twarz i schowała się za drzwiami.

- To dziecko to prawdziwy problem - stwierdziła z niepokojem Sophia.

## 11.

Kiedy wszedłem do pokoju komisarza w Yardzie, Taverner akurat kończył swoją opowieść o łańcuchu niedoli.

- To tyle - powiedział. - Przepytałem wszystkich i co uzyskałem? Nic! Żadnych motywów. A jedyne co mamy przeciwko żonie i jej młodemu przyjacielowi to to, że robił do niej cielece oczy, kiedy nalewała mu kawę!

- Uspokój się, mój drogi - pocieszyłem go. - Mnie poszło lepiej.

- Czyżby? Czego się dowiedziałeś?

Usiadłem, zapaliłem papierosa i zacząłem spokojnie relacjonować wszystko, czego dowiedziałem się od Josephine.

- Roger Leonides i jego żona planowali na przyszły wtorek wyjazd za granicę. Roger miał burzliwą rozmowę z ojcem w dniu jego śmierci. Stary Leonides odkrył jakieś nieprawidłowości w funkcjonowaniu zarządzanej przez syna firmy i Roger przyznał się do winy.

Taverner spurpurowiał na twarzy.

- Skąd, do diabła, o tym wiesz?! - wykrzyknął. - Jeżeli od służby...

- Nie od służby - odparłem. - Od prywatnego agenta.

- Co masz na myśli?

- I muszę powiedzieć, że zgodnie z kanonami najlepszych kryminalistów, on, a raczej ona... lub może lepiej powiedzieć ono, pokonało policję! Myślę też - ciągnąłem dalej - że mój prywatny detektyw ma w zanadrzu jeszcze kilka rzeczy.

Taverner otworzył usta i zaraz je zamknął. Chciał zadać tyle pytań, że nie wiedział, od czego zacząć.

- Roger! - zawołał. - Więc Roger jest nie w porządku, tak?

Poczułem do siebie lekką niechęć za to, że ujawniłem mu tę informację. Polubiłem Rogera Leonidesa i z wyraźnym oporem posyłałem psy sprawiedliwości na jego ślad. Było oczywiście możliwe, że informacja Josephine nie jest wiarygodna, ale raczej nie liczyłem na to.

- Więc ten dzieciak ci powiedział? - pytał Taverner. - Wygląda na to, że ona wie o wszystkim, co dzieje się w tym domu.

- Dzieci zwykle wiedzą - zauważył mój ojciec sucho.

Ta informacja, jeżeli była prawdziwa, zmieniała całą sytuację. Jeżeli Roger, jak to konfidencjonalnie sugerowała Josephine, sprzeniewierzył fundusze Associated Catering, a jego ojciec to odkrył, ucieszenie staruszka i opuszczenie Anglii, zanim prawda wyjdzie na jaw, mogło mieć dla niego życiowe /naczenie. Możliwe, że Rogerowi groziły sankcje karne. Było wice

oczywiste, że dochodzenie powinno skoncentrować się natychmiast na stanie finansowym jego firmy.

- Jeżeli zbankrutują, będzie to olbrzymi wstrząs - zauważył mój ojciec. - To wielki końcem. W grę wchodzi miliony.

- Gdyby to była prawda, mielibyśmy motyw - rzekł Taver-ner. - Ojciec, dowiedziawszy się o kłopotach Rogera, wzywa go do siebie. Ten załamuje się i wszystko wyznaje. Są sami. U ronda Leonides jest w kinie. Roger musi tylko pójść do ła-/ionki, opróżnić fiolkę z insuliną i napełnić ją eseriną. Równie dobrze mogła zrobić to jego żona. Była przecież tego dnia w skrzydle domu należącym do teścia - twierdzi, że poszła po łajkę, którą Roger tam zostawił. Ale mogła zająć się butelecz-k;j, zanim Brenda wróciła i zrobiła zastrzyk. Clemency jest /nna i zdolna do tego.

Kiwnąłem głową.

- Tak, rozważałem ją jako potencjalną wykonawczynię /hrodni. Jest zdolna do wszystkiego! Nie sądzę, by Roger użył trucizny. Ten trik z insuliną ma w sobie coś kobiecego.

- Jest wielu trucicieli rodzaju męskiego - rzucił sucho mój ojciec.

- O tak - przyznał Tavemer.

- A jednak nie stawiałbym na Rogera - upierałem się.

- Powiedzmy, że zrobili to razem - zaproponował Taver-ner.

- Z akcentem na Lady Macbeth - zauważył ojciec po wyjściu inspektora. - Czy tak ją widzisz, Charlesie?

Przywołałem na myśl szczupłą, wdzięczną sylwetkę stojącą przy oknie w surowym pokoju.

- Niezupełnie - odparłem. - Lady Macbeth była chciwa. Nie sądzę, żeby to była cecha Clemency Leonides. Zauważyłem, że nie dba o rzeczy materialne.

- Ale może dbać, i to desperacko, o bezpieczeństwo męża.

- Tak. I na pewno potrafi być... bezwzględna. „Różne rodzaje bezwzględności...”, tak powiedziała Sophia. Podniosłem wzrok i zauważyłem, że Staruszek mi się przygląda.

- O czym myślisz, Charlesie? - zapytał. Ale wtedy nie powiedziałem mu.

Następnego ranka ojciec wezwał mnie do siebie. Był już u niego Tavemer, który wyglądał na zadowolonego z siebie i podekscytowanego.

- Associated Catering wisi na włosku - powiedział ojciec.

- Może runąć w każdej chwili - dodał Taverner.

- Widziałem, że wczoraj wieczorem akcje gwałtownie spadły - zauważyłem - ale dzisiaj rano znowu poszły w górę.

- Musimy postępować ostrożnie - ciągnął Taverner. - Żadnego jawnego dochodzenia. Nie wolno nam wywołać paniki, by nie spłoszyć naszego skorego do ucieczki dżentelmena. Ale mam prywatne źródła informacji. Associated Catering jest na granicy bankructwa. Nie będzie w stanie dotrzymać zobowiązań. Prawda jest taka, że było przez całe lata fatalnie zarządzane.

- Przez Rogera Leonidesa?

- Tak. Jak wiesz, był szefem firmy.

- I przywłaszczał sobie pieniądze...

- Nie - zaprzeczył Taverner. - To nie to. Szczerze mówiąc, może być mordercą, ale nie jest oszustem. Raczej głupcem. W ogóle nie ma wyczucia do interesów. Robił różne posunięcia, kiedy należało się wstrzymać; wahał się i zwlekał, kiedy należało działać. Dawał pełnomocnictwa ludziom, którzy nigdy ich mieć nie powinni. To ufny facet i ufał niewłaściwym osobom. Za każdym razem i w każdej sytuacji popełniał błędy.

- Jest wielu takich ludzi - zauważył ojciec. - I wcale nie są to głupcy. Po prostu nie mają smykalki do interesów.

- Taki mężczyzna w ogóle nie powinien zajmować się biznesem - rzekł Taverner.

- Prawdopodobnie nie robiłby tego - powiedział mój ojciec - gdyby przypadkiem nie był synem Aristide Leonidesa.

- Interes kwitł w momencie, gdy staruszek mu go przekazywał. Powinien więc być kopalnią złota! Wystarczyło tylko siedzieć spokojnie i pozwolić, by biznes kręcił się sam.

- Nie. - Sprzeciwił się ojciec. - Żaden biznes nie kręci się sam. Zawsze trzeba podejmować decyzje, zwalniać i zatrudniać pracowników, planować. A Roger Leonides tego nie potrafił.

- Zgadza się - przyznał Taverner. - Jest bardzo lojalny. Trzymał najgorsze safanduly, tylko dlatego, że ich lubił. Czasami miewał również przedziwne, zupełnie niepraktyczne pomysły i nalegał na to, żeby je realizować pomimo ogromnego nakładu kosztów.

- Ale żadnych przestępstw? - dopytywał się ojciec.

- Żadnych.

- Zatem skąd to morderstwo? - zapytałem.

- Może był głupcem, a nie łotrem - odparł Taverner - ale rezultat jest taki sam... albo prawie taki sam. Jediną rzeczą, jaka by mogła ocalić Associated Catering, jest kolosalna suma pieniędzy do... - zajrzał do notesu - ...do następnej środy.

- Taka ilość, jaką by odziedziczył, czy raczej myślał, że odziedziczy po ojcu?

- Dokładnie.

- Ale przecież nie byłby w stanie dostać tej sumy w gotówce.



- Nie. Lecz otrzymałby kredyt. To to samo. Staruszek kiwnął głową.  
- Czy nie byłoby mu prościej poprosić starego Leonidesa o pomoc? - zasugerowałem.  
- Prawdopodobnie tak zrobił - rzekł Tavemer. - Myślę, że to właśnie podслуchała ta mała. Staruszek odmówił kategorycznie wyrzucania pieniędzy w błoto. To do niego podobne, sam wiesz.

Pomyślałem, że Tavemer ma rację. Aristide Leonides odmówił pomocy finansowej w wystawieniu sztuki Magdy, bo u-znał, że zrobi klapę. Okazało się, że miał rację. Był hojny, ale nie zamierzał tracić pieniędzy w nierentownych przedsięwzięciach. Uratowanie Associated Catering wymagało tysięcy funtów, a może setek tysięcy. Odmówił więc kategorycznie, skazując tym samym firmę na bankructwo. Jedynym więc sposobem uniknięcia finansowej ruiny była dla Rogera śmierć ojca.

Tak, on z pewnością miał motyw.

Staruszek zerknął na zegarek.

- Wezwałem go - powiedział. - Może przyjść w każdej chwili.

- Roger? -Tak.

- *Czy wejdiesz do mojego saloniku? Zapytał pajak muchę* -wymruczałem.

Taverner spojrział na mnie zaskoczony.

- Udzielimy mu stosownych ostrzeżeń - rzekł surowo.

Scena była przygotowana. Stenotypistka gotowa. Wkrótce rozległ się dzwonek interkomu i po kilku minutach Roger Leonides został wprowadzony do pokoju.

Wszedł energicznie i z typową dla siebie niezręcznością natychmiast potknął się o krzesło. Przypominał mi wielkiego, przyjaźnie usposobionego psa. Patrząc na niego, byłem pewien, że nie byłby w stanie zamienić insuliny na eserinę. Stłukłby butelkę, rozlał płyn lub w inny sposób sfuszerował całą operację. Pomyślałem, że musiała to zrobić Clemency, chociaż stroną bezpośrednio zainteresowaną był właśnie on.

Słowa posypały się jak lawina.

- Chcieli mnie panowie widzieć? Czy coś się wyjaśniło? Witaj, Charlesie. Nie zauważyłem, że tu jesteś. Miło cię widzieć. Ale proszę mi powiedzieć, panie Arthurze...

Taki miły facet, myślałem, taki sympatyczny. Ale wiele morderstw popełniali sympatyczni faceci ku zaskoczeniu przyjaciół. Czując się jak Judasz, uśmiechnąłem się na powitanie.

Mój ojciec był celowo zimny i oficjalny. Popłynęły gładkie zdania. Oświadczenie... żadnego przymusu... prawnik...

Roger Leonides zignorował je z charakterystyczną dla niego niecierpliwością.

Zobaczyłem sardoniczny uśmiech na twarzy inspektora Ta-Ycmera i odczytałem jego myśli.

„Zawsze tacy pewni siebie. Myślą, że nie mogą popełnić błędu. Aż za sprytni!”

Usiadłem dyskretnie w kącie i słuchałem.

- Wezwałem pana - rzekł mój ojciec - nie po to, by udzielać panu informacji, ale po to, by je od pana uzyskać. Chodzi mi o fakty, które pan wcześniej zataił.

Roger Leonides wyglądał na zaskoczonego.

- Zataiłem? Ależ powiedziałem wszystko... absolutnie wszystko!

- Sądzę, że nie. Rozmawiał pan z ojcem w popołudnie poprzedzające jego śmierć?

- Tak, tak, piłem z nim herbatę. Już mówiłem.

- O samym fakcie, ale nie o temacie konwersacji.

- Po prostu... rozmawialiśmy.

- O czym?

- O wydarzeniach dnia, o domu, Sophii...

- A o Associated Catering? Czy wspomiano o tym? Cały czas miałem cichą nadzieję, iż Josephine wymyśliła tę historię, ale ta nadzieja szybko zgasła.

Twarz Rogera zmieniła się. Zamiast dotychczasowego entuzjazmu odbijała się teraz na niej rozpacz.

- O Boże - westchnął.

Opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Tavemer uśmiechnął się jak zadowolony kot.

- Przyznaje więc pan, że nie był z nami szczery?

- Skąd o tym wiecie? Myślałem, że nikt nie wie. Nie rozumiem, jak ktokolwiek mógł się dowiedzieć.

- Mamy swoje sposoby, panie Leonides. - Zapadła majestatyczna cisza. - Myślę, że rozumie pan, iż lepiej powiedzieć prawdę.

- Tak, tak, oczywiście. Powiem. Co pan chce wiedzieć?

- Czy to prawda, że Associated Catering jest na progu bankructwa?

- Tak. Nic już firmy przed tym nie uchroni. Krach musi nadejść. Szkoda tylko, że ojciec dowiedział się o tym. Czuję się taki zawstydzony... zhańbiony...

- Czy grożą panu sankcje karne? Roger wyprostował się.

- Nie. Będzie bankructwo, ale honorowe. Jeżeli wykorzystam prywatne aktywa - a zamierzam to zrobić - wierzyciele dostaną dwadzieścia szylingów za funta. Czuję się zhańbiony, bo zawiodłem ojca. Dał mi swój największy koncern, swoją dumę i nadzieję. Nigdy się nie wtrącał, o nic nie pytał. Ufał mi... A ja go zawiodłem.

- Mówi pan, że nie grożą panu sankcje karne - rzekł mój ojciec sucho. - Zatem dlaczego pan i żona zamierzaliście w tajemnicy wyjechać za granicę?

- To też wiecie?

- Tak, panie Leonides.

- Nie rozumie pan? - Pochylił się z ożywieniem do przodu. - Nie mógłbym spojrzeć mu w oczy. Wyglądałoby na to, że proszę o pieniądze. On... bardzo mnie kochał. Chciałby mi pomóc. Ale ja nie mógłbym... nie dałbym rady... to by znaczyło zaczynanie wszystkiego od początku... a ja się do tego nie nadaję. Nie mam zdolności. Próbowałem. Ale nie nadaję się. Byłem nieszczęśliwy... Boże, jaki ja byłem nieszczęśliwy! Próbowałem, się z tego wyplątać, miałem nadzieję, że uda mi się jakoś wyjść z tego impasu i kochany staruszek nigdy się o tym nie dowie. A potem nie miałem już nadziei na uniknięcie krachu. Clemency, moja żona, zrozumiała. Zgodziła się ze mną. Wspólnie wymyśliliśmy, żeby nic nikomu nie mówić, wyjechać i przeczekać burzę. Miałem zamiar zostawić ojcu list, w którym chciałem wyjaśnić mu wszystko i błagać o wybaczenie. Był dla mnie zawsze taki dobry... nie wiecie o tym! Ale byłoby już za późno. Tego chciałem, nie prosić go o pomoc. Zacząć od nowa samodzielnie. Żyć prosto i skromnie. Hodować rośliny. Kawę... owoce. Mieć tylko najniezbędniejsze do życia rzeczy... To byłoby trudne dla Clemency, ale przysięgła, że nie będzie jej to przeszkadzało. Jest cudowna... absolutnie wspaniała.

- Rozumiem - odparł lakonicznie ojciec. - Co spowodowało, że zmienił pan zdanie?

- Zmieniłem zdanie?

- Tak. Co sprawiło, że jednak zdecydował się pan poprosić ojca o pomoc finansową?

Roger patrzył na niego zaskoczony.

- Ależ nie zrobiłem tego.

- Panie Leonides, po co się wypierać?

- Macie błędne informacje. Nie poszedłem do niego. To on posłał po mnie. Usłyszał coś. Jakieś pogłoski. Ktoś musiał mu donieść. Wyciągnął ze mnie wszystko. Załamałem się... Powiedziałem mu. Powiedziałem, że nie chodzi o pieniądze, ale o to, iż zawiodłem jego zaufanie. Z trudem przełknąłem ślinę.

- Kochany staruszek - kontynuował. - Nie wyobrażacie sobie, jaki był dla mnie dobry. Żadnych wyrzutów. Tylko dobroć. Powiedziałem mu, że nie chcę pomocy, że pragnę wyjechać, tak jak planowałem. Ale nie słuchał mnie. Powiedział, że przyjdzie mi na ratunek i ponownie postawi firmę na nogi.

- Chce pan, byśmy uwierzyli, że ojciec zamierzał pomóc panu finansowo? - odezwał się ostro Tavemer.

- Oczywiście. Sporządził od razu instrukcje dla swoich maklerów.

Widocznie dostrzegł niedowierzanie na twarzach obu mężczyzn, bo zarumienił się.

- Udowodnię to - powiedział. - Nadal mam ten list Zamierzałem go wysłać. Ale oczywiście później... po tym szoku... zapomniałem. Zaraz... powinien być w kieszeni.

Wyciągnął portfel i zaczął go przeszukiwać. W końcu znalazł to, czego szukał.

- O, jest! - zawołał uradowany.

Była to pognieciona koperta ze znaczkiem, na której dostrzegłem dwa nazwiska: Greatorex i Hanbury.

- Proszę to przeczytać, skoro mi panowie nie wierzycie - powiedział, kładąc list na biurku.

Ojciec rozdarł kopertę, wyjął z niej dokument i rzuciwszy na niego wzrokiem, podał go Tavernerowi. Nie czytałem wówczas listu, ale zapoznałem się z jego treścią później. Były to instrukcje dla panów Greatorexa i Hanbury'ego. Mieli oni zrealizować pewne przedsięwzięcia i następnego dnia zająć się sprawami Associated Catering. Niektóre polecenia były dla mnie niezrozumiałe, ale ich ogólny sens był wystarczająco jasny. Aristide Leonides zamierzał postawić kompanię na nogi.

- Damy panu na to pokwitowanie - rzekł Tavemer.

Roger przyjął kwit, po czym wstał i zapytał:

- Czy to wszystko? Rozumiecie teraz, jak to się stało?

- Ojciec dał panu ten list i pan wyszedł? Co pan później zrobił? - zapytał inspektor.

- Pobiegłem do siebie. Moja żona akurat wróciła z instytutu. Powiedziałem jej o propozycji ojca. O tym, jaki był cudowny. Ja... naprawdę, nie wiedziałem, co robię.

- A potem ojciec zachorował... po jakim czasie?

- Zaraz... pół godziny, może po godzinie. Przybiegła do nas Brenda. Była przerażona. Powiedziała, że ojciec wygląda dziwnie. Natychmiast pośpieszyłem za nią. Ale mówiłem to już wcześniej.

- Czy podczas poprzedniej wizyty wchodził pan do łazienki ojca?

- Chyba nie. Nie... Jestem pewien, że nie. A dlaczego? Chyba nie sądzi pan, że ja...

Mój ojciec stłumił jego nagle wzburzenie. Wstał i podał mu dłoń.

- Dziękuję, panie Leonides - powiedział. - Bardzo nam pan pomógł. Ale powinien pan powiedzieć to wcześniej.

Po wyjściu Rogera wstałem i podszedłem do stołu, żeby popatrzeć na list.

- Może być podrobiony - rzekł Tavemer z nadzieją.

- Może - zgodził się ojciec - ale nie sądzę, by był. Myślę, że musimy to zaakceptować. Stary Leonides chciał wyciągnąć syna z bagna. Był więc potrzebny Rogerowi żywy, szczególnie, że nie znaleziono testamentu i kwestia dziedziczenia w przypadku Rogera pozostaje sprawą otwartą. Oznacza to dla niego opóźnienie i trudności w realizacji zobowiązań finansowych. W obecnej sytuacji krach jest nieunikniony. Nie, Roger Leonides i jego żona nie mieli motywu do usunięcia staruszka. Wprost przeciwnie...

Urwał i powtórzył zamyślony, jakby nagle coś mu przyszło do głowy:

- Wprost przeciwnie...

- Co pan ma na myśli? - zapytał Taverner. Ojciec odpowiedział powoli:

- Gdyby Aristide Leonides przeżył jeszcze dwadzieścia cztery godziny, Roger byłby uratowany. Ale nie przeżył ich. Zmarł nagle i dramatycznie w niecałą godzinę po rozmowie z Rogerem.

- Hm - zamyślił się Taverner. - Sądzi pan, że ktoś chciał, by Roger zbankrutował? Ktoś, dla kogo jego firma stanowiła konkurencję? Mało prawdopodobne.

- Co z testamentem? - zapytał ojciec. - Kto właściwie dostanie pieniądze starego Leortidesa?

Taverner westchnął zirytowany.

- Wie pan, jacy są prawnicy. Nie można uzyskać prostej odpowiedzi. Jest wcześniejszy testament Spisany po drugim małżeństwie. Zapisał w nim tyle samo żonie, mniej pannie de Haviland, a resztę do podziału między Philipa i Rogera. Myślałem, że skoro nowy testament nie został podpisany, to stary będzie miał moc prawną, ale to chyba nie takie proste. Spisanie nowego testamentu unieważniło stary. Są świadkowie na to, że został podpisany, znamy także intencje testatora. A jeżeli założyć, że zmarł nie zostawiwszy testamentu, to cały majątek dziedziczy wdowa - wszystkie pieniądze albo dożywocie.

- Więc Brenda jest osobą, która na tym korzysta?

- Tak. I jeżeli był jakiś hokus-pokus z tym testamentem, to prawdopodobnie ona maczała w tym palce. A jasne jest, że był hokus-pokus, ale zupełnie nie rozumiem, jak do tego doszło.

Ja też nie rozumiałem. Teraz wiem, że byliśmy wyjątkowo głupi. Ale patrzyliśmy na to, oczywiście, pod niewłaściwym kątem.

## 12.

Po wyjściu Tavernera przez chwilę panowała cisza.

- Tato, jacy są mordercy? - zapytałem.

Staruszek popatrzył na mnie zamyślony. Zawsze rozumieliśmy się bardzo dobrze, tak że dokładnie wiedział, co mam na myśli zadając to pytanie.

- Tak - odparł. - To teraz ważne... bardzo ważne dla ciebie... Morderstwo dotyczy także i twojej osoby. Nie możesz patrzeć na nie z zewnątrz.

Zawsze interesowałem się w amatorski sposób bardziej spektakularnymi sprawami, które ojciec prowadził, ale jak powiedział, interesowałem się nimi z zewnątrz, patrzyłem na nie jak gdyby przez sklepową wystawę. Ale teraz, co Sophia zauważyła dużo wcześniej niż ja, morderstwo stało się istotnym czynnikiem mojego życia.

- Nie wiem, czy jestem odpowiednią osobą, by odpowiadać na twoje pytanie - ciągnął Staruszek. - Może powinieneś porozmawiać z naszymi psychiatrami. Powiedzieliby ci to klarownie i bez emocji. Może lepszy ode mnie byłby Taverner. Ale chcesz usłyszeć, co ja osobiście sędzę o przestępstwach, prawda?

- Tego właśnie chcę - odpowiedziałem z wdzięcznością. Ojciec nakreślił palcem okrąg na blacie biurka.

- Jacy są mordercy? Niektórzy - na jego twarzy ukazał się melancholijny uśmiech - to naprawdę mili ludzie.

Widocznie wyglądałem na zaskoczonego, bo pokiwał głową i IM wtórzył:

O tak, to prawda. Sympatyczni, zwyczajni ludzie jak ty i M... lub jak facet, który właśnie stąd wyszedł - Roger Leonides. Widzisz, morderstwo to przestępstwo amatorów. Mówię oczywiście o tego typu morderstwie, jakim właśnie się zajmujemy, a nie o gangsterskich zbrodniach. Często czuje się, że ci sympatyczni, zwyczajni ludzie zostają zamieszani w morderstwo przypadkowo. Są w ślepych zaułku albo bardzo czegoś pożądamy, na przykład pieniędzy lub kobiety, i zabijają, by to osiągnąć. Nie mają hamulców, które działają u większości ludzi. To tak jak dziecko, które bez skrpułów przedkłada pragnienie nad działanie. Kiedy dziecko złości się na kociaka, mówi: Zabiję cię, i faktycznie uderza go młotkiem w głowę, a potem rozpacza, że kotek nie chce ożyć. Wiele dzieci próbowało wyjąć niemowlę z wózka i „utopić je”, ponieważ uważały, że odebrało im miłość ich rodziców albo po prostu przeszkadzało w zabawie. Dzieci najpierw wiedzą, że coś jest „złe”, bo zostaną za to ukarane. Później zaczynają czuć, że to jest złe. Ale podejrzewam, że niektórzy ludzie nigdy nie dojrzewają psychicznie. Są świadomi, że morderstwo jest złe, ale nie czują tego. Nie sędzę, na

podstawie moich wieloletnich doświadczeń, by mordercy mieli wyrzuty sumienia... Może to piętno Kaina. Mordercy są ponad przeciętnymi ludźmi, są „inni”... Morderstwo jest złe... ale nie dla nich... dla nich jest konieczne... ofiara „sama się o to prosiła”. Było to Jedyne wyjście”.

- Czy myślisz - zapytałem - że gdyby ktoś nienawidził starego Leonidesa, i to przez bardzo długi okres, to mógłby to być powód do zabicia go?

- Czysta nienawiść? Mało prawdopodobne. - Ojciec popatrzył na mnie zaciekawiony. - Kiedy mówisz nienawiść, rozumiem, że masz na myśli niechęć posuniętą aż do granic możliwości. Nienawiść z zazdrości, to co innego - wyzwala frustrację i gwałtowne uczucia. Wszyscy mówili, że Con-stance Kent kochała swego maleńkiego brata, którego zabiła, ale pragnęła uwagi i miłości, którymi go obdarzano. Sądzę, że ludzie częściej zabijają tych, których kochają, niż tych, których nienawidzą. Może dlatego, że tylko ludzie, których kochamy, mogą sprawić, że nasze życie staje się nie do zniesienia. - Ale to niewiele ci daje, prawda? - ciągnął. -Jeżeli dobrze cię zrozumiałem, to potrzebny ci jest jakiś znak, który pomógłby ci odróżnić mordercę od normalnych ludzi?

- Tak.

- Czy jest jakiś wspólny mianownik? Zastanawiam się. Wiesz - zamyślił się na chwilę -jeżeli jest, to powiedziałbym, że to próżność.

- Próżność?

- Tak. Nigdy nie spotkałem mordercy, który by nie był próżny... Próżność prowadzi do zbrodni w dziewięciu przypadkach na dziesięć. Mogą bać się, że zostaną złapani, ale zwykle są dumni i pewni, iż nikt ich nie złapie, bo są na to za sprytni.

- Jest jeszcze coś - dodał po chwili - Morderca chce mówić.

- Mówić?

- Tak. Widzisz, popełnienie zbrodni sprawia, że morderca staje się niezwykle samotny. Chce komuś o tym opowiedzieć... i nie może. Więc skoro nie wolno mu mówić, jak to zrobił, mówi o samej zbrodni, dyskutuje o niej, snuje teorie i tym podobne. Gdybym był tobą, Charlesie, szukałbym właśnie tego. Wracaj tam i pozwól im mówić. Winni czy niewinni będą zadowoleni z możliwości porozmawiania z kimś obcym. Mogą ci powiedzieć rzeczy, których nie zdradziliby sobie nawzajem. Możliwe, że spostrzeżesz jakieś różnice. Ludzie, którzy mają coś do ukrycia, nie mogą sobie pozwolić na to, by w ogóle mówić. Tak było w służbie wywiadowczej podczas wojny. Jeżeli cię schwytano, mogłeś podać tylko nazwisko, rangę i numer, nic więcej. Ludzie, którzy próbują kłamać, prawie zawsze z czymś się wydają. Pozwól więc, by ludzie z tego domu zaczęli mówić i staraj się znaleźć jakieś potknięcie lub nieścisłość.

Opowiedziałem mu o spostrzeżeniach Sophii na temat bezwzględności w rodzinie, różnych rodzajów bezwzględności. Zainteresowało go to.

- Tak - przyznał. - Coś w tym jest. Większość rodzin ma jakiś defekt w genach. Wiele osób potrafi sobie radzić z jedną słabością, ale mogą nie być w stanie radzić sobie ze słabościami różnego rodzaju. Ciekawa rzecz, dziedziczność. Weź na przykład bezwzględność de Havilandów i brak skrupułów u Leonidesów. Havilandowie radzą sobie, ponieważ mają skrupuły, a Leonidesowie - ponieważ mimo braku skrupułów są życzliwi. Ale weźmy potomka, który odziedziczył obie cechy. Wiesz już, co mam na myśli?

Do tej pory nie myślałem o tym w tych kategoriach.

- Ale nie będę ci teraz zwracał głowy dziedzicznością - powiedział ojciec. - To zbyt skomplikowana i niejasna sprawa. Nie, mój chłopcze, idź tam i pozwól im mówić. Twoja Sophia ma rację. Tylko prawda może wam pomóc. Musisz wiedzieć.

Kiedy wychodziłem z pokoju dodał:

- Uważaj na dziecko.

- Josephine? Czy chodzi ci o to, że nie można polegać na tym, co ona mówi?

- Nie. Chodziło mi o to, byś się nią opiekował. Nie chcemy, żeby coś się jej stało.

Popatrzyłem na niego zaskoczony.

- Tylko pomyśl, Charlesie. W tym domu jest bezwzględny morderca. A wygląda na to, że Josephine dużo wie.

- Z pewnością wiedziała o Rogerze, nawet jeżeli błędnie wywnioskowała, że jest oszustem. Zdaje mi się, że ma wprawę w podsłuchiwanie.

- Tak. Świadek dziecka jest zawsze najlepszy. Można na nim polegać. Oczywiście nie nadaje się dla sądu. Dzieci nie sprawdzają się podczas przesłuchania. Mamrocą, zachowują się idiotycznie, mówią, że nie wiedzą. Najlepsze są wtedy, kiedy się popisują. To właśnie robiła Josephine. Popisywała się. W ten sposób zdobędziesz od niej więcej informacji. Nie zadawaj pytań. Udawaj, że sądzisz, iż ona nic nie wie. To ją skłoni do mówienia.

Po chwili dodał:

- Ale uważaj na nią. Może wiedzieć coś, co zagraża czyje-muś bezpieczeństwu.



### 13.

Pojechałem do Domu Przeszłości (tak go sobie zacząłem nazywać) z lekkim poczuciem winy. Chociaż powtórzyłem Tavernerowi wszystko, czego dowiedziałem się od Josephine o Rogerze, to jednak nie powiedziałem mu ani słowa na temat miłosnych listów Brendy i Laurence'a Browna.

Sam przed sobą udawałem, że to czysta fantazja i że nie ma powodu wierzyć w prawdziwość tej informacji. Ale w rzeczywistości czułem dziwną niechęć do gromadzenia dodatkowych dowodów przeciwko Brendzie. Wynikało to niewątpliwie z wrażenia, jakie zrobiła na mnie jej sytuacja w tym domu. Była otoczona przez wrogą rodzinę, solidarnie zjednoczoną przeciwko niej. Pomyślałem sobie, że jeżeli nawet takie listy istnieją, to wcześniej czy później Taverner i jego policjanci znajdą je. Nie chciałem rzucać nowych podejrzeń na kobietę, która i tak znajdowała się w trudnej sytuacji nie do pozazdroszczenia. Poza tym zapewniła mnie uroczyście, że między nią a Laurencem nic nie było i czułem iż powinienem wierzyć raczej jej niż temu złośliwemu gnomowi, Josephine. Czyż Brenda sama nie powiedziała, że to dziecko ma „nie po kolei w głowie”?

I choć w głębi duszy czułem, że Josephine „ma wszystko po kolei”, starałem się stłumić w sobie to wrażenie. Wciąż jednak pamiętałem inteligencję w czarnych oczach dziecka.

Zadzwoiłem do Sophii i lapytałem, czy mogę znowu przyjechać.

- Oczywiście - odpowiedziała.

- Jak tam sprawy?

- Nie wiem. Nadal przeszukują dom. Czego szukają?

- Nie mam pojęcia.

- Wszyscy robimy się coraz bardziej nerwowi. Przyjeżdżaj jak najszybciej. Oszaleję, jeżeli z kimś nie porozmawiam.

Natychmiast wsiadłem do taksówki i udałem się do Trzech Szczytów.

Kiedy podjechałem pod frontowe drzwi, nie dostrzegłem nikogo. Zapłaciłem taksówkarzowi i samochód odjechał. Nie byłem pewien czy zadzwonić, czy po prostu wejść. Drzwi były otwarte.

Nagle usłyszałem za sobą jakiś szmer. Odwróciłem się. W przerwie pomiędzy cisowym żywopłotem stała Josephine z twarzą częściowo ukrytą za olbrzymim jabłkiem i patrzyła na mnie.

- Witaj, Josephine - odezwałem się do niej z uśmiechem.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się na pięcie i zniknęła za żywoplotem. Ruszyłem za nią. Siedziała na niewygodnej ławeczce, kiwając nogami i gryząc jabłko. Rzuciła mi ponure, wrogie spojrzenie.

- Przyjechałem znowu - powiedziałem.

Był to kiepski początek, ale milczenie Josephine i jej nieruchome spojrzenie wyprowadzały mnie z równowagi.

Nie odpowiedziała, wykazując znakomite wycucie właściwej strategii.

- Dobre to jabłko? - zapytałem.

Tym razem raczyła odpowiedzieć. Jednym słowem.

- Wodniste.

- To szkoda - odparłem. - Nie lubię wodnistych jabłek.

- Nikt nie lubi - odrzekła pogardliwie.

- Dlaczego nie odpowiedziałas na moje powitanie?

- Nie miałam ochoty.

- Dlaczego?

Josephine odjęła jabłko od twarzy, by móc wyraźnie okazać mi swoje potępienie.

- Doniosłeś na policji - powiedziała.

- Och! - Byłem trochę zaszokowany. - Masz na myśli...

- Wuj Rogera.

- Ale wszystko jest w porządku - zapewniłem ją. - Wiedzą, że nie zrobił nic złego, nie sprzeniewierzył pieniędzy ani nic w tym rodzaju.

Josephine rzuciła mi zirytowane spojrzenie.

- Jesteś głupi.

- Przykro mi.

- Nie martwiłam się o wuja Rogera. Chodzi mi o to, że tak nie postępuje detektyw. Nie wiesz, że nigdy nie mówi się nic policji aż do samego końca?

- Och, rozumiem - powiedziałem. - Przepraszam cię, Josephine. Naprawdę bardzo cię przepraszam.

- Powinieneś - mruknęła i dodała z wyrzutem: - Zaufałam ci.

Przeprosiłem ją po raz trzeci. Josephine nieco złagodniała.

Ugryzła kilka kęsów jabłka.

- Ale policja i tak by to odkryła - powiedziałem. - Ty... Ja... my nie mogliśmy utrzymać sekretu.

- Dlatego że on zbankrutuje?

Jak zwykle była dobrze poinformowana.

- Przypuszczam, że do tego dojdzie.

- Będą o tym dzisiaj rozmawiać - zakomunikowała Josephine. - Ojciec, matka, wuj Roger i ciotka Edith. Ciotka Edith da mu swoje pieniądze... tylko że jeszcze ich nie ma... Ale nie sądzę, by zrobił to także ojciec. Mówi, że Roger sam się w to wpakował i że tylko jego można winić, więc nie będzie wrzucał pieniędzy w błoto. Matka również jest przeciwna temu, bo chce, żeby ojciec sfinansował „Edith Thompson”. Znasz historię Edith Thompson? Nie lubiła swojego męża. Kochała młodego mężczyznę o nazwisku Bywaters i on zasztyletował jej męża.

Raz jeszcze mogłem podziwiać rozległą wiedzę Josephine i jej wycucie dramatyzmu.

- Brzmi to nieźle - ciągnęła dziewczynka - ale nie przypuszczam, by sztuka była taka.

Stanie się to samo, co z Jezebel”.

- Westchnęła. - Chciałabym wiedzieć, dlaczego psy nie zjadły jej dłoni.

- Josephine - zacząłem - powiedziałaś mi, że jesteś prawie pewna, kto jest mordercą.

- Tak.

- Kto to?

Rzuciła mi pogardliwe spojrzenie.

- Rozumiem - powiedziałem. - Dopiero w ostatnim rozdziale? Nawet jeżeli obiecuję, że nie powiem inspektorowi Tavernerowi?

- Potrzebuję jeszcze kilku wskazówek - odparła. - A zresztą - dodała, wyrzucając ogryzek do sadzawki - i tak ci nie powiem. Jesteś nikim, jedynie Watsonem.

Przełknąłem tę zniewagę.

- OK - powiedziałem. - Jestem Watsonem. Ale nawet Watson miał dane.

- Co?

- Fakty. I błędnie dedukowałem. Czy nie chciałabyś zobaczyć, jak błędnie dedukuję? To byłoby zabawne.

Widziałem, że przez chwilę czuła pokusę, by zabawić się moim kosztem, ale szybko opanowała ją.

- Nie - rzuciła ostro. - Poza tym nie lubię Sherlocka Holmesa. Jest strasznie staromodny. I jeździ dwukołowym wozem.

- A co z tymi listami? - zapytałem.

- Z jakimi listami?

- Mówiłaś, że Laurence i Brenda piszą do siebie.

- Wymyśliłam to.

- Nie wierzę ci.

Ależ tak. Często zmyślam. To mnie bawi.

Popatrzyłem na nią. Odwróciła wzrok.

- Posłuchaj, Josephine. Znam człowieka w British Museum, który wie bardzo dużo na temat Biblii. Jeżeli dowiem się od niego, dlaczego psy nie zjadły dłoni Jezebel, czy powiesz mi, co było w tych listach?

Tym razem naprawdę się zawahała.

Gdzieś w pobliżu głośno trzasnęła złamana gałązka.

- Nie - odpowiedziała Josephine stanowczo.

Poddałem się. Trochę za późno przypomniałem sobie radę ojca.

- No dobrze - powiedziałem. - Tylko zabawa. Oczywiście, tak naprawdę nic nie wiesz.

Oczy dziewczynki błysnęły ogniem, ale nie dała się złapać na tę przynętę. Wstałem.

- Muszę iść znaleźć Sophię - powiedziałem. - Chodź ze mną.

- Zostanę tutaj - odparła Josephine.

- Nic z tego. Idziesz ze mną.

Bezceremonialnie poderwałem ją na nogi i pociągnąłem za sobą. Była zaskoczona i próbowała protestować, ale w końcu dała się poprowadzić - prawdopodobnie głównie dlatego, że chciała zobaczyć reakcje domowników na moją ponowną wizytę.

Sam nie wiedziałem, dlaczego tak bardzo nalegałem na to, by mi towarzyszyła. Uświadomiłem to sobie dopiero, gdy wchodziliśmy do domu.

Powodem tego było nagle trzaśnięcie gałązki.

## 14.

Z salonu dobiegał szmer głosów. Zawahałem się, ale nie wszedłem. Powędrowałem przez korytarz i tknięty jakimś impulsem pchnąłem znajdujące się u jego wylotu drzwi. Był za nimi kolejny, ciemny pasaż, ale nagle otworzyły się inne drzwi i ujrzałem dużą oświetloną kuchnię. Na progu stała kobieta, gruba i stara. Talię przepasaną miała czystym białym fartuchem i kiedy ją tylko zobaczyłem, wiedziałem, że wszystko będzie w porządku. Jest to uczucie, które zawsze wywołuje widok dobrej niani. Mam trzydzieści pięć\* lat, ale poczułem się jak czteroletni chłopczyk.

O ile mi było wiadomo, niania mnie nigdy nie widziała, ale powiedziała od razu:

- To pan Charles, prawda? Proszę wejść do kuchni i wypić ze mną filiżankę herbaty.

Była to duża, dająca poczucie bezpieczeństwa kuchnia. Usiadłem przy stole, a niania podała mi herbatę i dwa słodkie biszkopiki. Czułem się jak w czasach dzieciństwa. Wszystko było w porządku. Zniknął gdzieś lęk przed nieznanym.

- Panienska Sophia ucieszy się, że pan przyszedł - zauważyła niania. - Jest ostatnio nadmiernie zdenerwowana. Wszyscy są nadmiernie zdenerwowani - dodała t dezaprobatą.

Obejrzałem się do tyłu.

- Gdzie Josephine? Weszła ze mną. Niania machnęła ręką.

- Pewnie słucha pod drzwiami i zapisuje wszystko w tej głupiej małej książeczce, którą z sobą nosi - powiedziała. - Powinna chodzić do szkoły i bawić się z dziećmi w jej wieku. Mówiłam to pannie de Haviland i ona się ze mną zgadza, ale pan uważał, że lepiej będzie, jeśli pozostanie w domu.

- Przypuszczam, że ją kocha - zauważyłem.

- Tak. Wszystkich ich kochał.

Zdziwiłem się, dlaczego uczucia Philipa do rodziny miałyby należeć do przeszłości. Niania widocznie musiała to zauważyć, bo zarumieniła się i wyjaśniła:

- Kiedy powiedziałam „pan”, miałam na myśli starego pana Leonidesa.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, drzwi otworzyły się gwałtownie i weszła Sophia.

- Charles! - zawołała i dodała szybko: - Och, nianiu, tak się cieszę, że przyszedł.

- Wiem, kochanie.

Niania zebrała garnki i patelnie i wyszła z nimi do przyległego pomieszczenia, gdzie zmywano naczynia. Kiedy drzwi za nią zamknęły się, wstałem i podszedłem do Sophii. Ująłem jej rękę. Były zimne jak lód. Drżała.

- Kochana, co ci jest? - zapytałem, przytulając ją mocno do siebie.

- Boję się, Charlesie - wyszeptała cicho. - Boję się.

- Kocham cię. Gdybym mógł cię stąd zabrać...

Odsunęła się i potrząsnęła głową.

- Nie, to niemożliwe. Musimy przez to przejść. Ale uczucie, że ktoś... ktoś w tym domu... ktoś, z kim codziennie rozmawiam, jest zimnym, bezwzględnym mordercą...

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Kogoś takiego jak Sophia niełatwo jest uspokajać frazesami bez znaczenia.

- Gdybyśmy tylko wiedzieli... - szepnęła.

- Tak - zgodziłem się.

- Wiesz, co mnie przeraża najbardziej? - ciągnęła - To, że możemy się nigdy nie dowiedzieć... To byłby koszmar.

Słowa Sophii uświadomiły mi, że jest to bardzo prawdopodobne. Co będzie, jeśli nigdy nie odkryjemy prawdy o śmierci starego Leonidesa? Co stanie się z nami? Te pytania dręczyły Sophię, ale ja starałem się o tym nie myśleć. Przynajmniej teraz.

- Powiedz mi - zacząłem - ile osób wiedziało o kroplach do oczu. To znaczy o tym, że twój dziadek je miał i że to silna trucizna?

- Rozumiem, do czego zmierzasz. Ale nic z tego. Wszyscy wiedzieliśmy.

- Jesteś pewna?

- Tak. Siedzieliśmy kiedyś z dziadkiem przy kawie. Lubił mieć całą rodzinę przy sobie. Bolały go oczy, Brenda zapuściła mu krople, a Josephine, która zawsze musi wszystko wiedzieć, zapytała: „Dlaczego na etykietce jest napisane: Krople do oczu - ostrożnie!!” Dziadek uśmiechnął się i odparł: „Gdyby Brenda pomyliła się i zamiast insuliny wstrzyknęła mi kiedyś te krople, zrobiłbym się niebieski na twarzy i umarłbym. Moje serce by nie wytrzymało”. A Josephine na to: „Oooo!”. Dziadek zaś kontynuował: „Musimy więc uważać, by Brenda nie zrobiła mi takiego zastrzyku, prawda?” - Sophia zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Wszyscy tam siedzieliśmy. Rozumiesz? Wszyscy słyszeliśmy..

Rozumiałem. Wydawało mi się wcześniej, że mordercy potrzebna była jakaś specjalna wiedza na temat stanu zdrowia i przypadłości starego Leonidesa. Ale teraz okazało się, że Aristide sam podsunął sposób zamordowania go. Zbrodniarz nie musiał nic planować. Prosta metoda morderstwa została mu podsunięta przez samą ofiarę.

Wzięłem głęboki oddech.

- To przerażające, prawda? - powiedziała Sophia, jakby odgadując moje myśli.

- Wiesz, Sophio - zacząłem powoli - jest coś, co mnie uderza w tej sprawie.

- Tak?

- Że masz rację co do Brendy. To rzeczywiście nie mogła być Brenda. Nie mogła zrobić tego dokładnie w taki sposób, skoro wszyscy to słyszeliście.

- Czy ja wiem? Ona jest ślepa w pewnych sprawach.

- Ale nie aż tak ślepa. Nie, to nie mogła być Brenda.

Sophia odsunęła się ode mnie.

- Nie chcesz, żeby to była Brenda, prawda? - zapytała.

Czy mogłem na to odpowiedzieć? Nie mogłem... po prostu nie mogłem powiedzieć kategorycznie: Mam nadzieję, że to Brenda.

Dlaczego nie? Czuję, że Brenda jest samotna, że otaczają ją wyraźną niechęć całej potężnej rodziny Leonidesów. Rycerskość? Litość dla słabszego? Współczucie dla tego, kto nie mógł się bronić? Przypomniałem sobie, jak siedziała na sofie w bogatej żałobie, z bezradnością w głosie i strachem w oczach.

Na szczęście akurat wróciła niania, której obecność złagodziła napięcie między mną a Sophia.

- Rozmawiacie o morderstwach - powiedziała z dezaprobatą. - Dajcie sobie z tym spokój. Zostawcie to policji. To ich parszywy interes, nie wasz.

- Och, nianiu... czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że ktoś w tym domu jest mordercą?

- Nonsens, panienko, nie mam już do tego cierpliwości. Czy drzwi frontowe nie są przez cały czas otwarte... wszystkie drzwi? Nic nie jest pozamykane... jakby specjalnie dla złodziei i włamywaczy...

- Ale to nie był włamywacz. Nic nie zginęło. Poza tym dlaczego włamywacz miałby kogoś truć?

- Nie powiedziałam, że to był włamywacz, panienko. Zauważyłam tylko, że wszystkie drzwi były otwarte. Każdy mógł wejść. Moim zdaniem zrobili to komuniści.

Niania kiwnęła głową z nie skrywaną satysfakcją.

- Dlaczego, do licha, komuniści mieliby mordować biednego dziadka?

- Wszyscy mówią, że oni stoją za wszystkim. A jeżeli nie komuniści, to katolicy.

Po tych słowach niania ponownie opuściła kuchnię. Roześmialiśmy się.

- Oto dobra protestantka - powiedziałem.

- Owszem - zgodziła się Sophia. - Chodź do salonu. Zbiera się tam rodzinne konklawe.

Było zaplanowane na wieczór, ale zaczęło się wcześniej.

- Może nie powinienem się wtrącać?

- Jeżeli zamierzasz wżenić się w rodzinę, to lepiej, żebyś ją poznał.

- Na jaki temat będzie dyskusja?

- O kłopotach Rogera. Chyba już coś o tym wiesz. Ale jesteś szalony, jeżeli myślisz, że Roger zabił dziadka. On go uwielbiał.

- Nie sądzę, by Roger to zrobił. Raczej stawiam na Clemency.

- Tylko dlatego, że ci podsunęłam ten pomysł. I mylisz się. Nie wydaje mi się, żeby Clemency przejęła się zbyt utratą pieniędzy. Jest raczej zadowolona. Ona ma dziwną pasję nieposiadania rzeczy. Chodź.

Kiedy weszliśmy z Sophia do salonu, rozmowy gwałtownie się urwały. Wszyscy patrzyli na nas.

Zebrała się cała rodzina. Philip zajął miejsce w wielkim fotelu między oknami. Jego piękną twarz pokrywała zimna, surowa maska. Wyglądał jak sędzia, który ma ogłosić wyrok. Roger siedział okrakiem na pufie przed kominkiem i mierzwił sobie włosy na głowie. Nogawki jego spodni były pomięte, a krawat przekrzwiony. Obok siedziała Clemency, której smukłe ciało ginęło niemal całkowicie w obitym brokatem fotelu. Wyglądała na nie zainteresowaną rodzinnym spotkaniem i odwróciwszy w bok głowę, obojętnym wzrokiem przyglądała się boazerii na ścianie. Edith zajęła miejsce na krześle dziadka. Siedziała sztywno wyprostowana, miała mocno zaciśnięte usta i robiła na drutach z niewiarygodną wprost prędkością. Najpiękniej wyglądali Magda i Eustace. Przywodzili na myśl portret Gainsborougha. Siedzieli razem na sofie: ciemny przystojny chłopiec z posepnym wyrazem twarzy, a obok niego, z ręką na oparciu, Magda - księżna Trzech Szczytów w malowniczej sukni z tafty i brokatowych pantofelkach. Philip zmarszczył brwi.

- Przykro mi - zwrócił się do Sophii - ale dyskutujemy o sprawach rodzinnych, które mają ściśle prywatny charakter.

Druty panny de Haviland zastukały. Miałem właśnie zamiar przeprosić za wejście, ale Sophia uprzedziła mnie. Jej głos był mocny i zdecydowany.

- Charles i ja - powiedziała - pragniemy się pobrać. Chcę, by tu był.

- Dlaczego nie, do licha? - krzyknął Roger, podrywając się energicznie z pufa. - Powtarzam ci Philipie, że nie ma w tym nic prywatnego! Cały świat dowie się jutro lub pojutrze. Zresztą, mój drogi chłopcze - podszedł i położył mi dłoń na ramie - ty i tak wszystko wiesz. Byłeś tam rano.

- Powiedz mi - zawołała Magda, pochylając się do przodu - jak jest w Scotland Yardzie?! Zawsze chciałam to wiedzieć. Stół? Biurko? Krzesła? Dyktafon? Jakies zasłony? Przypuszczam, że nie ma kwiatów...

- Daj spokój, mam - przerwała jej Sophia. - Przecież Vavasour Jones miał wyciąć tę scenę w Scotland Yardzie. Mówiłaś, że stanowi za duży kontrast.



- Rzeczywiście - przyznała Magda. - Przywodziła na myśl kryminał, a „Edith Thompson” to przecież dramat psychologiczny. No, może thriller psychologiczny... Jak sądzicie, co brzmi lepiej?

- Był pan tam rano? - zapytał Philip ostro. - Dlaczego? Ach, prawda... pański ojciec... Zmarszczył brwi. Bardziej niż kiedykolwiek zdawałem sobie sprawę z faktu, że moja obecność jest niepożądana, ale Sophia zacisnęła dłonie na moim ramieniu.

Clemency podsunęła mi krzesło.

- Proszę, niech pan siada. Spojrzałem na nią z wdzięcznością.

- Możecie mówić, co chcecie - odezwała się panna de Haviland, wracając do rozmowy, którą przerwali na mój widok - ale ja uważam, że powinniśmy respektować życzenie Aristide. Jak tylko wyjaśni się sprawa z testamentem, mój legat będzie do twojej dyspozycji, Rogerze.

Roger z uporem targał włosy.

- Nie, ciociu Edith. Nie! - krzyknął.

- Chciałbym móc zaoferować to samo - rzekł Philip - ale muszę brać pod uwagę wszystkie czynniki...

- Drogi, stary Philu, czy nie rozumiesz? Nie zamierzam wziąć od nikogo ani pensa.

- Oczywiście, że nie! - warknęła Clemency.

- Zresztą, Edith - powiedziała Magda - jeżeli sprawa testamentu się wyjaśni, Roger będzie miał własny spadek.

- Ale i tak nie da się wyjaśnić tej sprawy na czas, prawda? - zapytał Eustace.

- A cóż ty wiesz na ten temat! - upomniał go Philip.

- Chłopiec ma absolutną rację! - zawołał Roger. - Nic nie zdoła zapobiec katastrofie.

Nic.

Z jego słów przebijała ulga.

- Nie ma o czym dyskutować - dodała Clemency.

- A zresztą, jakie to ma znaczenie? - zapytał Roger.

- Sądziłem, że duże - odparł dobitnie Philip.

- Nie - odpowiedział Roger. - Nie! Nic nie ma znaczenia wobec faktu, że ojciec nie żyje. Ojciec nie żyje! A my dyskutujemy o pieniądzach!

Na białych policzkach Philipa pojawiły się słabe rumieńce.

- Próbujemy ci pomóc - rzekł sztywno.

- Wiem, Philu, wiem. Ale nic już na to nie można poradzić.

- Przypuszczam - powiedział Philip - że mógłbym zgromadzić pewną ilość pieniędzy. Część mojego kapitału jest związana i nie mogę go ruszyć, na przykład zabezpieczenie Magdy i tym podobne... ale...

- Oczywiście, że nie możesz podjąć pieniędzy, kochanie - wtrąciła się Magda. - To byłoby absurdalne... i nie w porządku, w stosunku do dzieci.

- Powtarzam, że nikogo o nic nie proszę! - wrzasnął Roger. - Zachryłem już, od powtarzania tego. Wcale się nie martwię bankructwem Associated Catering.

- To kwestia prestiżu - zauważył Philip. - Ojca. Naszego:

- To nie był interes rodzinny. Tylko ja odpowiadam za tę firmę.

- Tak - przyznał Philip, patrząc mu prosto w oczy. - Tylko ty.

Edith de Haviland wstała.

- Myślę, że przedyskutowaliśmy już wszystko - powiedziała. W jej głosie była nuta autentycznego autorytetu, która przyniosła stosowny efekt.

Philip i Magda wstali. Eustace również. Kiedy wychodził z pokoju, ponownie zauważyłem sztywność jego chodu. Nie był kulawy, ale poruszał się niezgrabnie.

Roger wziął Philipa pod ramię i powiedział:

- Zawsze mogłem na tobie polegać. Bracia wyszli razem.

- I po co to całe zamieszanie! - mruknęła Magda i ruszyła za nimi.

Sophia powiedziała, że musi przygotować dla mnie pokój i też odeszła.

Edith de Haviland zwijała swoją robótkę. W pewnym momencie podniosła głowę i popatrzyła na mnie tak, jakby mi chciała coś powiedzieć. W jej wzroku było wezwanie. Ale widocznie zmieniła zdanie, bo tylko westchnęła i podążyła za resztą.

Clemency podeszła do okna i wyjrzała na ogród. Zbliżyłem się do niej. Lekko odwróciła głowę.

- Dzięki Bogu, że to się już skończyło - powiedziała i dodała z niesmakiem: - Ten pokój jest okropny!

- Nie podoba ci się?

- Nie mogę w nim oddychać. Zawsze czuję tu zapach zwiędłych kwiatów i kurzu.

Pomyślałem, że to niesprawiedliwa ocena salonu. Ale wiedziałem, co miała na myśli.

To był kobiecy pokój, egzotyczny i miły, zamknięty na nagłe podmuchy z zewnątrz. Mężczyzna nie mógł czuć się w nim szczęśliwy. Trudno by się w nim było zrelaksować, czytając gazetę i paląc fajkę. A jednak wolałem go od abstrakcyjnego pomieszczenia, jakie stworzyła Clemency na górze. Wolałem buduar od teatru na wolnym powietrzu.

Clemency rozejrzała się dokoła.

- To scena, na której Magda gra. Przed chwilą odbył się akt drugi: rodzinne konklawe. Magda to zaaranżowała. A przecież nie było w ogóle o czym dyskutować. Sprawa jest zamknięta.

W jej głowie nie było smutku. Raczej satysfakcja. Zauważyła moje zdziwione spojrzenie.

- Och, czy nie rozumiesz? - zapytała niecierpliwie. - Jesteśmy wreszcie wolni! Nie rozumiesz, że Roger cierpiał... był absolutnie nieszczęśliwy przez całe lata. Nigdy nie miał zdolności do interesów. Lubi konie, krowy i grzebanie w ziemi. Ale uwielbiał ojca... jak oni wszyscy. To właśnie było złe w tym domu. Nadmiar rodziny. Nie znaczy to, że staruszek był tyranem. Nie był. Dał im pieniądze. I wolność. Uwielbiał ich. A oni jego.

- Czy jest w tym coś złego?

- Według mnie, tak. Myślę, że kiedy dzieci dorastają, należy usunąć się w cień, zmusić je, by o nas zapomniały.

- Zmusić? To dość drastyczne. Przymus nie jest dobrym rozwiązaniem.

- Gdyby tylko nie robił z siebie takiej osobowości...

- Nie można tworzyć swojej osobowości - zauważyłem. - On miał osobowość.

- Zbyt przytłaczającą jak dla Rogera. Roger się do niego modlił. Pragnął robić wszystko, czego chciał od niego ojciec, pragnął spełniać jego wszystkie oczekiwania. I nie potrafił. Ojciec dał mu Associated Catering, swoją dumę i radość, a Roger próbował kontynuować jego pracę, ale nie miał zdolności. W sprawach biznesu jest... tak, powiem to wprost., głupcem. To go załamało. Cierpiał przez całe lata. Walczył, widział, że firma się stacza, miewał cudowne „pomysły” i „plany”, które tylko wszystko pogarszały. To okropne czuć rok po roku, że zawodzi się czyjeś nadzieje. Nie masz pojęcia, jaki on był nieszczęśliwy. - Odwróciła się do mnie twarzą. - Myślałeś, a nawet zasugerowałeś policji, że Roger mógłby zabić ojca... dla pieniędzy! Nie wiesz, jakie to śmieszne.

- Teraz już wiem - przyznałem pokornie.

- Kiedy Roger zrozumiał, że nic już nie powstrzyma krachu, poczuł ulgę. Naprawdę. Martwił się tylko tym, że ojciec się dowie, niczym więcej. Z radością patrzył w przyszłość i nasze nowe życie.

Jej twarz lekko zadrżała, a głos złagodniał.

- Gdzie się wybieraliście? - zapytałem.

- Na Barbados. Mój daleki kuzyn zmarł niedawno i zostawił mi tam maleńką posiadłość. Och, nic wielkiego, ale mieliśmy dokąd pójść. Bylibyśmy rozpaczliwie biedni, ale

wystarczyłoby nam na życie. Samo życie kosztuje niewiele. Bylibyśmy jednak wreszcie sami, szczęśliwi, z dala od nich wszystkich.

Westchnęła.

- Roger jest śmieszny. Martwił się, że będę biedna Przypuszczam, że wciąż ma ten sam, typowy dla Leonidesów stosunek do pieniędzy. Z moim pierwszym mężem żyliśmy bardzo biednie, szczególnie tuż przed jego śmiercią. Roger sądzi, że byłam odważna i wspaniała! Nie rozumie, że byłam szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa! Od tego czasu nigdy nie byłam taka szczęśliwa. A przecież nigdy nie kochałam Richarda tak, jak Kocham Rogera.

Było to bardzo intymne wyznanie, a wypowiedziane zostało z taką żarliwością, że ani przez moment nie wątpiłam w prawdziwość jej uczuć. Clemency przyknęła na chwilę oczy, a kiedy je otworzyła, spojrzała na mnie i powiedziała:

- Nigdy nie zabiłabym nikogo dla pieniędzy. Nie lubię pieniędzy.

Byłam pewien, że mówi to, co myśli. Clemency Leonides była jedną z tych rzadkich osób, do których, pieniądze nie przemawiają. Nie lubiła luksusu, wołała surowość. Ale mogła pragnąć czegoś innego.

- Możliwe, że nie pożądasz pieniędzy dla siebie - powiedziałem - ale kiedy mądrze się nimi rozporządza, mogą przynieść wiele dobrego. Na przykład można stworzyć fundację na jakieś badania.

Podejrzywałam, że Clemency jest fanatycznie oddana swej pracy, ale ona odpowiedziała po prostu:

- Nie wierzę, że to pomaga. Zwykle przeszkadza. Do wielkich odkryć potrzebny jest entuzjazm i naturalna wizja. Kosztowne wyposażenie, szkolenie i eksperymenty nigdy nie przynoszą oczekiwanych efektów. Dostają się zwykle w niewłaściwe ręce.

- Czy nie będzie ci żal porzucić pracy, kiedy udacie się na Barbados? - zapytałem. - Zakładam, że nadal się tam wybieracie.

- O tak, kiedy tylko policja nam pozwoli. Nie, nie będzie mi żal pracy. Dlaczego miałoby być? Nie lubię siedzieć beczynnym, to prawda, ale nie będę beczynna na Barbados.

Po chwili dodała ze zniecierpliwieniem:

- Gdyby tylko ta sprawa została wyjaśniona szybko, żebyśmy mogli wyjechać.

- Clemency - powiedziałem - czy nie podejrzewasz, kto mógł to zrobić? Zakładając, że ty i Roger nie maczaliście w tym palców - a naprawdę nie widzę powodu, dla którego mielibyście to robić - jestem pewien, że ze swoją inteligencją musisz mieć jakieś podejrzenia.

Rzuciła mi dziwne, przeszywające spojrzenie. Kiedy wreszcie przemówiła, jej głos stracił dotychczasową spontaniczność. Stał się skępowany i zakłopotany.

- Nie można zgadywać, to nienaukowe - powiedziała. - Można tylko powiedzieć, że najbardziej prawdopodobni są Brenda i Laurence.

- Sądysz, że to zrobili?

Wzruszyła ramionami.

Stała przez chwilę, jak gdyby nasłuchując, a potem wyszła z pokoju, przepuszczając w drzwiach Edith de Haviland. Staruszka podeszła do mnie.

- Chcę z tobą pomówić - powiedziała. Przypomniały mi się słowa ojca, który twierdził, że będą chcieli mówić.

- Mam nadzieję, że nie wyrobiłeś sobie niewłaściwej opinii - ciągnęła Edith. - To znaczy o Philipie. Trudno go zrozumieć. Wygląda na obojętnego i zimnego. Ale taki nie jest. To tylko sposób bycia. Nie może nic na to poradzić.

- Ależ naprawdę nie myślałem... - zacząłem. Przerwała mi:

- To, jak postąpił w stosunku do Rogera, może sprawiać wrażenie, że jest skąpy. Ale to pozory. Philippe nigdy nie był skąpy. Jest naprawdę kochany, ale potrzeba mu zrozumienia.

Popatrzyłem na nią, starając się okazać zrozumienie.

- Myślę, że to częściowo dlatego, iż był drugim synem -ciągnęła. - Często drugie dziecko jest uczuciowo kalekie. On uwielbiał ojca. Oczywiście wszystkie dzieci uwielbiały Aristi-de, a on kochał je tak samo mocno, ale Roger był jego szczególną dumą, najstarszym synem. I Philip to czuł. Zamknął się w sobie, zajął książkami, przeszłością i rzeczami, które odrywały go od codziennego życia. Jestem pewna, że cierpiał... dzieci potrafią cierpieć... - Zamyśliła się na moment, ale szybko powróciła do przerwane wątku. - Przypuszczam, że zawsze był zazdrosny o Rogera. Może nawet sam o tym nie wiedział. I choć to ohydna rzecz, co powiem, i jestem pewna, iż on sam nie zdaje sobie z tego sprawy... ale sądzę, że Philipowi wcale nie jest przykro z powodu bankructwa Rogera.

- Uważa pani, że jest zadowolony, iż Roger wyszedł na głupca?

- Tak - przyznała panna de Haviland. - Tak właśnie myślę. W jakiś sposób go rozumiem, ale martwi mnie, że nie zaoferował bratu pomocy.

- Dlaczego miałby to robić? - zapytałem. - W końcu Roger spartaczył robotę. Jest dorosły. Nie ma dzieci, o które musiałyby się troszczyć. Gdyby był chory lub w rzeczywistej potrzebie, rodzina, oczywiście, by mu pomogła. Ale w tym wypadku jest to wyłącznie sprawa Rogera i jestem przekonany, że on sam woli zacząć nowe życie na własny rachunek.

- Och, oczywiście! Martwi się tylko o Clemency. A ona jest wyjątkową istotą. Naprawdę wystarczy jej jedna filiżanka, by miała z czego pić. Chyba jest nowoczesna. Nie ma wycucia smaku i piękna.

Poczułem na sobie przenikliwe spojrzenie jej oczu.

- To ciężka próba dla Sophii - powiedziała. - Przykro mi, że jej młodość została zmałona. Kocham ich wszystkich. Rogera i Philipa, Sophie, Eustace'a i Josephine. Kochane dzieci. Dzieci Marcji. Tak, bardzo ich kocham. Może to bałwochwalstwo.

Odwróciła się gwałtownie i odeszła. Czuję, że chciała coś wyrazić tą uwagą, ale nie zrozumiałem tego.

## 15.

- Twój pokój jest gotowy - powiedziała Sophia.

Stała obok mnie, patrząc na ogród. Wyglądał teraz ponuro i szaro. Na wpół ogołoczone drzewa gięły się na wietrze.

- Jaki jest smutny i niegościnnie... - wyszeptała, jakby odgadując moje myśli.

Nagle w głębi ogrodu zamajaczyła jakaś postać, a tuż za nią pojawiła się druga. Wychodziły przez przerwę w żywopłocie ze skalnego ogródka. Obie były szare i nierealne w słabym świetle zapadającego zmroku. Pierwsza szła Brenda Leonides. Miała na sobie srebrzyste szynszyle i poruszała się w jakiś taki koci, ukradkowy sposób. Sunęła przez zmierzch z tajemniczą gracją.

Kiedy przechodziła koło okna, dostrzegłem jej twarz. Był na niej ten sam krzywy i niepokojący półuśmiech, który widziałem już wcześniej. Kilka minut później z ciemności wyłonił się Laurence Brown. Był skurczony i zdenerwowany. Nie wyglądali jak dwoje ludzi, którzy udali się na przechadzkę. Było w nich coś ukradkowego i nierealnego. Przywodzili na myśl duchy.

Pomyślałem, że rano ta gałązka mogła pęknąć pod stopą Brendy lub Laurence'a.

- Gdzie Josephine? - zapytałem z niepokojem.

- Pewnie z Eustace'em w pokoju lekcyjnym. - Zmarszczyła brwi. - Martwię się o Eustace'a.

- Dlaczego?

- Jest markotny i dziwny. Zmienił się bardzo od czasu tego paskudnego paraliżu. Nie wiem, co mu chodzi po głowie. Czasami wydaje mi się, że on nas wszystkich nienawidzi.

- Wyrośnie z tego. To taki okres.

- Tak, chyba tak. Ale martwię się.

- Dlaczego, kochanie?

- Pewnie dlatego, że tato i mama nigdy się nie martwią. Nie zachowują się jak rodzice.

- A może tak właśnie powinno być? Większość dzieci cierpi z powodu nadopiekuńczości...

- To prawda. Wiesz, nigdy, aż do powrotu zza granicy, nie zastanawiałam się nad tym, ale teraz widzę, że są naprawdę dziwną parą. Ojciec żyje w świecie mrocznych ścieżek historii, a matka bawi się grając. To błazeństwo dziś wieczorem - zupełnie niepotrzebne - to była cała mama. Chciała po prostu odegrać scenę z rodzinnym konklawe. Nudzi się i próbuje reżyserować dramaty.

Przez moment miałem fantastyczną wizję, jak Magda truje starego teścia, tylko po to, by zainscenizować sztukę o morderstwie i zagrać w niej główną rolę.

Zabawna myśl! Odrzuciłem ją szybko jako zupełnie niedorzeczną, ale pozostawiła po sobie niepokój.

- Matki - ciągnęła Sophia - trzeba cały czas pilnować. Nigdy nie wiadomo, co zrobi!

- Nie możesz ciągle myśleć o rodzinie.

- Bardzo bym chciała, ale to obecnie trochę trudne. Myślę jednak, że będzie to konieczne. Byłam szczęśliwa w Kairze, kiedy nie musiałam o nich pamiętać.

- To dlatego nigdy o nich nie mówiłaś? - zapytałem. - Chciałaś o wszystkich zapomnieć?

- Chyba tak. Zawsze żyliśmy zbyt blisko siebie. Zbyt się kochaliśmy. Nie pojmuję, jak mogą istnieć rodziny, w których ludzie się nawzajem nienawidzą. To musi być okropne. Ale chyba jeszcze gorzej jest żyć w takich ścisłych związkach i konfliktowych uczuciach. To właśnie miałam na myśli, mówiąc, że wszyscy żyjemy w małym, przestępczym domu. Nie chodzi mi o przestępczy w znaczeniu nieuczciwy. Po prostu nie byliśmy w stanie dorosnąć, usamodzielnić się, stanąć na własnych nogach... Jak powoje... - dodała, a mnie stanęła przed oczyma Edith de Haviland rozgniatająca obcasem chwast.

Nagle w drzwiach ukazała się Magda.

- Kochani! - zawołała - dlaczego nie zapaliliście światła? Jest prawie ciemno.

Włączyła światło, które zalało cały pokój, i razem z Sophią pozaciągała ciężkie różowe zasłony, po czym rzuciła się na sofę i z typową dla siebie egzaltacją krzyknęła:

- Co za niewiarygodna scena, prawda? Eustace tak się zdenerwował! Powiedział mi, że to wszystko było stanowczo nieprzyzwoite. Jacy zabawni są chłopcy! - Westchnęła. - Roger jest uroczy. Uwielbiam go, kiedy mierzwi sobie włosy i wywraca różne przedmioty. Edith zachowała się słodko, ofiarowując mu swój legat, prawda? To nie był gest, naprawdę chciała to zrobić. Ale to głupie... Philip mógł przez to pomyśleć, że też powinien uczynić to samo! Oczywiście Edith zrobiłaby wszystko dla rodziny! Jest coś patetycznego w tym, że stara panna tak kocha dzieci siostry. Któregoś dnia zacznę grać te ciotki - stare panny. Wścibskie, wytrwale i oddane.

- Musiało jej być ciężko po śmierci siostry - zauważyłem, nie dając się sprowadzić na tory dyskusji o kolejnej roli Magdy. - Skoro nie lubiła starego Leonidesa...

Magda przerwała mi gwałtownie.

- Nie lubiła go? Kto ci to powiedział? Nonsens. Kochała się w nim.

- Mamo! - zawołała Sophią.



- Nie próbuj przeczyć, córeczko. Oczywiście w twoim wieku uważa się, że miłość jest stosowna tylko dla młodych, przystojnych ludzi, którzy spacerują z sobą w świetle księżyca.

- Powiedziała mi - wtrąciłem - że nigdy go nie lubiła.

- Możliwe, że tak było na samym początku. Czowała się urażona tym, że jej siostra go poślubiła. Zawsze był między nimi pewien antagonizm, ale kochała się w nim! Wiem, co mówię!

Oczywiście, skoro była siostrą jego zmarłej żony, nie mógł jej poślubić i pewnie o tym nie myślał, a ona sama też nie. Czowała się szczęśliwa, mogąc być matką dla jego dzieci i kłócąc się z nim. Ale nie spodobało się jej małżeństwo z Brendą. Ani trochę!

- Tak samo jak tobie i ojcu - zauważyła Sophia.

- Oczywiście, że byliśmy oburzeni! Naturalnie! Ale Edith najbardziej. Kochanie, sposób, w jaki ona patrzy na Brendę...

- Dość, mamo! - zawołała Sophia.

Magda zamilkła, przybierając minę obrażonego dziecka.

- Zdecydowałam, że Josephine musi iść do szkoły - rzuciła bez związku.

- Josephine? Do szkoły?

- Tak. Do Szwajcarii. Zamierzam jutro zorientować się w sytuacji. Uważam, że powinna wyjechać natychmiast. Nie służy jej ta okropna sprawa. To dla niej niezdrowe. Potrzeba jej rówieśników. Szkoły. Zawsze tak uważałam.

- Dziadek nie chciał, żeby poszła do szkoły - powiedziała Sophia powoli. - Zawsze się temu stanowczo przeciwstawiał.

- Kochanie, dziadzio lubił mieć nas wszystkich na oku. Starzy ludzie są tacy egoistyczni. Dziecko powinno iść między inne dzieci. Szwajcaria jest taka zdrowa... sporty zimowe i powietrze, i lepsza żywność!

- Czy nie będzie trudności z załatwieniem takiego wyjazdu przy tych wszystkich przepisach walutowych? - zapytałem.

- Nonsens, Charlesie. Jest jakaś wymiana edukacyjna z dziećmi ze Szwajcarii. Mój znajomy przebywa właśnie w Lozannie. Napiszę do niego jutro i wszystko załatwię. Wyślemy tam Josephine w przeciągu tygodnia! - wykrzyknęła, uderzając pięścią w poduszkę. Wstała z sofy i skierowała się w stronę drzwi. Ale zanim wyszła, odwróciła się na moment i patrząc na nas, z czarującym uśmiechem powiedziała: - Tylko młodzi się liczą. Zawsze są na pierwszym miejscu. I kochanie... pomyśl o kwiatkach... niebieskie goryczki, narcyzy...

- W październiku? - zapytała Sophia, ale Magda już wyszła z pokoju.

Sophia westchnęła z irytacją.

- Doprawdy, matka jest zbyt męcząca! Te jej nagłe pomysły mogą człowieka wykończyć. Wysyła tysiące telegramów i chce załatwić wszystko natychmiast. Dlaczego Josephine miałaby być wypchnięta na gwałt do Szwajcarii?

- Jest coś w tym pomysle ze szkołą. Sądzę, że towarzystwo rówieśników dobrze by jej zrobiło.

- Dziadek tak nie myślał - upierała się. Poczuję się lekko poirytowany.

- Kochanie, czy naprawdę uważasz, że staruszek po osiemdziesiątce potrafi najlepiej osądzić, co jest dobre dla dziecka?

- On potrafił wszystko najlepiej osądzić.

- Lepiej niż ciocia Edith?

- Nie, może nie. Ona woli szkołę. Przyznaję, że Josephine stała się trudna i nabrała okropnego zwyczaju wtykania nosa w nie swoje sprawy. Ale myślę, że jej to minie. Po prostu bawi się w detektywa.

Zastanawiałem się, czy tylko troska o dobro Josephine wpłynęła na nagłą decyzję Magdy. Nie byłem tego pewien. Dziewczynka zbyt dużo wiedziała o wszystkim, co poprzedzało morderstwo. Zdrowe szkolne życie na pewno wyszłoby jej na dobre. Ale zdziwiła mnie nagła decyzja Magdy. Pomyślałem, że Szwajcaria jest daleko...

## 16.

Staruszek powiedział: „Pozwól im mówić”.

Kiedy goliłem się następnego ranka, zastanawiałem się, dokąd mnie to zaprowadziło.

Mówiła do mnie Edith de Haviland - specjalnie w tym celu mnie odszukała. Mówiła do mnie Clemency (a może to ja mówiłem do niej?). Mówiła do mnie Magda, to znaczy byłem dla niej publicznością. Oczywiście rozmawiała ze mną Sophia. Mówiła do mnie niania. Czy byłem teraz mądrzejszy? Czy dowiedziałem się czegoś? Czy padło jakieś znaczące słowo lub zdanie? Czy był gdzieś ślad tej nienormalnej próżności, o której mówił ojciec? Nie potrafiłem tego dostrzec.

Jedyną osobą, która nie objawiała w najmniejszym stopniu chęci rozmawiania ze mną, okazał się Philip. Czy było to nienormalne, czy nie? Musiał już wiedzieć, że zamierzam poślubić jego córkę. A jednak zachowywał się tak, jakby w ogóle mnie nie było. Widocznie czuł się dotknięty moją obecnością w domu. Edith de Haviland, przepraszając mnie za niego, powiedziała, że to jego „sposób bycia”. Stwierdziła, że martwi się o Philipa. Dlaczego?

Zacząłem zastanawiać się nad ojcem Sophii. Był w każdym znaczeniu tego słowa stłumioną indywidualnością. Miał nieszczęśliwe, zatrute zazdrością dzieciństwo. Zmuszano go do tego, by zamknął się w sobie. Uciekł w świat księzek i historycznej przeszłości. Pomyślałem, że taka wystudiowana obojętność i rezerwa mogą skrywać gwałtowne uczucia i namiętności. Motyw finansowego zysku nie był przekonujący; ani przez moment nie podejrzewałem, że Philip Leonides mógłby zabić ojca z powodu pieniędzy. Ale mogła być jakaś inna, o wiele głębsza przyczyna. Philip wrócił do domu ojca, a potem na skutek bombardowania wrócił także Roger... i Philip był zmuszony dzień po dniu patrzeć, jak stary Leonides faworyzuje jego brata... Czy to możliwe, że jego umysł był już tak stortu-rowany zazdrością, iż ulgę mogła mu przynieść jedynie śmierć ojca? I to zakładając, że ta zbrodnia obciążałaby starszego brata? Roger był na krawędzi bankructwa. Nie wiedząc o ostatniej rozmowie brata z ojcem i o obietnicy pomocy ze strony tego ostatniego, Philip mógł wierzyć, że Roger będzie jedynym podejrzanym ze względu na silny motyw. Czy równowaga psychiczna Philipa była tak skutecznie zachwiana, że doprowadziło go to do morderstwa?

Zaciąłem się w brodę i zakląłem.

Co ja do diabła próbuję zrobić? - pomyślałem. Przypisać morderstwo ojcu Sophii? To ładnie z mojej strony! Nie tego oczekuje ode mnie Sophia.

A może właśnie tego? Cały czas miałem wrażenie, że w jej prośbie jest coś... ukrytego. Jeżeli podejrzewa, że jej ojciec jest mordercą, myślałem, to nigdy nie zgodzi się wyjść za mnie,

bo możliwe, iż to podejrzenie jest prawdziwe. A ponieważ Sophia jest uczciwa i odważna, chce poznać prawdę, gdyż niepewność stworzy między nami barierę nie do przebycia. Czyż tak naprawdę nie prosiła mnie: „Udowodnij, że ta straszna rzecz, którą sobie wyobrażam, nie jest prawdą. Ale jeżeli okaże się prawdą, to udowodnij to, żebym mogła stanąć twarzą w twarz z najgorszym!”

Czy Edith de Haviland wie lub podejrzewa, że Philip jest winny? Co chciała mi przekazać?

I co mogło oznaczać to dziwne spojrzenie, które rzuciła mi Clemency, kiedy zapytałem ją, kogo podejrzewa, a ona odparła: „Prawdopodobni są Brenda i Laurence, prawda?”

Pomyślałem, że wszyscy członkowie rodziny chcą, by byli to Brenda i Laurence, mają nadzieję, iż mogą to być Brenda i Laurence, ale tak naprawdę, nie wierzą, że to Brenda i Laurence...

Oczywiście cała rodzina może się mylić, może okazać się, że to jednak Brenda i Laurence.

Albo sam Laurence, a Brenda nie...

To byłoby najlepsze rozwiązanie.

Zdjąłem kompres ze zranionego podbródka i udałem się na śniadanie, chcąc jak najszybciej porozmawiać z Laurence'em Brownem.

Przy drugiej filiżance kawy poczułem, że Dom Przeszłości zaczyna i na mnie oddziaływać. Ja również pragnąłem nie prawdziwego rozwiązania, ale takiego, które mi najlepiej odpowiadało.

Po śniadaniu udałem się na piętro. Sophia powiedziała mi, że znajdę Laurence'a w pokoju lekcyjnym.

Kiedy znalazłem się przed drzwiami Brendy, poczułem nagle ochotę, by wejść do środka. Chwilę wahałem się, nie wiedząc, czy powinienem zapukać, czy też po prostu wejść. W końcu otworzyłem drzwi i wszedłem.

Mieszkanie było ciche i wyglądało na puste. Salon był zamknięty. Drzwi na prawo prowadziły do łazienki, w której trzymano eserinę i insulinę.

Policja zbadała już to pomieszczenie. Pchnąłem drzwi i wślizgnąłem się do środka. Zrozumiałem, jak łatwo każdy mieszkaniec domu (lub ktoś z zewnątrz!) mógł się dostać do niego nie zauważony.

Stałem w łazience i rozglądałem się dookoła. Całe pomieszczenie wyłożone było błyszczącymi kafelkami. Po jednej stronie znajdowały się różne urządzenia elektryczne, wszystko, czego mógł potrzebować lokaj starszka. Na ścianie wisiała sporej wielkości szafka.

Otworzyłem ją. Wewnątrz dostrzegłem przybory medyczne, dwa kieliszki do kropli, zakraplacz i kilka buteleczek z nalepkami. Aspiryna, kwas borny, jodyna. Plastry, bandaże i tak dalej. Na oddzielnej półeczce znajdował się zapas insuliny, igły i spirytus. Na trzeciej półce stała butelka z etykietką: „*Tabletki nasenne - stosować zgodnie z zaleceniami lekarza*”. Tutaj stały też zapewne krople do oczu. Wszystko było porządnie poukładane i łatwo dostępne w razie potrzeby. Równie łatwo dostępne dla mordercy.

Mógłbym zrobić dowolną rzecz z butelkami, a potem cicho zejść na dół i nikt by nawet nie wiedział, że tu byłem. Zaczynałem rozumieć, jak trudne jest zadanie policji.

Jedyną szansą był jakiś błąd ze strony mordercy.

„Musimy ich trzymać w napięciu - powiedział Taverner -sprawiać wrażenie, że mamy jakiś ślad. Wcześniej czy później nasz przestępca przechytrzy się i wtedy go złapiemy”.

Jak na razie przestępca z niczym się nie wydał.

Wszedłem z łazienki. W pobliżu nadal nikogo nie było. Ruszyłem wzdłuż korytarza. Minąłem jadalnię po lewej stronie i sypialnię Brendy po prawej. W tej ostatniej krzątały się pokojówki, jadalnia była zamknięta. Gdzieś z oddali usłyszałem głos Edith de Haviland rozmawiającej przez telefon z właścicielką sklepu rybnego. Wszedłem na schody prowadzące na górę. Wiedziałem, że jest tam sypialnia i salon Edith, dwie dodatkowe łazienki i pokój Laurence’a Browna. W tyle znajdowało się wielkie pomieszczenie używane jako sala lekcyjna.

Zatrzymałem się pod drzwiami. Dobiegał zza nich głos nauczyciela.

Chyba zaraziłem się od Josephine jej zwyczajem podsłuchiwania pod drzwiami, bo bezwstydnie pochyliłem się nad dziurką od klucza i słuchałem.

Była to lekcja historii na temat epoki francuskiego Dyktoriatu.

Słuchając, aż otworzyłem oczy ze zdumienia Odkrycie, że Laurence Brown jest wspaniałym nauczycielem, zaskoczyło mnie.

Nie wiem, dlaczego było to dla mnie taką niespodzianką. Ostatecznie Aristide Leonides znał się na ludziach. Mimo niepozornej powierzchowności Laurence potrafił wzbudzić w swoich uczniach entuzjizm i przemówić do ich wyobraźni. Dramat termidoriański, dekret o wyjęciu spod prawa zwolenników Ro-bespierre'a, Barras, Fouche, Napoleon... wszystko to było realne i żywe.

Nagle nauczyciel przerwał wykład i zadał pytanie swoim uczniom. Niewiele uzyskał od Josephine, ale Eustace wykazywał spora wiedzę i wypowiadał się w sposób zupełnie odmienny niż zwykle. Widać było, że jest inteligentny i ma wyczucie historyczne, które niewątpliwie odziedziczył po ojcu.

W chwilę potem usłyszałem szuranie odsuwanych krzeseł, oddaliłem się więc nieco i kiedy drzwi od pokoju otworzyły się, udawałem, że dopiero co przyszedłem.

Wyszli przez nie Eustace i Josephine.

- Cześć - powiedziałem.

Eustace wyglądał na zaskoczonego moim widokiem.

- Chcesz czegoś? - zapytał grzecznie.

Josephine zignorowała moją obecność i prześlizgnęła się obok mnie.

- Chciałem obejrzeć pokój lekcyjny - powiedziałem niepewnie.

- Widziałeś go już przecież. To zwyczajne miejsce. Był niegdyś pokojem dzieciennym.

Są w nim jeszcze zabawki.

Otworzył szeroko drzwi i przepuścił mnie.

Laurence Brown stał przy stole. Podniósł wzrok, zarumienił się, wymamrotał coś w odpowiedzi na moje „dzień dobry” i pośpiesznie wybiegł z pokoju.

- Przestraszyłeś go - zauważył Eustace. - Łatwo go przestraszyć.

- Lubisz Browna?

- Och! Jest w porządku. Oczywiście to błazen.

- Ale niezły nauczyciel?

- Owszem, niezły. Jest całkiem interesujący. Ma ogromną wiedzę. Przedstawia wszystko z różnych punktów widzenia. Nigdy na przykład nie słyszałem, że Henryk VIII pisał wiersze do Anny Boleyn, i to nie najgorsze.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę o paru sprawach, takich jak polityczne podłoże krucjat, średniowieczny stosunek do życia i zdumiewający Eustace'a fakt, że Olivier Cromwell zabronił obchodów Bożego Narodzenia. Za pogardliwym i irytującym sposobem bycia chłopca krył się spostrzegawczy i dociekliwy umysł.

Wkrótce zrozumiałem, gdzie tkwi przyczyna jego arogancji i humorów. Choroba oprócz ułomności fizycznych przyniosła z sobą frustrację i zahamowania, akurat wtedy, gdy zaczynał cieszyć się życiem.

- W przyszłym semestrze powinienem być w jedenastej klasie. To okropne, że muszę siedzieć w domu i uczyć się z takim paskudnym dzieciakiem jak Josephine.

- Ale nie uczyć się tego samego, prawda?

- Nie. Oczywiście, że ona nie uczy się zaawansowanej matematyki i łaciny. Ale nie podoba mi się to, że muszę dzielić się swoim nauczycielem z dziewczyną!

Próbowałem ułagodzić nieco jego zranioną męską ambicję uwagą, że Josephine jest bardzo inteligenta jak na swój wiek.

- Tak sądzisz? Ja myślę, że jest okropnie śliska. Oszałała na punkcie pracy detektywa. Myszkuje wszędzie, podsłuchuje i zapisuje wszystko w maleńkiej czarnej książeczce, a potem udaje, że odkryła, nie wiadomo co. To tylko głupi dzieciak - rzekł Eustace wyniosłym tonem. - Poza tym - dodał - dziewczyny nie mogą być dobrymi detektywami. Mówię ci. Myślę, że mama ma rację, i im szybciej Jo znajdzie się w Szwajcarii, tym lepiej.

- Nie będziesz za nią tęsknić?

- Tęsknić? Za takim dzieciakiem? - zapytał Eustace wyniosło. - Oczywiście, że nie. Mój Boże, ten dom jest na granicy obłędu. Mama jeździ na okrągło do miasta, zmusza dramaturgów, by przerabiali dla niej sztuki i robi problemy z niczego. Ojciec zamyka się z książkami i czasem zupełnie nie słyszy, co się do niego mówi. Nie wiem, dlaczego zostałem pokarany takimi rodzicami. Dalej wuj Roger - zawsze taki serdeczny, że aż dostaję od tego dreszczy. Clemency jest w porządku, nie zawraca nikomu głowy, ale czasami jest trochę zbikowana. Ciocia Edith nie jest zła, tylko że to staruszka. Zrobiło się trochę weselej, odkąd wróciła Sophia, ale i ona potrafi być ostra. To dziwny dom, nie sądzisz? Mam babkę-macochę, która mogłaby być moją siostrą. To wszystko sprawia, że czuję się jak błazen.

Byłem w stanie zrozumieć jego uczucia. Pamiętałem (choć mgliście) własną nadwrażliwość w wieku Eustace'a. Też uważałem, że moi krewni odbiegają od normalności.

- A dziadek? - zapytałem. - Kochałeś go? Twarz chłopca przybrała dziwny wyraz.

- Dziadek - powiedział - był absolutnie aspołeczny!

- W jaki sposób?

- Myślał tylko o zysku. Laurence mówi, że to zupełnie błędne podejście. Dziadek był indywidualnością. Tacy ludzie muszą odejść, nie sądzisz?

- No i odszedł - zauważyłem brutalnie.

- Dobrze się stało - rzekł Eustace. - Nie chcę być gruboskórny, ale przecież w takim wieku nie można cieszyć się życiem!

- Dziadek się nie cieszył?

- Nie mógł. W każdym razie był czas, by odszedł. On...

Eustace przerwał, bo do pokoju wszedł Laurence. Nauczyciel zaczął przekładać jakieś książki, ale czułem, że obserwował mnie kątem oka. Spojrzał na zegarek i powiedział:

- Eustace, proszę wróć punktualnie o jedenastej. Ostatnio straciliśmy dużo czasu.

- OK, proszę pana - odparł Eustace i wyszedł, pogwizdując pod nosem.

Laurence Brown rzucił mi kolejne ostre spojrzenie. Raz czy dwa oblizwał nerwowo wargi, jakby chciał coś powiedzieć. Byłem przekonany, że wrócił do pokoju lekcyjnego tylko po to, by ze mną porozmawiać.

Wkrótce, po bezcelowym przewracaniu księzek i udawaniu, że czegoś szuka, przemówił:

- No... i jak sobie radzą?

- Kto?

- Policja.

Jego nos drgał nerwowo. „Mysz w pułapce - pomyślałem. -Zupełnie jak mysz w pułapce”.

- Nie zwierzają mi się - odparłem.

- Och. Myślałem, że pański ojciec jest komisarzem.

- Jest nim - przyznałem. - Ale naturalnie nie zdradza nikomu policyjnych sekretów.

Celowo mówiłem bardzo pompatycznie.

- Zatem nie wie pan... co... czy... - Głos go zawiódł. - Nie zamierzają nikogo aresztować?

- O ile wiem, to nie. Ale oczywiście mogę nie wiedzieć. „Trzeba ich przestraszyć” - przypomniałem sobie sugestię

Tavemera. Laurence Brown był już wystarczająco przestraszony. Zaczął mówić szybko i nerwowo.

- Nie wie pan, jak to jest.. Napięcie... Nic nie wiadomo... Policjanci przychodzą i odchodzą, zadają pytania... mnóstwo pytań, które nie mają związku ze sprawą...

Przerwał. Czekalem. Chciał mówić. Postanowiłem mu na to pozwolić.

- Był pan przy tym, jak inspektor zrobił tę ohydną sugestię? O mnie i pani Leonides... To potworność. Czuję się bezradny. Nie można powstrzymać ludzi przed myśleniem różnych rzeczy! Ale to nie jest prawda. Takie podłe oszczerstwo tylko dlatego, że jest., że była... dużo młodsza od męża. Ludzie mają paskudne myśli... parszywe. Czuję... nie mogę się pozbyć uczucia, że to spisek.

- Spisek? To interesujące.

Było to rzeczywiście interesujące, choć nie w taki sposób, jak on myślał.

- Rodzina, wie pan. Nigdy nie okazali mi sympatii. Trzymali się na dystans. Zawsze czułem, że mnie nienawidzą.

Jego ręce zaczęły drżeć.

- Tylko dlatego, że są bogaci i potężni. Patrzyli na mnie z góry. Czym dla nich byłem? Jedynie nauczycielem. Człowiekiem uchylającym się od służby wojskowej. Ale robiłem to ze względów religijnych. Naprawdę!

Milczałem.



- Dobrze - wybuchnął. - Bałem się. Bałem się, że kiedy będę musiał pociągnąć za cyngiel, nie zdołam tego zrobić. Skąd miałbym pewność, że zabijam nazistę? To mógłby być jakiś uczciwy wiejski chłopiec, nie mający nic wspólnego z polityką, którego po prostu wcielono do armii. Uważam, że wojna jest zła, rozumie pan? Wierzę, że jest zła.

Nadal milczałem, wychodząc z założenia, że odniesie to lepszy skutek niż sprzeciw lub potwierdzenia. Laurence przekonywał samego siebie.

- Wszyscy się ze mnie śmiali. - Głos mu drżał. - Mam talent do ośmieszania się. To nie jest brak odwagi. Tylko zawsze robię niewłaściwą rzecz. Raz chciałem ratować kobietę z płonącego domu. Ale od razu straciłem orientację, zacząłem się dusić, aż w końcu zemdlałem i strażacy mieli masę kłopotów z wydostaniem mnie na zewnątrz. Słyszałem, jak mówili: „Po co ten głupek się tam pchał?” Moje wysiłki zwracają się przeciwko mnie. Ktokolwiek zabił pana Leonidesa, zaaranżował to tak, żeby podejrzenia spadły na mnie. Ktoś go zamordował, żeby zrujnować mi życie.

- Może pani Leonides?

Zarumienił się. Stał się teraz bardziej mężczyzną niż myszą.

- Pani Leonides to anioł - powiedział. - Jej przywiązanie do męża było godne podziwu. Myśl o jej związku z trucizną jest śmieszna... śmieszna! A ten twardogłowy inspektor tego nie dostrzega!

- Jest uprzedzony - zauważyłem. - Miał do czynienia z wieloma przypadkami otrucia starych mężów przez słodkie żony.

- Skrzywienie zawodowe - rzucił Laurence ze złością.

Wrócił do biblioteczki w kącie i zaczął się grzebać w książkach. Widząc, że nie dowiem się już od niego nic więcej, pożegnałem się i wyszedłem z pokoju.

Kiedy przechodziłem przez korytarz, otworzyły się drzwi po lewej stronie i wypadła z nich Josephine. Jej pojawienie się było tak nagłe, jak demona w staromodnej pantomimie.

Miała brudne ręce i twarz, a zza ucha zwisała jej wielka pajęczyna.

- Gdzie byłaś? - zapytałem.

Zajrzałem przez otwarte drzwi. Prowadziły do pomieszczenia, w którym znajdowały się zbiorniki na wodę.

- Co tam robiłaś?

- Prowadziłam śledztwo - odpowiedziała poważnie.

- Czego u licha można szukać wśród zbiorników na wodę? Na to Josephine odparła:

- Muszę się umyć.

- Też tak uważam.

Wyminęła mnie i skierowała się do najbliższej łazienki. Odwróciła się jeszcze, by powiedzieć:

- Pora już na następne morderstwo, prawda?

- Co masz na myśli? Jakie następne morderstwo?

- W książkach zawsze jest drugie morderstwo. Ten, kto coś wie, zostaje sprzątnięty, zanim zdoła cokolwiek powiedzieć.

- Czytasz zbyt wiele kryminałów, Josephine. Prawdziwe życie to nie książka. A jeżeli nawet ktoś w tym domu coś wie, to nie zamierza o tym mówić.

Odpowiedź Josephine zagłuszył nieco szum wody.

- Czasami ten ktoś wcale nie wie, że coś wie.

Kiedy już zbliżałem się do drzwi prowadzących na schody, z salonu wyłoniła się Brenda. Podeszła do mnie, ujęła moje ramię i popatrzyła mi w oczy.

- No i? - zapytała.

Była to prośba o tę samą informację, której pragnął Laurence, tylko inaczej sformułowana. Potrząsnąłem głową.

- Nic - powiedziałem. Westchnęła.

- Tak się boję - wyszeptła. - Charlesie, tak się boję...

Jej strach był autentyczny. Wyraźnie to czułem. Chciałem ją jakoś uspokoić, pomóc jej. Wzruszało mnie osamotnienie tej kobiety we wrogim otoczeniu.

Mogłaby zawołać: „Kto jest po mojej stronie?”

I kto by odpowiedział? Laurence Brown? Kim był Laurence Brown? Na pewno nie podporą i opoką. Raczej słabym naczyniem połączonym. Przypomniałem sobie, jak skradali się ubiegłej nocy przez ogród.

Chciałem jej pomóc. Bardzo chciałem. Ale niewiele mogłem zrobić. Wciąż miałem przed oczyma pogardliwe spojrzenie Sophii i jej ironiczny uśmiech, kiedy mówiła: „Więc przekonała cię”.

Ale Sophia nie widziała lub nie chciała tego zobaczyć z punktu widzenia Brendy. Ta kobieta była sama, podejrzana o morderstwo, nie mająca w nikim oparcia.

- Jutro ma być rozprawa. Co... co się stanie? W tym punkcie mogłem ją uspokoić.

- Nic. Możesz się tym nie martwić. Zostanie odroczone, żeby policja mogła dalej prowadzić śledztwo. Pewnie włączy się prasa. Jak dotąd nie było ani jednej wzmianki o tym, że staruszek nie zmarł śmiercią naturalną. Leonidesowie mają wpływ na prasę. Ale jeżeli rozprawa zostanie odroczone... zabawa się zacznie.

Poczułem, że powiedziałem coś wyjątkowo niestosownego. Zabawa! Dlaczego użyłem akurat tego słowa?

- Czy... czy to będzie bardzo nieprzyjemne?

- Na twoim miejscu nie udzielałbym żadnych wywiadów. Wiesz, powinnaś mieć prawnika... - Zauważyłem, że wzdrygnęła się z przerażenia. - Nie... nie... nie w taki sposób, jak myślisz. Chodzi mi o kogoś, kto by troszczył się o twoje interesy, radził ci, co robić i mówić, a czego nie robić i nie mówić.

- Widzisz - dodałem - jesteś bardzo samotna.

Jej uścisk na moim ramieniu wzmochnął się.

- Tak - powiedziała. - Dziękuję. Bardzo mi pomogłeś... Udałem się na dół z uczuciem ulgi i satysfakcji. Ale nastrój ten szybko mnie opuścił, kiedy zobaczyłem stojącą przy frontowych drzwiach Sopię. Jej głos był zimny i oschły.

- Długo cię nie było - powiedziała. - Dzwonili do ciebie. Ojciec cię wzywa.

- Do Yardu?

- Tak.

- Ciekawe, o co chodzi? Nic nie powiedzieli?

Sophia potrząsnęła głową. W jej oczach zauważyłem niepokój.

- Nie martw się, kochanie - powiedziałem, przytulając ją do siebie. - Wkrótce wrócę.

## 17.

Atmosfera w gabinecie ojca była napięta. Staruszek siedział za stołem, inspektor Taverner stał oparty o framugę okna. Na krześle dla gości siedział wzburzony Gaitskill. Wchodząc usłyszałem końcówkę jego wypowiedzi:

- ...wyjątkowy brak zaufania. Wyjątkowy - stwierdził z nie ukrywaną irytacją.
- Oczywiście, oczywiście - uspokajał go ojciec. - Ach, Charlesie, dobrze, że jesteś.

Nastąpił nieprzewidziany zwrot w sytuacji.

- Bezprecedensowy - dodał Gaitskill.

Coś widocznie wzburzyło małego prawnika do głębi. Inspektor Taverner wyszczerzył do mnie zęby w uśmiechu.

- Czy mogę zreasumować? - zapytał ojciec. - Pan Gaitskill otrzymał dziś rano zaskakującą informację od pana Agrodopolusa, właściciela restauracji „Delphos”. Jest to stary już człowiek, rodowity Grek, który w młodości przyjaźnił się z Aristide Leonidesem. Leonides udzielił mu kiedyś pomocy finansowej. Zawsze pozostawał mu głęboko wdzięczny i wygląda na to, że Aristide Leonides polegał na nim i ufał mu.

- Nigdy nie sądziłem, że Leonides ma taką podejrzliwą i skrytą naturę - rzekł Gaitskill.  
- Oczywiście był w podeszłym wieku, praktycznie dziecięciem.

- Narodowość robi swoje - odparł ojciec łagodnie. - Kiedy człowiek jest stary, jego umysł zatrzymuje się na dniach młodości i przyjaciółach z tych czasów.

- Ale prowadziłem sprawę Leonidesa od ponad czterdziestu lat - oponował Gaitskill. - Dokładnie czterdzieści trzy lata i sześć miesięcy.

Taverner ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Co się stało? - zapytałem.

Gaitskill otworzył usta, ale ojciec ubiegł go.

- Pan Agrodopolus oświadczył, że przychodzi tu na polecenie Aristide Leonidesa, który powierzył mu przekazanie swojej ostatniej woli. Mniej więcej rok temu otrzymał od niego zalakowaną kopertę, którą miał przekazać panu Gaitskillowi natychmiast po śmierci swego przyjaciela. W wypadku gdyby pan Agrodopolus zmarł wcześniej, polecenie to miał wypełnić jego syn - chrześniak Leonidesa. Agrodopolus przeprosił za opóźnienie, wyjaśniając, że miał zapalenie płuc i dopiero wczoraj dowiedział się o śmierci przyjaciela.

- Cała sprawa jest wyjątkowo nieprofesjonalna - zauważył prawnik.

- Kiedy pan Gaitskill otrzymał kopertę i zapoznał się z jej zawartością, uznał, że jego obowiązkiem jest..

- W zaistniałych okolicznościach - uzupełnił Gaitskill.

- ...nam ją przedstawić. Koperta zawiera testament, podpisany i poświadczony, a także list wyjaśniający.

- Więc testament w końcu się znalazł? - zapytałem. Gaitskill poczerwieniał na twarzy.

- To nie ten sam testament - warknął. - To nie jest dokument, który przygotowałem na prośbę pana Leonidesa. Ten napisał własnoręcznie. Niebezpieczna rzecz, gdy robi to laik. Wygląda na to, że intencją pana Leonidesa było, żebym wyszedł na kompletnego głupca.

- On był bardzo stary, panie Gaitskill - powiedział Taverner, chcąc nieco udobruchać rozeźlonego prawnika. - Starzy ludzie często mają bzika. Nie są zwariowani, ale trochę ekscentryczni.

Prawnik prychnął pogardliwie.

- Pan Gaitskill zadzwonił do nas - rzekł mój ojciec - i zapoznał nas z zawartością koperty. Poprosiłem go, by przybył tu ze wszystkimi dokumentami. Zadzwoniłem też po ciebie, Charlesie.

Nie rozumiałem za bardzo po co. Wydawało mi się to trochę dziwne. Uważałem, że powinienem dowiedzieć się o testamencie razem z całą rodziną, i doprawdy nie było moją sprawą, komu stary Leonides zostawił pieniądze.

- Czy to inny testament? - zapytałem. - To znaczy, czy inaczej rozporządza spadkiem?

- Owszem - odparł Gaitskill.

Ojciec patrzył na mnie uważnie, zaś inspektor Tavemer bardzo starannie unikał mojego wzroku. Nagle poczułem się niespokojny...

Popatrzyłem pytająco na Gaitskilla.

- To nie moja sprawa - zacząłem - ale...

Odpowiedział mi.

- Postanowienia testamentu pana Leonidesa nie są tajemnicą - oznajmił. - Uznałem, że moim obowiązkiem jest najpierw zapoznać z nimi policję i uzyskać od nich stosowne wskazówki co do dalszej procedury. Rozumiem - zrobił pauzę - że istnieje związek pomiędzy panem a panną Sophią Leonides?

- Zamierzam ją poślubić - odparłem - ale ona nie zgadza się na zaręczyny ze względu na obecną sytuację.

- Bardzo słusznie - przyznał Gaitskill.

Nie zgadzałem się z nim, ale nie była to pora na spory.

- W tym testamencie - powiedział Gaitskill - datowanym dwudziestego dziewiątego listopada ubiegłego roku, pan Leonides - z wyjątkiem stu tysięcy funtów dla żony - cały majątek zapisał swojej wnuczce, Sophii Katherine Leonides.

Straciłem oddech. Wszystkiego się mogłem spodziewać, ale nie tego.

- Zostawił cały kram Sophii? - zapytałem zdumiony. - Coś nieprawdopodobnego! Z jakiego powodu?

- Wyjaśnił wszystko w załączonym liście - odpowiedział ojciec, podnosząc z biurka kartkę papieru. - Czy nie ma pan nic przeciwko temu, by Charles go przeczytał, panie Gaitskill?

- To zależy od pana - odparł zimno prawnik. - List jest wyjaśnieniem i możliwe, że - choć ja mam co do tego wątpliwości - prośbą o wybaczenie tego wyjątkowego zachowania pana Leonidesa.

Staruszek podał mi list. Był napisany niewyraźnie czarnym atramentem. Pismo zdradzało charakter i indywidualność. List nie był starannie sformułowany, a raczej charakterystyczny dla minionego okresu, kiedy umiejętność pisania miała wartość korespondencyjną.

*Drogi Gaitstóllu!*

*Będiesz zaskoczony, czytając ten list, i prawdopodobnie urażony. Ale mam powody, by zachować się w sposób, który może Ci się wydać niepotrzebnie tajemniczy. Zawsze wierzyłem w indywidualność. W rodzinie (zaobserwowałem to już w dzieciństwie i zapamiętałem sobie) zawsze jest jeden silny charakter, który zwykle troszczy się o resztę. W mojej rodzinie byłem nim ja. Kiedy po przyjeździe do Londynu moja sytuacja ustabilizowała się, pomagałem rodzicom i dziadkom w Grecji, wyciągnąłem brata ze szponów prawa, uwolniłem siostrę od nieszczęśliwego małżeństwa i tak dalej. Bóg dał mi długie życie i byłem w stanie troszczyć się o własne dzieci i wnuki. Wiele z nich zabrała śmierć; reszta, co stwierdzam z radością, żyje szczęśliwie pod moich dachem. Kiedy umrę, moją rolę musi przejąć ktoś inny. Zamierzałem podzielić majątek na równe części pomiędzy moich najdroższych, ale uznałem, że nie da to ostatecznie pożądanego rezultatu. Ludzie nie rodzą się równi - natura ma swoje prawa i trzeba wyrównywać te dysproporcje. Innymi słowy, ktoś musi zostać moim następcą, musi wziąć na siebie brzemień odpowiedzialności za resztę rodziny. Po drobiazgowej obserwacji uznałem, że nie nadaje się do tego żaden z moich synów. Mój ukochany Roger nie ma wycucia do interesów i pomimo uroczego usposobienia jest zbyt impulsywny, by podejmować słuszne decyzje. Mój drugi syn, Philip, jest zbyt niepewny siebie i potrafi jedynie uciekać od życia. Eustace, mój wnuk, jest bardzo młody i nie sądzę, by miał odpowiednie zalety. Jest leniwy i podatny na*

wplywy. Jedynie wnuczka, Sophia, ma wszelkie požądane cechy. Ma sprawny umysł, rozsądek, odwagę, a sądzę, że i hojność. Jej powierzam dobro rodziny i mojej ukochanej szwagierki Edith de Haviland, której za poświęcenie dla rodziny jestem głęboko wdzięczny.

Ten list jest wyjaśnieniem załączonego dokumentu. Trudno mi będzie wytłumaczyć Ci, mój stary przyjacielu, oszustwo, którego się dopuściłem. Pomyślałem, że lepiej nie wywoływać spekulacji na temat testamentu, nie chciałem też, by rodzina dowiedziała się, że dziedziczy po mnie Sophia. Obaj synowie otrzymali już pokaźną ilość pieniędzy i nie uważam, żeby postanowienia mojej ostatniej woli były dla nich poniżające.

Aby uniknąć ciekawości i domysłów, poprosiłem cię o sporządzenie projektu testamentu. Odczytam go zebranej rodzinie. Położę go potem na biurku, zakryję czystą kartką i poproszę służących o poświadczenie dokumentu. Kiedy przyjdą, odsunę nieco tę kartkę, złożę swój podpis, a oni swoje. Nie muszę mówić, że podpiszemy testament, który jest tu załączony, a nie ten, który ty przygotowałeś i który odczytam na głos.

Nie mam nadziei na to, że zrozumiesz, co mnie skłoniło do tego triku. Proszę Cię zatem, byś mi wybaczył, że trzymałem Cię w nieświadomości. Bardzo stary człowiek lubi mieć swoje tajemnice.

Dziękuję Ci, drogi przyjacielu, za wytrwałość, z jaką zawsze zajmowałeś się moimi sprawami. Przekaż Sophii moją szczerą miłość. Poproś ją, by opiekowała się rodziną i broniła jej.

*Szczerze Ci oddany*

*Aristide Leonides*

Przeczytałem ten niezwykle dokument z ogromnym zainteresowaniem.

- Coś wyjątkowego - powiedziałem.

- Zupełnie wyjątkowego - przyznał Gaitskill wstając. - Powtarzam, że mój stary przyjaciel Leonides mógł mi zaufać.

- Nie - odparł mój ojciec. - Był urodzonym krętaczem. Lubił robić wszystko w powikłany sposób.

- To prawda - potwierdził inspektor Tavemer. - Taka szacowna firma - Gaitskill, Callum i Gaitskill. Żadnego hokus-pokus. Jasne, że kiedy stary Leonides załatwiał wątpliwe interesy, nie robił tego przez Gaitskilla. Pracowało dla niego tuzin innych firm. Był niezłym krętaczem.

- Szczególnie spisując testament - rzekł mój ojciec.

- Byliśmy głupcami - rzekł Taverner. - Kiedy się nad tym zastanowić, wiadomo, że jedyną osobą, która mogła robić jakiegokolwiek sztuczki z testamentem, mógł być tylko on sam. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że mógłby mieć w tym jakiś cel!

Przypomniałem sobie ironiczny uśmiech na twarzy Josephine i jej słowa: „Policjanci to głupcy”.

Ale Josephine nie była obecna podczas podpisywania testamentu. I nawet jeżeli podsłuchiwała (w co święcie wierzyłem!), nie mogła odgadnąć, co dziadek robił. Zatem skąd ta wyższość? Co wiedziała, by móc stwierdzić, że policjanci to głupcy? Czy może był to tylko popis?

Uderzyła mnie panująca w pokoju cisza. Podniosłem wzrok. Ojciec i Taverner obserwowali mnie. Nie wiem, co takiego było w ich spojrzeniach, ale spowodowało to mój wybuch.

- Sophia nic o tym nie wiedziała! Zupełnie nic!

- Nie? - powiedział mój ojciec.

Nie wiedziałem, czy była to zgoda, czy pytanie.

- Będzie absolutnie zdumiona!

- Tak?

- Oczywiście.

Zapadła chwila ciszy, którą przerwał ostry dźwięk telefonu na biurku ojca.

- Tak? - zapytał, podnosząc słuchawkę. Przez chwilę słuchał, po czym rozkazał: - Dajcie ją.

Popatrzył na mnie.

- To twoja dziewczyna - powiedział. - Chce z tobą mówić. To pilne.

Wzięłem od niego słuchawkę.

- Sophia?

- Charles? To ty? Josephine! - Jej głos lekko się załamał.

- Co z Josephine?

- Ktoś ją uderzył w głowę. Wstrząs mózgu. Źle z nią. Mówią, że może nie odzyskać przytomności...

Odwrociłem się do pozostałych.

- Rozwalono głowę Josephine - powiedziałem.

- Mówiłem ci, żebyś pilnował tego dziecka... - rzucił ostro ojciec i wyrwał mi słuchawkę.

**18.**



Natychmiast wyruszyliśmy z Tavemerem szybkim policyjnym wozem w kierunku Swinly Dean.

Przypomniałem sobie Josephine wylaniającą się z za cystern i jej niedbałą uwagę, że „czas na drugie morderstwo”. Biedne dziecko nie wiedziało, że samo padnie ofiarą „drugiego morderstwa”.

W pełni zgadzałem się, że ojciec milcząco przypisał mi winę. Oczywiście powinienem był pilnować Josephine. Chociaż ani ja, ani Taverner nie mieliśmy żadnych poszlak odnośnie tego, kto otruł starego Leonidesa, było wysoce możliwe, że ona je miała. To, co wzięliśmy za dziecięce brednie i „popisywanie się”, mogło mieć znaczenie. Josephine, której ulubionym zajęciem było wtykanie nosa w cudze sprawy, mogła zdobyć jakąś informację, której nie umiała właściwie ocenić.

Przypomniałem sobie trzaśnięcie gałązki.

Przeczuwałem, że niebezpieczeństwo jest w pobliżu. Ale potem uznałem, iż te podejrzenia są przesadne i bezpodstawne. Powinienem był sobie zdawać sprawę z tego, że zbrodniarz, który popełnił morderstwo i zaryzykował głową, w konsekwencji nie zawaha się przed kolejnym przestępstwem, jeżeli będzie to jedyny sposób zapewnienia mu bezpieczeństwa.

Może właśnie dlatego Magda, wiedzona niejasnym matczynym instynktem, wyczuła, że Josephine jest w niebezpieczeństwie i tak nieoczekiwanie zdecydowała się wysłać dziecko do Szwajcarii.

Kiedy przyjechaliśmy, na spotkanie wyszła nam Sophia. Powiedziała, że Josephine została zabrana karetką do szpitala Market Basing. Doktor Gray obiecał zawiadomić rodzinę

O wyniku prześwietlenia.

- Jak to się stało? - zapytał Taverner.

Sophia zaprowadziła nas na tyły domu. Przeszliśmy przez mały, dodatkowy dziedziniec. W jednym jego kącie drzwi były uchylone.

- To rodzaj pralni - wyjaśniła Sophia. - W drzwiach jest wycięty otwór dla kota i Josephine często stawała na nim i huśtała się.

Przypomniałem sobie, że w dzieciństwie sam huśtałem się na drzwiach.

Pralnia była mała i ciemna. Znajdowały się w niej drewniane skrzynie, stare gumowe węże, porzucone narzędzia ogrodnicze

I połamane meble. Na progu leżał marmurowy posążek wyobrażający lwa.

- To przycisk od frontowych drzwi - wyjaśniła Sophia. - Musiał być umieszczony na szczycie drzwi.

Taverner sięgnął do futryny. Drzwi były niskie, ich szczyt był około trzydziestu centymetrów na jego głowę.

- Prawdziwa pułapka - zauważył.

Zakołysał na próbę drzwiami. Potem podszedł do marmurowego posążka, ale nie ruszał go.

- Czy ktoś go dotykał?

- Nie - odparła Sophia. - Nie pozwoliłam na to.

- Dobrze. Kto ją znalazł?

- Ja. Nie przyszła na obiad o pierwszej. Niania ją wołała. Widziała, jak Josephine przechodziła przez kuchnię na podwórko jakiś kwadrans wcześniej. Stwierdziła, że pewnie bawi się piłką albo znowu huśta na drzwiach. Odparłam, że ją sprowadzę.

- Miała taki zwyczaj, tak? Kto o tym wiedział? Sophia wzruszyła ramionami.

- Chyba wszyscy.

- Kto jeszcze używał tego pomieszczenia? Ogrodnicy?

Sophia potrząsnęła głową.

- Prawie nikt tu nie wchodzi.

- I tego małego podwórka nie widać z domu - podsumował Taverner. - Każdy mógł przygotować pułapkę nie zauważony. Zdał się na przypadek...

Przerwał, popatrzył na drzwi i zahuszał nimi.

- Bardzo niepewne. Mogło trafić, mogło nie. Bardziej prawdopodobne to drugie. Miała pecha.

Sophia zadrżała.

Inspektor obejrzał podłogę. Były na niej rysy.

- Wygląda na to, że ktoś najpierw próbował, jak to upadnie... Odgłosy nie docierały do domu?

- Nie, nic nie słyszeliśmy. Nie mieliśmy pojęcia, że coś jest nie w porządku, dopóki nie przyszedł tu i nie znalazłam jej. Miała krew we włosach.

- To jej? - Taverner wskazał leżący na podłodze wełniany szalik.

- Tak.

Ujął przez szal marmurowy przycisk.

- Mogą być odciski palców - powiedział bez nadziei w głosie. - Ale raczej sądzę, że ten ktoś był ostrożny. - Odwrócił się do mnie. - Czemu się przyglądasz?

Patrzyłem na połamane krzesło w kącie. Na jego siedzeniu dostrzegłem grudki ziemi.

- Ciekawe - rzekł Taverner. - Ktoś stanął na nim ubłoconymi nogami. Po co?

Wzruszyłem ramionami.

- Kiedy ją pani znalazła? - zwrócił się ponownie do Sophii.

- Musiało być pięć po pierwszej.

- A niania widziała ją wychodzącą dwadzieścia minut wcześniej. Kto był ostatni w pralni?

- Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie sama Josephine. Huśtała się na drzwiach po śniadaniu.

Taverner skinął głową.

- A więc ktoś zastawił pułapkę w czasie, gdy jej tu nie było. Mówi pani, że to przycisk od frontowych drzwi? Wie pani może, kiedy zniknął?

- Nie - odparła Sophia. - Drzwi nie były dzisiaj otwierane na dłużej. Jest zbyt zimno.

- Gdzie przebywali domownicy?

- Ja byłam na spacerze. Eustace i Josephine mieli lekcje do wpół do pierwszej, z przerwą o wpół do jedenastej. Ojciec, jak sądzę, spędził rano w bibliotece.

- A pani matka?

- Kiedy wracałam ze spaceru, wychodziła właśnie z sypialni. Było piętnaście po dwunastej. Ona nie wstaje wcześniej.

Wróciliśmy do domu. Udałem się wraz z Sophia do biblioteki. Philip, blady i z nieprzytomnym wzrokiem, siedział na swoim zwykłym miejscu. Magda przypadła mu do kolan i płakała cicho.

- Czy dzwonił już ze szpitala? - zapytała Sophia. Philip potrząsnął głową.

Magda zaszlochła.

- Dlaczego nie pozwolili mi z nią jechać? Moje małństwo... moje zabawne, brzydkie małństwo. I nazywałam ją odmieńcem, co ją zawsze tak bardzo złościło. Jak mogłam być tak okrutna? A teraz ona umrze. Wiem, że umrze.

- Cicho, kochanie - rzekł Philip. - Cicho.

Czułem, że w tej rodzinnej scenie pełnej niepokoju i zmartwienia nie ma dla mnie miejsca. Wycofałem się więc dyskretnie i ruszyłem na poszukiwanie niani. Siedziała w kuchni i płakała.

- To kara dla mnie, panie Charlesie, za te okropne rzeczy, które myślałam. Kara.

Nie próbowałem zgłębiać jej wypowiedzi.

- W tym domu jest zło. Ale nie chciałam go widzieć. Nie chciałam w nie wierzyć. A widzieć - to wierzyć. Ktoś zabił pana, a teraz próbował zabić Josephine.

- Dlaczego ktoś miałby pragnąć śmierci Josephine? Niania odsunęła chusteczkę od oczu i rzuciła mi ostre spojrzenie.

- Wie pan przecież, jaka ona była. Lubiła wszystko wiedzieć. Zawsze taka była, od małego. Chowwała się pod stołem i podsłuchiwała pokojówki. Czuła się dzięki temu ważna. Widzi pan, pani ją odsuwała od siebie. Nie była ładna, jak starsze rodzeństwo. Odmieniec, tak ją nazywała pani. Winie ją za to, bo to napełniało Josephine goryczą. Ale w jakiś zabawny sposób odbijała to sobie, dowiadując się różnych rzeczy o ludziach i mówiąc im, że wie. Ale to niebezpieczne, gdy w pobliżu jest morderca.

Tak. To nie było bezpieczne. I przywiodło mi coś na myśl.

- Czy wie pani - zapytałem - gdzie trzymała tę swoją czarną książeczkę, w której zawsze coś zapisywała?

- Wiem, o czym pan mówi, panie Charlesie. Była bardzo przebiegła. Widziałam kiedyś, jak śliniła ołówek, pisała coś i znowu śliniła ołówek. Powiedziałam jej: „Nie rób tego, bo zatrujesz się grafitem”. A ona na to: „Nie, bo w ołówku nie ma grafitu. Jest węgiel”. Chociaż nie wiem, jak to możliwe, bo skoro mówi się, że to grafit ołówkowy, to dlatego, iż jest tam grafit, prawda?

- Tak powinno być - zgodziłem się. - Ale w rzeczy samej Josephine miała rację. (Josephine zawsze miała rację!). Co z tą książeczką? Wie pani, gdzie ją trzymała?

- Nie mam pojęcia, proszę pana. To jedna z tych rzeczy, których strzegła jak oka w głowie.

- Nie znaleziono jej przy niej?

- Och nie, panie Charlesie, nie było jej.

Czy ktoś zabrał książeczkę? Czy może ukrywała ją w swoim pokoju. Pomyślałem, że warto sprawdzić. Nie byłem pewien, który pokój należy do Josephine, ale kiedy tak stałem w korytarzu i zastanawiałem się, usłyszałem nagle głos Tavernera.

- Chodź tutaj - powiedział.-Topokój dzieciaka. Widziałeś już coś takiego?

Wszedłem do środka i zamarłem.

Małe pomieszczenie wyglądało tak, jakby przeszło przez nie tornado. Szuflady wyrzucone z biurka, a ich zawartość wałała się po podłodze. Materace i pościel zwleczone z małego łóżka. Chodniki rzucono na kupę. Krzesła przewracano, pozdejmowano obrazy ze ścian i wyjęto fotografie z ram.

- Dobry Boże! - wykrzyknąłem. - A to co?

- Jak myślisz?

- Ktoś tu czegoś szukał.

- Na to wygląda. Rozejrzałem się po pokoju.

- Ale kto, do licha? Z pewnością nie mógłby tu wejść i zrobić czegoś takiego tak, by nikt go nie słyszał i nie widział.

- Dlaczego nie? Pani Leonides spędza poranki w sypialni, malując paznokcie, wykonując telefony do przyjaciół i bawiąc się strojami. Philip przebywa w bibliotece. Niania siedzi w kuchni, obierając ziemniaki i fasolkę. W rodzinie, której zwyczaje się zna, to nic trudnego. I powiem ci coś: każdy z domowników mógł to zrobić - zastawić pułapkę i przeszukać pokój. Ale ten ktoś się śpieszył, nie miał czasu na dokładne szukanie.

- Każdy z domowników?

- Tak. Każdy miał czas i możliwości. Philip, Magda, niania, twoja dziewczyna. Tak samo ci z góry. Brenda spędziła rano sama. Laurence i Eustace mieli pół godziny przerwy. Ty byłeś z nimi tylko przez krótki czas. Panna de Haviland spędziła rano w ogrodzie. Też sama. Roger był w swoim gabinecie.

- Tylko Clemency pojechała do pracy.

- Nie. Została dzisiaj w domu z powodu bólu głowy. Była sama w pokoju. Każde z nich mogło to zrobić. Każde! A ja nie wiem, kto! Nie mam pojęcia. Gdybym wiedział, czego tu szukano...

Rozejrzał się po wybebeszonym pokoju.

- I gdybym wiedział, czy to znaleziono... Nagle jakaś myśl zaświtała mi w głowie.

- Czekał - powiedziałem.

Wybiegłem z pokoju i rzuciłem się na schody. Udałem się na ostatnie piętro. Otworzyłem drzwi do pokoju ze zbiornikami na wodę, dotarłem w kat, gdzie sufit znacznie opadał i rozejrzałem się.

Kiedy zapytałem Josephine, co robi, odparła, że „prowadzi śledztwo”.

Nie wiem, czy śledztwo można prowadzić na pokrytym pajęczynami strychu ze zbiornikami na wodę. Ale uznałem, że to dobre miejsce, żeby coś schować. Jeżeli tak, to znalezienie tego nie powinno mi zająć dużo czasu.

I rzeczywiście. W trzy minuty później, za największym zbiornikiem, z wnętrza którego wydobywał się syk przydający grozy moim poszukiwaniom, znalazłem pakiet listów opakowanych w rozdarty, szary papier.

Wziąłem do ręki pierwszy z nich i przeczytałem:

*Och, Laurence, mój kochany... Ostatniej nocy, kiedy recytowałeś ten wiersz, było cudownie. Wiem, że był przeznaczony dla mnie, chociaż nie patrzyłeś w moją stronę. Aristide powiedział: „Dobrze recytujesz”. Nie odgadł, co oboje czujemy. Kochany, jestem pewna, że*

*wkrótce wszystko się ułoży. Będziemy cieszyć się, że się nie dowiedział, że umarł szczęśliwszy. Był dla mnie dobry. Nie chcę, żeby cierpiał. Ale nie sądzę, by życie po osiemdziesiątce było przyjemne. Nie chciałabym tego doświadczyć! Wkrótce będziemy już na zawsze razem. Jak cudownie będzie móc powiedzieć do ciebie: „Mój kochany, kochany mężu...” Najdroższy, jesteśmy stworzeni dla siebie. Kocham cię, kocham cię, kocham... nie widzę końca naszej miłości, ja...*

Było tego więcej, ale nie miałem ochoty na dalszą lekturę. Zszedłem na dół i wcisnąłem paczkę w dłoń Tavemera.

- Możliwe - powiedziałem - że tego szukał nasz nieznany przyjaciel.

Taverner przeczytał kilka linijek i aż usiadł z wrażenia. Przejrzał kolejne listy, po czym spojrzał na mnie z miną kota, którego nakarmiono najlepszym kremem.

- No - rzekł z zadowoleniem - to pogrąża panią Brendę Leonides. I pana Laurence'a Browna. Więc to byli oni, cały czas...

## 19.

Kiedy teraz patrzę wstecz, wydaje mi się dziwne, jak nagle całkowicie zniknęła moja litość i sympatia dla Brendy Leonides, po odkryciu listów, które pisała do Laurence'a Browna. Czy moja próżność nie mogła pogodzić się z odkryciem, że kochała nauczyciela i rozmyślnie okłamała mnie? Nie wiem. Nie jestem psychologiem. Wolę wierzyć, że to myśl o zranionej Josephine pozbawiła mnie resztek współczucia.

- Moim zdaniem to Brown zastawił pułapkę - powiedział Taverner - i to wyjaśnia fakt, który mnie do tej pory dziwił.

- Co cię dziwiło?

- Popatrz, dziecko dotarło do tych listów, które są absolutnie obciążające! Pierwsza rzecz to odebrać je. Gdyby miała tylko mówić, a nie miała niczego do pokazania, można by to było złożyć na karb dziecięcej imaginacji. Ale zbrodniarz nie może ich znaleźć. Zatem jedyny sposób to na dobre uciszyć dzieciaka. Ktoś, kto raz zamordował, nie zawaha się. Wie, że ona lubi się huścić na tych drzwiach. Idealny sposób, to zacząć się na nią i uderzyć pogrzebaczem, żelazną sztabą lub jakimś innym ciężkim przedmiotem, których tyle było pod ręką. Po co zawracać sobie głowę marmurowym lwem na szczycie drzwi, który może nie trafić w ofiarę lub nie zabić jej, co właściwie miało miejsce? Pytam się - po co?

- No i jaka jest odpowiedź?

- Początkowo myślałem, że ma to związek z czymś alibi na czas, kiedy Josephine została uderzona. Ale okazało się, że po pierwsze nikt nie ma alibi, a po drugie - wiadomo było, że ten, kto ją znajdzie, dostrzeże posążek i pułapkę, i całe modus operandi stanie się jasne. Oczywiście gdyby morderca usunął ślady, zanim znaleziono Josephine, dałby nam do myślenia. Ale tak, jak to się stało, cała sprawa nie miała sensu. Wyciągnął dłoń.

- A obecne wyjaśnienie? - zapytałem.

- Element osobowości. Osobistej idiosynkrazji. Idiosynkrazja Laurence'a Browna. On nie IM przemocy, nie potrafi się do niej zmusić. Nie mógłby stanąć za drzwiami i uderzyć dziecka w głowę. Mógł zastawić pułapkę i nie widzieć efektów jej działania.

- Tak, rozumiem - powiedziałem powoli. - To jakby jeszcze raz zamiana insuliny na eserinę.

- Właśnie.

- Sądzisz, że zrobił to bez wiedzy Brendy?

- To by wyjaśniało, dlaczego nie wyrzuciła fiolki po zastrzyku. Oczywiście mogli wymyślić razem tę miłą, łatwą śmierć dla jej męża zmęczonego życiem na tym najpiękniejszym

ze światów! A być może wymyśliła to sama, bo to typowo kobiecy trick. Ale założę się, że pułapka to nie jej sprawa. Kobiety nigdy nie wierzą w działanie mechanizmów. I mają rację. Ona należy do osób, które unikają robienia czegokolwiek podejrzanego i zachowują czyste sumienie.

Przerwał na chwilę. Zapakował koperty z powrotem w szary papier, po czym wskazując na pakunek, powiedział:

- Myślę, że z tymi listami uzyskamy nakaz prokuratora. Wyjaśnią wszystko! Jeżeli dzieciak się z tego wykaraska, zakończenie będzie szczęśliwe. - Rzucił mi zaciekawione spojrzenie. - Jak czuje się człowiek, gdy jest zaręczony z milionem funtów?

Popatrzyłem na niego nieprzytomnym wzrokiem. W natłoku wydarzeń ostatnich godzin zupełnie zapomniałem o testamencie.

- Sophia jeszcze nie wie - zauważyłem. - Czy mam jej powiedzieć?

- Myślę, że Gaitskill ogłosi tę smutną lub radosną nowinę - zależy jak dla kogo - jutro rano. - Tavemer zrobił pauzę i popatrzył na mnie w zadumie. - Zastanawiam się - powiedział - jakie będą reakcje rodziny.



## 20.

Rozprawa, tak jak przepowiadałem, została odroczone na prośbę policji.

Byliśmy w radosnych nastrojach, bo otrzymaliśmy dobre wieści ze szpitala. Okazało się, że obrażenia Josephine nie są tak poważne, jak się tego obawialiśmy, i dziewczynka szybko wróci do zdrowia. Doktor Gray zabronił jednak na razie odwiedzin, nawet matce.

- Szczególnie matce - wymruczała Sophia do mnie. - Poinstruowałam go o tym. Zresztą zna matkę.

Musiałem mieć powątpiewający wyraz twarzy, bo zapytała ostro:

- Cóż to, widzę dezaprobatę?

- Z pewnością matka...

- Cieszę się, że jesteś taki staromodny, Charlesie. Ale nie wiesz, do czego matka jest zdolna. To silniejsze od niej. Musiałaby odegrać wielką, dramatyczną scenę, a dramatyczne sceny nie są najlepsze dla osób, które dochodzą do siebie po uderzeniu w głowę.

- Myślisz o wszystkim, kochanie.

- Ktoś musi to zrobić po śmierci dziadka.

Popatrzyłem na nią uważnie. Zrozumiałem, że wyczucie starego Leonidesa nie zawiodło go. Brzemie odpowiedzialności spoczywało już na ramionach Sophii.

Po rozprawie Gaitskill towarzyszył nam do Trzech Szczytów. Kiedy znaleźliśmy się w domu, poinformował wszystkich uroczyście, że jego obowiązkiem jest złożyć pewne oświadczenie.

W tym celu cała rodzina zebrała się w salonie Magdy. Czułem się jak widz, który ogląda przedstawienie w teatrze. Wiedziałem już, co Gaitskill miał zamiar oznajmić, mogłem więc spokojnie obserwować reakcję członków rodziny.

Gaitskill zachowywał się powściągliwie i oschle. Na jego twarzy nie dostrzegłem ani śladu osobistych uczuć i irytacji. Najpierw odczytał list Aristide Leonidesa, później zaś jego testament

Było to interesujące przedstawienie. Żałowałem tylko, że nie mogłem równocześnie obserwować wszystkich.

Nie zwracałem uwagi na Brendę i Laurence'a. Zapis na rzecz Brendy pozostał nie zmieniony. Obserwowałem przede wszystkim Rogera i Philipa, a także Magdę i Clemency.

Początkowo zachowywali się bardzo spokojnie.

Philip zacisnął wargi i odchylił głowę w tył. Milczał.

Magda wprost przeciwnie: gdy tylko Gaitskill skończył, natychmiast wybuchnęła potokiem słów.

- Sophio, kochanie! - zawołała - to coś wyjątkowego! Jak romantycznie! Słodki dziadzio był sprytny i podstępny jak dziecko. Czyżby nam nie ufał? Czy sądził, że ta decyzja nas rozgniewa? Nigdy nie okazywał Sophii szczególnego uczucia. Traktował ją jak nas wszystkich. To wyjątkowo dramatyczne.

Nagle Magda poderwała się na nogi i zaczęła tańczyć wokół Sophii, gnąc się w ukłonach.

- Madame Sophio, twoja pozbawiona środków do życia, stara matka błagała cię o jałmużnę. - Jej głos przybrał cockneyowskie akcenty. - Daj choć miedziaka. Mama chce iść do kina.

Wyciągnęła w stronę Sophii zgiętą w geście prośby dłoń. Philip nie poruszył się, a jedynie warknął przez zaciśnięte wargi:

- Magdo, proszę, nie ma powodu do błaznowania.

- Och, ale Roger! - krzyknęła nagle Magda. - Biedny, kochany Roger. Dziadzio zamierzał mu pomóc i zmarł, zanim zdołał tego dokonać. A teraz Roger nie dostał nic. Sophio -zwróciła się władczo do córki - musisz mu pomóc.

- Nie - odezwała się Clemency, robiąc krok do przodu. Jej twarz miała buntowniczy wyraz. - Nic. Zupełnie nic.

Roger zbliżył się do Sophii jak wielki, niezgrabny niedźwiedź.

- Nie chcę ani pensa, kochana dziewczynko. Kiedy tylko ta sprawa zostanie wyjaśniona... albo ucichnie, co jest bardziej prawdopodobne, Clemency i ja wyjedziemy do Indii Zachodnich. Jeżeli znajdę się w sytuacji ekstremalnej, poproszę o pomoc głowę rodziny. - Uśmiechnął się ujmująco. - Ale na razie nie chcę ani pensa. Jestem prostym człowiekiem, kochanie... zapytaj o to Clemency.

Nieoczekiwanie przemówiła Edith de Haviland.

- Wszystko pięknie - powiedziała. - Ale musisz wziąć pod uwagę jeszcze coś. Jeżeli zbankrutujesz i ukryjesz się na końcu świata, to ludzie zaczną mówić nieprzyjemne rzeczy o Sophii, która ci nie pomogła.

- Jakie znaczenie ma opinia publiczna? - zapytała Clemency pogardliwie.

- Dla ciebie żadnego - odparła ostro Edith. - Ale Sophia żyje w tym świecie. Ma bystry umysł i dobre serce i bez wątpienia Aristide miał rację, wybierając ją na głowę rodziny, chociaż pominął swoich synów, co jest dziwne w stosunku do naszych angielskich tradycji. Sądzę, że Sophia nie pozwoli, by Roger zbankrutował tylko dlatego, iż nie udzieliła mu pomocy.

Roger podszedł do ciotki. Objął ją i uściskał mocno.

- Ciociu Edith - powiedział - jesteś kochana i uparta, ale nic nie rozumiesz. Clemency i ja wiemy, czego chcemy, a czego nie chcemy!

Clemency zarumieniła się ze złości i zawołała wyzywająco:

- Nikt z was nie rozumie Rogera. Nigdy go nie rozumieście! I nie sądzę, byście kiedykolwiek zrozumieli! Chodź, Rogerze!

Oboje opuścili pokój. Gaitskill odchrząknął i zaczął porządkować papiery. Jego twarz wyrażała głęboką dezaprobatę. Widać było, że nie przepadał za scenami tego typu.

Wreszcie spojrzałem na Sophię. Stała przy kominku wyprostowana, z lekko wysuniętym podbródkiem i stanowczością w oczach. Otrzymała olbrzymią fortunę, ale myślałem przede wszystkim o tym, jak bardzo się stała nagle samotna. Pomiędzy nią a rodziną wyrósł mur. Od tej chwili miała być od nich oddzielona i zastanawiałem się, czy uświadamia sobie już ten fakt. Stary Leonides obarczył ją brzemieniem i wiedziała o tym. Wierzył, że jej ramiona będą wystarczająco silne, by je udźwignąć, ale w tym momencie zrobiło mi się jej niewymownie żal.

Jak dotąd nie odzywała się. Właściwie nie miała szansy, by to zrobić, ale wiedziałem, że wkrótce będzie do tego zmuszona. Już teraz czułem ukrytą niechęć rodziny. Nawet we wdzięcznym przedstawieniu Magdy była subtelna złośliwość. A wiele rzeczy dopiero miało wypłynąć na powierzchnię.

- Pozwól, że ci pogratuluję - rzekł Gaitskill. - Jesteś teraz bardzo bogatą kobietą. Nie radziłbym ci żadnych pochopnych działań. Mogę przedłożyć ci wykaz bieżących wydatków. Jeżeli zechcesz przedyskutować ustalenia na przyszłość, to także chętnie służę radą. Możemy się umówić na spotkanie, kiedy już wszystko sobie przemyślisz.

- Roger... - zaczęła Edith de Haviland z uporem. Gaitskill przerwał jej:

- Roger musi dbać o siebie sam. Jest dorosły... ma chyba pięćdziesiąt cztery lata. Dobrze wiecie, że Aristide Leonides miał rację. Roger nie jest biznesmenem. I nigdy nim nie będzie. - Popatrzył na Sophię. - Jeżeli postawisz na nogi Associated Catering, to nie licz na to, że Roger da sobie tym razem radę z zarządzaniem.

- Nie mam najmniejszego zamiaru ratować Associated Ca-tering - odparła spokojnie Sophia. Przemówiła po raz pierwszy. Jej głos był szorstki i stanowczy. - To byłby idiotyzm.

Gaitskill spojrzał na nią spod oka i uśmiechnął się. Potem powiedział „do widzenia” i wyszedł. Na kilka chwil zapadła cisza. Pierwszy podniósł się Philip.

- Muszę wracać do biblioteki - oznajmił sztywno. - Straciłem mnóstwo czasu.

- Ojczy... - odezwała się Sophia niepewnie i nieomal błagalnie.

Czułem jej drzenie, gdy Philip popatrzył na nią zimno i wrogo.

- Wybacz, że ci nie pogratulowałem - powiedział. - Był to dla mnie szok. Nie moge uwierzyć, że ojciec tak mnie upokorzył... że wzgardził moim oddaniem i uwielbieniem. - Po raz pierwszy z za lodowatej powściągliwości wyjrzał żywy człowiek. - Mój Boże! - krzyknął. - Jak mógł mi to zrobić? Zawsze był dla mnie niesprawiedliwy! Zawsze!...

- Och, nie Philipie, nie wolno ci tak myśleć! - zawołała Edith de Haviland. - Nie traktuj tego jako afrontu. To nie lekceważenie. Kiedy ludzie starzeją się, zwracają się ku młodszej generacji... Zapewniam cię, że to tylko to... a poza tym Aristide miał zawsze wycucie do interesów. Wybrał mądrze.

- Nigdy mu na mnie nie zależało - rzekł Philip niskim, ochrypłym głosem. - Najważniejszy był zawsze Roger... No ale w końcu zdał sobie sprawę z tego, że mój brat to głupiec. Rogera też odciął od pieniędzy.

- A co ze mną? - zapytał Eustace.

Do tej pory w ogóle go nie zauważyłem, ale teraz dostrzegłem, że trzął się cały od nagłych emocji. Jego twarz była purpurowa, w oczach miał łzy. Głos mu drżał histerycznie.

- To hańba! - wołał. - Cholerna hańba! Jak dziadek mógł mi to zrobić?! Jak śmiał?! Byłem jego jedynym wnukiem. Odtrącił mnie na rzecz Spohii. To niesprawiedliwe. Nienawidzę go! Nienawidzę! Nigdy mu tego nie wybaczę. Bestialski stary tyran. Dobrze, że umarł. Miałem dość tego domu. Chciałem być panem siebie samego, a teraz będę musiał prosić o wszystko Sopię. Żałuję, że to nie ja umarłem...

Głos mu się załamał. Wybiegł z pokoju. Edith de Haviland potrząsnęła głową.

- Brak samokontroli - wymruczała.

- Wiem, co on czuje - zatkała Magda.

- Jestem pewna, że wiesz - odparła Edith cierpkim głosem.

- Biedaczek! Muszę iść za nim.

- Magdo... - Edith pospieszyła za nią.

Ich głosy oddaliły się. Sophia nadal patrzyła na Philipa. W jej spojrzeniu była prośba. Ale nie otrzymała na nią odpowiedzi. Ojciec popatrzył na nią zimno, ponownie odzyskując opanowanie nad sobą.

- Dobrze rozegrałaś tę partię - powiedział i wyszedł z pokoju.

- To okrutne! - zawołałem. - Sophio...

Wyciągnęła do mnie dłoń.

- Wiem, co czują - wyszeptwała.

- To dla ciebie zbyt wiele, kochanie - powiedziałem, obejmując ją. - Ten stary diabeł nie powinien być cię tym obarczyć.

Wyprostowała się.

- Wierzył, że to zniosę. I zrobię to. Żałuję tylko, że Eustace tak się tym przejął.

- Przejdzie mu.

- Czyżby? Nie jestem pewna. Raczej zamknie się w sobie. I żal mi ojca. Czuje się zraniony.

- Twoja matka nie zmartwiła się.

- Trochę tak. To niezgodne z jej usposobieniem prosić córkę o pieniądze. Ale ani się nie obejrzymy, jak zacznie nalegać, bym sfinansowała „Edith Thompson”.

- I co zrobisz? Jeżeli to ją uszczęśliwia...

- Powiem: „Nie!” To paskudna sztuka, a matka nie powinna grać tej roli. Byłoby to wyrzucenie pieniędzy w błoto.

Wybuchnąłem śmiechem. Nie mogłem się powstrzymać.

- O co chodzi? - zapytała Sophia podejrzliwie.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego dziadek zostawił ci pieniądze. Jesteś ze starej szkoły.

## 21.

Żałowałem jedynie, że nie było z nami Josephine. Nieźle by się ubawiła.

Jej powrót do zdrowia był zadziwiająco szybki i lada moment miała wrócić do domu, ale jednak ominęło ją kolejne ważne wydarzenie.

Byłem właśnie w ogródku skalnym z Sophią i Brendą, kiedy przed dom zajechał policyjny samochód. Wysiedli z niego inspektor Tavemer i sierżant Lamb. Weszli do domu.

Brenda znieruchomiała i wlepiała oczy w samochód.

- To oni - powiedziała. - Wrócili, a ja myślałam już, że dali nam spokój... że to się wreszcie skończyło.

Zauważyłem, że zadrżała.

Dołączyła do nas jakieś dziesięć minut wcześniej okryta swoimi szynszylami.

- Jeżeli nie zażyję trochę ruchu, oszaleję - powiedziała. - Kiedy tylko wychodzę za furtkę, zawsze natykam się na jakiegoś reportera. To jak oblężenie. Czy nigdy się to nie skończy?

Sophią odparła, że dziennikarze pewnie się wkrótce znudzą.

- Możesz korzystać z samochodu - dodała.

- Mówię ci, że potrzebuję ruchu - odparła Brenda, a po chwili zauważyła ostro. - Zwalniasz Laurence'a. Dlaczego?

- Załatwimy dla Eustace'a coś innego - odpowiedziała cicho Sophią. - A Josephine jedzie do Szwajcarii.

- To bardzo zasmuci Laurence'a. Czuje, że mu nie ufasz.

Sophia nie odpowiedziała i akurat w tym momencie podjechał samochód Tavernera.

- Czego oni chcą? Po co przyjechali? - pytała z niepokojem Brenda, rozglądając się wokół.

Pomyślałem, że wiem, po co. Nie wspomniałem Sophii o listach, które znalazłem i które powędrowały do prokuratora.

Taverner wyszedł z domu i skierował się w naszą stronę. Brenda zadrżała mocniej.

- Czego on chce? - powtarzała nerwowo. - Czego chce?

Tavemer dołączył do nas i przemówił oficjalnym tonem:

- Oto nakaz aresztowania. Jest pani oskarżona o zamordowanie męża, Aristide Leonidesa, dnia dziewiętnastego września. Muszę panią ostrzec, że cokolwiek pani powie, może być użyte przeciwko pani.

Brenda dosłownie oszalała. Przyłgnęła do mnie kurczowo.

- Nie, nie, nie, to nieprawda! - krzyczała. - Charlesie, powiedz im, że to nieprawda! Nie zrobiłam tego. Nie wiem nic na ten temat. To spisek. Nie pozwól, by mnie zabrali. To nieprawda, mówię ci... To nieprawda... Nic nie zrobiłam...

Było to okropne... Próbowałem uspokoić ją, uwolnić ramię z jej palców. Powiedziałem, że załatwię jej prawnika, który się wszystkim zajmie...

Tavemer ujął ją łagodnie za łokieć.

- Proszę się uspokoić, pani Leonides - powiedział. - Chce pani wziąć kapelusz? Nie? To idziemy.

Cofnęła się i popatrzyła na niego rozszerzonymi, kocimi oczyma.

- Laurence - powiedziała. - Co z nim zrobiliście?

- Pan Laurence Brown jest również aresztowany - odparł Taverner.

Opadła z sił. Jej ciało zwiotczało i skurczyło się. Po twarzy popłynęły łzy. W milczeniu poszła za Tavemerem. Na podjeździe pojawili się Laurence Brown i sierżant Lamb. Wszyscy wsiedli do samochodu i odjechali.

Wzięłem głęboki oddech i odwróciłem się do Sophii. Była bardzo blada i wyglądała na nieszczęśliwą.

- To straszne - powiedziała. - Straszne.

- Wiem.

- Musisz jej załatwić dobrego adwokata... najlepszego. Musi otrzymać wszelką możliwą pomoc.

- Nie miałem pojęcia – zauważyłem – jak takie rzeczy wyglądają. Nigdy wcześniej nie widziałem aresztowania.

- Ja też nie.

Zamilkliśmy. Myślałem o przerażeniu na twarzy Brendy. Wydawało mi się znajome i nagle przypomniałem sobie, skąd je znam. Taki sam wyraz widziałem na twarzy Magdy Leonides pierwszego dnia po przybyciu do Domu Przestępców, kiedy rozprawiała o sztuce „Edith Thompson”.

„A potem - powiedziała - czysty terror, jak sądzicie?”

Paniczny strach - to było na twarzy Brendy. Pomyślałem, że ta kobieta nie umie walczyć, że prawdopodobnie nie miałyby dość zimnej krwi, aby zamordować. Ale może tego nie zrobiła. Możliwe, że to Laurence Brown z jego manią prześladowcza i zachwianą osobowością zamienił zawartość buteleczek, by uwolnić kobietę, którą kochał.

- Skończyło się - westchnęła Sophie głęboko, a potem zapytała: - Dlaczego aresztowano ich właśnie teraz? Sądziłam, że nie ma dowodów.

- Są dowody. Listy.
- Ich listy miłosne?
- Tak.
- Co za głupcy! Trzymali je?

„Rzeczywiście głupcy” - pomyślałem. Tego rodzaju głupoty nie można się pozbyć, korzystając z doświadczeń innych. Każdego dnia można przeczytać o tym w gazetach. Głupota sprawia, że pisemne zapewnienia o miłości są pieczołowicie przechowywane.

- Stało się - powiedziałem. - Ostatecznie cały czas mieliśmy na to nadzieję, prawda? To przecież powiedziałaś mi w „Mario”. Powiedziałaś, że wszystko będzie w porządku, jeżeli dziadka zabiła właściwa osoba. Tą osobą była Brenda, czyż nie? Brenda lub Laurence?

- Przestań! Czuję się okropnie.
- Ale musimy być rozsądni. Teraz możemy się pobrać. Już nic nie stoi na przeszkodzie.

Rodzina Leonidesów jest oczyszczona z podejrzeń.

Popatrzyła na mnie uważnie. Nigdy wcześniej jej niebieskie oczy nie wydały mi się tak żywe.

- Tak - powiedziała. - Jesteśmy oczyszczeni z podejrzeń. Czy masz pewność?
- Kochanie, nikt z was nie miał cienia motywu.

Nagle pobladła.

- Oprócz mnie. Ja miałam motyw.
- Tak, oczywiście... - Byłem zaszokowany. - Ale w rzeczywistości nie. Nie wiedziałaś przecież o testamencie.

- Wiedziałaś - wyszeptała.
- Co? - Wlepiłem w nią wzrok. Nagle poczułem zimny dreszcz.
- Cały czas wiedziałam, że dziadek zostawił mi wszystko.
- Ale skąd?

- Powiedział mi. Jakies dwa tygodnie przed śmiercią. Kiedyś rzekł nagle: „Zostawiłem ci pieniądze. Musisz po moim odejściu opiekować się rodziną”.

Byłem zaszokowany.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś.
- Nie. Widzisz, kiedy wyniknęło to zamieszanie z testamentem i podpisem, pomyślałam, że może tylko sobie to wyobraził. Albo że zrobił testament na moją korzyść, ale dokument zaginał i nigdy się nie odnajdzie. Nie chciałam, żeby się odnalazł... Bałam się.

- Bałaś się? Dlaczego?
- Chyba z powodu morderstwa.



Przypomniałem sobie przerażenie i dziką panikę na twarzy Brendy. I szaleńczy strach, z jakim Magda odgrywała rolę morderczyni. W umyśle Sophii nie byłoby paniki, ale była realistką i wiedziała, że testament Leonidesa czyni z niej podejrzaną. Zrozumiałem teraz jej odmowę zaręczyn i naleganie na to, by odkryć prawdę. „Tylko prawda może nam pomóc”. Tak powiedziała. Pamiętałem pasję i żarliwość, z jaką to mówiła.

Ruszyliśmy w kierunku domu i nagle przypomniałem sobie coś jeszcze.

Powiedziała, że mogłaby chyba kogoś zamordować, jeżeli byłoby to naprawdę tego warte.

## 22.

Naprzeciwko nas pojawili się Roger i Clemency. Wuj Sophii był bardzo podniecony. Clemency marszczyła brwi.

- Hej, witajcie! - zawołał Roger. - Wreszcie! Myślałem już, że nigdy nie zaaresztują tej obrzydliwej kobiety. Nie wiem, na co czekali. No ale przyskrzynili ją teraz i tego jej chłopaczka. Mam nadzieję, że ich powieszą.

Zmarszczka na czole Clemency pogłębiła się.

- Nie bądź barbarzyńcą, Roger - powiedziała.

- Barbarzyńcą? Do diabła! Ta kobieta z zimną krwią otruła bezbronnego staruszka, a kiedy cieszę się, że morderczyni poniesie karę, ty mówisz, że jestem barbarzyńcą. Powtarzam ci, że chętnie sam bym ją zadusił.

Po chwili zapytał:

- Była z wami, kiedy po nią przyszli, prawda? Jak to przyjęła?

- To było przerażające - cicho odparła Sophia. - Nieomal traciła zmysły ze strachu.

- Dobrze jej tak.

- Nie bądź mściwy - poprosiła Clemency.

- Och, wiem, najdroższa, ale ty tego nie rozumiesz. To nie był twój ojciec. Kochałem go. Nie rozumiesz? Kochałem go!

- Rozumiem - odpowiedziała Clemency.

- Nie masz wyobraźni - zażartował Roger. - Przypuśćmy, że to ja zostałem otruty...?

Clemency gwałtownie opuściła powieki i zacisnęła dłoń.

- Nie mów takich rzeczy nawet żartem - powiedziała ostro.

- Już dobrze, kochanie, wkrótce nas tu nie będzie.

Ruszyliśmy w kierunku domu. Roger i Sophia poszli przodem, a ja z Clemency za nimi.

- Chyba pozwolą nam teraz wyjechać? - zapytała Clemency.

- Tak bardzo się niecierpliwisz?

- Do szaleństwa.

Popatrzyłem na nią zaskoczony. Posłała mi desperacki uśmiech i kiwnęła głową.

- Czy nie widzisz, Charlesie, że ja cały czas walczę? O swoje szczęście. O szczęście Rogera. Obawiałam się, że rodzina przekona go, iż powinien zostać w Anglii. Że utknemy wśród nich, zapłacemy się w rodzinne więzy. Bałam się, że Sophie zaoferuje mu pieniądze i Roger zostanie, bo według niego to oznaczałoby komfort i rozkosze dla mnie. Kłopot z moim mężem polega na tym, że on nie słucha. Ma określone opinie i sądzi, że są właściwe. Mc nie

wie. Jest typowym Leonidesem - uważa, że szczęście kobiety zależy od komfortu i pieniędzy. Ale będę walczyć o swoje szczęście. Będę. Zabiorę stąd Rogera i dam mu życie tam, gdzie nie będzie się czuł nieudacznikiem. Chcę go tylko dla siebie... z dala od nich... natychmiast...

Mówiła z rozpaczą, która mnie zaskoczyła. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy ze stanu jej duszy. Nie wiedziałem, że jej uczucia do Rogera są aż tak zaborcze.

Przypomniałem sobie słowa Edith de Haviland. Mówiła o „bałwochwalstwie” ze szczególną intonacją. Zastanawiałem się, czy nie miała na myśli Clemency.

„Roger - myślałem - kochał ojca bardziej niż kogokolwiek. Bardziej niż żonę, chociaż ją przecież uwielbiał”. Zrozumiałem nagle, jak strasznie Clemency pragnęła go mieć dla siebie. Miłość do Rogera wypełniła całą jej egzystencję. Był dla niej dzieckiem, mężem, kochankiem - wszystkim.

Przed domem zatrzymał się samochód.

- Hej! - zawołałem. - Wróciła Josephine.

Dziewczynka i Magda wysiadły z auta. Josephine miała obandażowaną głowę, ale poza tym wyglądała wyjątkowo dobrze.

- Chcę zobaczyć moje złote rybki - powiedziała natychmiast i ruszyła w kierunku sadzawki.

- Kochanie! - krzyknęła Magda. - Powinnaś najpierw nieco odpocząć i zjeść trochę pożywnej zupki.

- Daj spokój, mamó - odparła Josephine. - Czuję się świetnie i nie znoszę pożywnej zupki.

Magda wahała się. Wiedziałem, że Josephine została przetrzymana w szpitalu na polecenie Tavernera. Wolał nie ryzykować jej bezpieczeństwa, dopóki podejrzani nie znaleźli się pod kluczem.

- Ośmielę się zauważyć, że świeże powietrze dobrze jej zrobi - powiedziałem do Magdy. - Będę miał na nią oko.

Dopadłem Josephine przy sadzawce.

- Sporo się wydarzyło w czasie twojej nieobecności. Josephine nie odpowiedziała. Wlepiła krótkowzroczne oczy w sadzawkę.

- Nie widzę Ferdinanda - powiedziała.

- A który to Ferdinand?

- Ten z czterema ogonami.

- Tamta jest zabawna. Ta ze złotym ogonem.

- Pospolita.

- Nie podoba mi się ta postrzępiona.

Josephine rzuciła mi pogardliwe spojrzenie.

- To specjalny okaz. Bardzo drogi.

- Nie chcesz wiedzieć, co się tu działo?

- Wiem.

- Wiesz, że znalazł się inny testament i że dziadek zapisał wszystko Sophii?

Josephine kiwnęła głową w znudzony sposób.

- Mama mi powiedziała. A poza tym wiedziałam wcześniej.

- Usłyszałaś o tym w szpitalu?

- Nie. Wiem, że dziadek zostawił pieniądze Sophii, bo słyszałam, jak jej to mówił.

- Podśluchiwałaś?

- Tak. Lubię podśluchiwać.

- To haniebne postępowanie i pamiętaj, że także o sobie można usłyszeć coś niemiłego.

- Usłyszałam, co jej o mnie powiedział - odparła spokojnie, a po chwili dodała:

- Niania jest wściekła, kiedy przyłapuje mnie pod drzwiami. Mówi, że damy tego nie robią.

- Ma rację.

- Phi. Dziś już nie ma dam. Zdez-ak-tu-alizowały się. -Starannie wymówiła to słowo.

Zmieniłem temat.

- Trochę się spóźniłaś - powiedziałem. - Inspektor Taver-ner zaarrestował właśnie Brendę i Laurence'a.

Oczekiwałem, że Josephine jako młody detektyw będzie podniecona ta wiadomością. Odpowiedziała jednak znudzonym głosem:

- Wiem.

- Nie możesz wiedzieć. To stało się przed chwilą.

- Minęliśmy ich samochód po drodze. Inspektor Taverner i detektyw w półbutach byli w środku, a także Brenda i Laurence, więc odgadłam, że zostali aresztowani. Mam nadzieję, że ostrzeżono ich przedtem. Trzeba to robić, wiesz?

Zapewniłem ją, iż Tavermer zachował się zgodnie z obowiązującymi zasadami.

- Musiałem powiedzieć im o listach - zacząłem przepraszać tonem. - Znalazłem je w zbiorniku na wodę. Ty nie mogłaś im tego powiedzieć, bo uderzono cię w głowę.

Josephine delikatnie dotknęła rany.

- Mogło mnie zabić - powiedziała z wyraźnym zadowoleniem. - Mówiłam ci, że już pora na drugie morderstwo. Pomieszczenie ze zbiornikami było głupim miejscem na schowek.

Kiedy pewnego dnia zobaczyłam wychodzącego stamtąd Lawrence'a, od razu wszystko odgadłam. Wiedziałam, że nie zna się na kranach, rurach, bezpiecznikach, więc musiał coś chować.

- A ja myślałem... - urwałem, bo dobiegł mnie głos Edith de Haviland.

- Josephine, Josephine, chodź tu natychmiast! - wołała. Dziewczynka westchnęła.

- Znowu to samo - powiedziała. - Muszę iść. Ty lepiej też. Pobiegnij przez trawnik, a ja ruszyłem za nią powoli.

Po krótkiej wymianie zdań Josephine weszła do domu. Dołączyłem do Edith de Haviland na tarasie.

Tego ranka wyglądała na swój wiek. Na jej twarzy malowała się słabość i zmęczenie.

- Ta przygoda wcale nie zmieniła tego dziecka - zauważyła. - Musimy w przyszłości lepiej jej pilnować. Chociaż to może nie będzie teraz konieczne?

- Cieszę się, że już po wszystkim. Ale co za przedstawienie! Jeżeli jest się aresztowanym za morderstwo, trzeba mieć trochę godności. Nie mam cierpliwości do ludzi, którzy jak Brenda panikują i kwiczą. Zupełnie bez charakteru. Laurence Brown wyglądał jak osaczony królik.

Poczułem nagle nieokreślone współczucie.

- Biedacy - powiedziałem.

- Tak... biedacy. Ona nie będzie umiała się o siebie zatroszczyć. Mam na myśli prawników i tego typu rzeczy.

„To dziwne - pomyślałem - że przy całej swej niechęci do Brendy, troszczy się jednak o to, by miała wszelkie możliwe środki obrony”.

- Jak długo to potrwa? - zapytała.

- Nie wiem dokładnie - odparłem. - Na razie zatrzymano ich w areszcie policyjnym. Rozprawa może się odbyć za trzy, cztery miesiące, a jeżeli zapadnie wyrok skazujący, to będzie jeszcze apelacja.

- Sądysz, że ich oskarżą?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, jakie dowody ma policja. Są listy.

- Listy miłosne... byli więc kochankami?

- Kochali się.

Wyraz jej twarzy stał się jeszcze bardziej ponury.

- Nie podoba mi się to, Charlesie. Nie lubię Brendy. Dawniej naprawdę jej nie znosiłam. Obgadywałam ją. Ale teraz chcę, żeby miała wszelkie szanse. Aristide by sobie tego życzył. Czuję, że muszę dopilnować, by Brenda miała wszelkie środki do obrony.

- A Laurence?

- Och, Laurence! - Niecierpliwie wzruszyła ramionami. - Mężczyźni muszą troszczyć się o siebie sami. Ale Aristide nie wybaczyłby nam, gdybyśmy... - nie dokończyła zdania. Spojrzała na zegarek. - No, już pora na lunch. Wracajmy.

Wyjaśniłem, że jadę do miasta.

- Samochodem?

- Tak.

- Hm. Może mógłbyś mnie z sobą zabrać?

- Oczywiście, ale chyba Magda i Sophia jadą do miasta po lunchu. Ich samochód jest dużo wygodniejszy.

- Nie chcę jechać z nimi. Zabierz mnie i nie gadaj o tym za wiele.

Byłem zaskoczony, ale o nic nie pytałem. Po drodze niewiele rozmawialiśmy. W końcu zapytałem, gdzie ją wysadzić.

- Na ulicy Harley.

Była to słynna ulica gabinetów lekarskich. Zaczynałem rozumieć, ale nic nie mówiłem.

- Zresztą nie, jest jeszcze za wcześnie - ciągnęła. - Podrzucić mnie do Debenhams. Zjem tam lunch i potem udam się na ulicę Harley.

- Mam nadzieję... - zacząłem.

- Dlatego właśnie nie chciałam jechać z Magdą. Ona przesadnie dramatyzuje.

- Przykro mi - powiedziałem.

- Zupełnie niesłusznie. Miałam dobre życie. Bardzo dobre. - Uśmiechnęła się. - I jeszcze się nie skończyło.

## 23.

Od kilku dni nie widziałem się z ojcem. Kiedy przyszedłem, był jednak zajęty jakąś inną sprawą, więc ruszyłem na poszukiwanie Tavernera.

Inspektor miał akurat trochę wolnego czasu i wyszedł ze mną na drinka. Pograttulowałem mu wyjaśnienia sprawy. Przyjął moje gratulacje, ale jego nastrój był daleki od triumfu.

- Tak, skończone - powiedział. - Nikt nie może zaprzeczyć, że sprawa jest zamknięta.

- Sądzisz, że zapadnie wyrok skazujący?

- Trudno powiedzieć. Dowody są poszlakowe. Dużo zależy od tego, jakie wrażenie zrobią oskarżeni na sędziach.

- A listy?

- Na pierwszy rzut oka są bardzo obciążające. Pełno w nich napomknień o wspólnym życiu po śmierci męża. Zdania typu: „To nie potrwa długo”. Ale obrońca może je także wykorzystać; mąż był tak stary, że mogli spodziewać się jego rychłej śmierci. Nie ma wzmianki o otruciu, ale pewne fragmenty mogą o tym świadczyć. Wszystko zależy od tego, kto będzie sędzią. Jeżeli stary Carberry, to wyrok pewny. Jest bardzo surowy w stosunku do zakazanej miłości. Przypuszczam, że bronił będzie Humphey Kerr. Jest w takich sprawach wspaniały, ale zawsze czegoś chce, co by mu pomogło, na przykład chwalebnej służby dla kraju. Człowiek uchylający się od służby wojskowej nie przypadnie mu do gustu. Pytanie, jak ustosunkują się do nich przysięgli. Z nimi nigdy nic nie wiadomo. Wiesz, Charlesie, ta para nie jest specjalnie sympatyczna. Przystojna kobieta, która poślubiła starszaka dla pieniędzy, i Brown - neurotyk uchylający się od służby wojskowej. Przestępstwo przywodzi na myśl znajomy schemat. Oczywiście mogą uznać, że on to zrobił bez jej wiedzy albo odwrotnie. Ale równie dobrze mogą oskarżyć ich, że dokonali zbrodni wspólnie.

- A jakie jest twoje zdanie? - zapytałem. Zwrócił ku mnie pozbawioną wyrazu twarz.

- Nie mam swojego zdania. Przedstawiłem fakty prokuratorowi i to on zdecydował. To wszystko. Wykonałem swój obowiązek. Teraz już wiesz.

Nadal nie wiedziałem. Widziałem za to, że z jakiegoś powodu Taverner jest nieszczęśliwy.

Trzy dni później mogłem wreszcie zwierzyć się ze swego niepokoju ojcu. On sam nie wspominał o sprawie. Było między nami jakieś napięcie i sądziłem, że znam jego przyczynę.

- Musimy to wyjaśnić do końca - powiedziałem, chcąc przełamać tę barierę. - Taverner nie jest usatysfakcjonowany i ty też nie.

Ojciec potrząsnął głową. Powiedział to samo, co inspektor:

- Sprawa nie jest już w naszych rękach. Nie ma już żadnych pytań, na które trzeba odpowiedzieć.

- Ale ani ty, ani Taverner nie uważacie, że są winni.

- O tym zdecydują sędziowie.

- Na miłość Boską! - wybuchnąłem. - Nie rozmawiaj ze mną jak prawnik. Ja chcę wiedzieć, co ty sądzisz, co obaj sądzicie prywatnie, a nie jako przedstawiciele prawa.

- Moja osobista opinia jest tyle warta co twoja, Charlesie.

- Jest lepsza. Masz doświadczenie.

- Zatem będę z tobą szczery... po prostu nie wiem.

- Mogą być winni?

- O, tak

- Ale nie masz pewności? Ojciec wzruszył ramionami.

- Skąd mogę mieć pewność?

- Nie oszukuj mnie, tato. Bywałeś pewny. Na sto procent

- Czasami tak. Nie zawsze.

- Żałuję, że nie masz teraz takiej pewności.

- Ja też.

Przez chwilę milczeliśmy. Myślałem o tych dwóch postaciach przemykających się ukradkiem przez mroczny ogród. Były samotne, ścigane, przerażone. Czy tak objawiają się wyrzuty sumienia?

Nie byłem przekonany. Oboje, Brenda i Laurence, obawiali się życia, nie mieli pewności siebie, nie potrafili bronić się i zdawali sobie sprawę z tego, że wszyscy będą patrzeć na to morderstwo przez pryzmat zakazanej miłości i oskarżać ich.

Pierwszy odezwał się ojciec. W jego głosie wyczułem powagę, ale i życzliwość.

- Musisz to przyznać przed samym sobą, Charlesie - powiedział. - Nadal czujesz, że winny tej zbrodni jest ktoś z rodziny Leonidesów?

- Chyba nie. Tylko zastanawiam się...

- Myślisz tak. Sądzę, że tak właśnie myślisz.

- Tak.

- Dlaczego?

- Ponieważ - starałem się uporządkować myśli - ponieważ oni sami tak myślą.

- Sami tak myślą? To interesujące. Bardzo interesujące. Czy chodzi ci o to, że się nawzajem podejrzewają, czy też, że wiedzą, kto to zrobił?



- Nie jestem pewien. To wszystko jest niejasne. Trzymają wiedzę dla siebie.

- Taak... - potwierdził z zadumą ojciec.

- Tylko w przypadku Rogera wszystko jest jasne. On po prostu nienawidzi Brendy i wierzy całym sercem, że to ona. Lubię przebywać z Rogerem, bo nie kryje swych podejrzeń i mówi wprost to, co myśli.

- A reszta?

- Pozostali są niespokojni. Kazał mi dopilnować, żeby Brenda miała wszelkie możliwości obrony... Dlaczego?

- Ponieważ tak naprawdę nie wierzą, że jest winna... - odparł ojciec. - Na to wygląda.

Potem zapytał cicho:

- Kto mógł to zrobić? Rozmawiałeś ze wszystkimi. Kto jest najbardziej prawdopodobny?

- Nie wiem - stwierdziłem. - I to doprowadza mnie do szału. Żadne z nich nie wygląda na mordercę, a jednak czuję, że ktoś nim jest.

- Sophia?

- Nie. Dobry Boże, nie!

- Ta możliwość nie daje ci spokoju... tak, nie zaprzeczaj. I to tym silniej, im bardziej z nią walczysz. Co z innymi? Philip?

- Motyw jest zbyt naciągany.

- Motywy mogą być różne, nawet absurdalne. Co to za motyw?

- Jest chorobliwie zazdrosny o Rogera... zawsze był. To, że stary Leonides wolał Rogera, doprowadzało go do pasji. Roger był bliski bankructwa, a ojciec obiecał postawić firmę na nogi. Przypuśćmy, że Philip się o tym dowiedział. Gdyby staruszek zmarł natychmiast, nie byłoby już ratunku dla Rogera. Och, wiem, że to absurdalne...

- Wcale nie. Zdarzają się takie rzeczy. To ludzkie. A co z Magdą?

- Jest dziecinna. Nie ma wycucia proporcji. Ale nigdy nie podejrzewałbym jej o związek ze zbrodnią, gdyby nie ta nagła decyzja o wysłaniu Josephine do Szwajcarii. Nie mogę się pozbyć uczucia, że ona się bała tego, co ten dzieciak mógłby wiedzieć...

- A potem Josephine dostała po głowie?

- Nie mogła tego zrobić matka!

- Dlaczego nie?

- Ależ tato, matka nie mogłaby...

- Jesteś idealistą, Charlesie. Czy nigdy nie czytałeś kronik policyjnych? Raz po raz zdarza się, że matka nie kocha jednego ze swoich dzieci. Tylko jednego - pozostałe może

uwielbiać. Są zapewne jakieś przyczyny, ale trudno je odkryć. To się czasem objawia, to niezrozumiała awersja. Bardzo silna.

- Nazywała Josephine odmieńcem - przyznałem niechętnie.

- Czy dziecko zwracało na to uwagę?

- Chyba nie.

- Kto jeszcze? Roger?

- Roger nie zamordował ojca. Tego jestem pewien.

- Zatem skreślamy go z listy podejrzanych. Jego żona... jak jej na imię... Clemency?

- Tak - powiedziałem. - Jeżeli zabiła starego Leonidesa, to miała dziwny powód.

Opowiedziałem mu o rozmowie z Clemency i jej pragnieniu zabrania Rogera z Anglii, co mogło doprowadzić do otrucia teścia.

- Przekonała Rogera, że powinni wyjechać bez wiedzy ojca. Ale staruszek to odkrył i postanowił uratować Associated Catering. Nadzieje i plany Clemency legły w gruzach. A ona naprawdę szalenie kocha Rogera... wręcz bałwochwalczo.

- Powtarzasz słowa Edith de Haviland!

- Tak. A Edith jest kolejną osobą, która mogła to zrobić. Tylko nie wiem, dlaczego. Wiem jedynie, że gdyby miała wystarczający powód, toby to zrobiła. To taki typ człowieka.

- I właśnie ona niepokoi się, czy Brenda będzie miała wszelkie możliwości obrony?

- Tak. Może to wyrzuty sumienia. Gdyby to zrobiła, nie chciałaby, żeby oskarżono kogoś niewinnego.

- Prawdopodobnie nie. Ale czy uderzyłaby w głowę dziecko?

- Nie - odpowiedziałem powoli. - Nie wierzę w to. To mi się kojarzy z czymś, co powiedziała Josephine, ale nie mogę sobie przypomnieć, co to było. Umknęło mi. Pamiętam jednak, że do czegoś nie pasowało. Gdybym tylko mógł sobie przypomnieć...

- Mniejsza z tym. Przypomnij sobie. Coś jeszcze chodzi ci po głowie?

- Tak - odparłem. - Bardzo wiele. Co wiesz na temat dziecięcego paraliżu? Czy może mieć wpływ na osobowość?

- Eustace?

- Tak. Im więcej o tym myślę, tym bardziej mi pasuje. Jego niechęć i uraza do dziadka. Jego zmienne nastroje. On nie jest normalny. - To jedyna osoba w rodzinie - ciągnąłem - która mogłaby uderzyć Josephine, jeżeli coś o nim wiedziała, a jest bardzo prawdopodobne, że wiedziała. Ta smarkula wie o wszystkim. Zapisuje to w małej książeczce...

Nagle zamilkłem, albowiem dotarło do mnie coś, co powinno być oczywiste.

- Dobry Boże - powiedziałem. - Ależ jestem głupcem!

- O co chodzi?

- Wiem już, co mi się nie zgadzało. Założyliśmy, Taverner i ja, że ktoś przetrząsnął pokój Josephine w poszukiwaniu listów. Sądziłem, że jakoś je zdobyła i schowała za zbiornikiem na wodę. Ale kiedy z nią potem rozmawiałem, powiedziała wyraźnie, że ukrył je tam Laurence. Widziała, jak wychodził z tego pomieszczenia, weszła tam i odkryła listy. Potem je oczywiście przeczytała. Ale nie zabrała ich z sobą.

- No i?

- Nie rozumiesz? W pokoju Josephine nie szukano listów. To musiało być coś innego.

- A to coś...

- To mała czarna książeczka, w której Josephine zapisuje swoje „dedukcje”. Tego szukano! I myślę, że nie znaleziono. Josephine ma ją nadal. A skoro tak...

Wstałem.

- Skoro tak - dokończył za mnie ojciec - to nadal nie jest bezpieczna. To zamierzałeś powiedzieć?

- Tak. Niebezpieczeństwo będzie jej zagrażać, dopóki nie wyjedzie do Szwajcarii. Planują ją tam wysłać.

- A ona chce jechać? Zastanowiłem się nad tym.

- Chyba nie.

- Zatem prawdopodobnie nie pojedzie - zauważył ojciec. - Ale masz rację odnośnie niebezpieczeństwa. Powinieneś tam wrócić.

- Eustace?! - zawołałem despreacko. - Clemency?!

- Według mnie fakty wskazują wyraźnie jeden kierunek. Dziwię się, że tego nie dostrzegasz. Ja...

W drzwiach ukazał się Glover.

- Przepraszam, panie Charlesie. Telefon. Mówi panna Leonides z Swinly Dean. To pilne.

Wyglądało to jak koszmarna powtórka. Czyżby Josephine znów padła ofiarą zamachu? I czy morderca tym razem nie popełnił błędu...?

Pośpieszyłem do telefonu.

- Sophia? Tu Charles.

W jej głosie była rozpacz.

- To się nie skończyło. Morderca jest tu nadal.

- Co masz do licha na myśli? Co się stało? Czy coś... z Josephine?

- Nie. Tym razem niania.

- Niania?

- Tak, Josephine nie wypła kakao. Zostawiła je na stole w holu. Niania pomyślała, że szkoda, by się zmarnowało i wypła.

- Biedna niania. Czy bardzo z nią źle? Głos Sophii załamał się.

- Och, Charlesie, ona nie żyje.

## 24.

„Znowu powrócił koszmar” - pomyślałem, jadąc wraz z Ta-yernerem do Swinly Dean. Było to jak powtórka wcześniejszej podróży.

Taverner kłął, ja natomiast powtarzałem bezmyślnie:

- Więc to nie Brenda i Laurence. Nie Brenda i Laurence...

Czy kiedykolwiek wierzyłem w ich winę? Byłem zadowolony, mogąc tak myśleć. W ten sposób uciekałem od innych, gorszych możliwości...

Zakochali się w sobie. Pisali głupie, sentymentalne listy. Żywili nadzieję, że stary mąż Brendy wkrótce umrze spokojnie i szczęśliwie, chociaż wątpię, czy rzeczywiście pragnęli jego śmierci. Miałem uczucie, że tęsknota i nieszczęśliwa miłość odpowiadały im lepiej niż zwyczajne małżeńskie życie razem. Brenda nie wydawała mi się namiętna. Była na to zbyt anemiczna i apatyczna. Pragnęła romantyzmu. A Laurence to człowiek, który woli frustrację i mgliste marzenia od realnego, satysfakcjonującego życia

Złapano ich w pułapkę i przerażeni, nie mieli dość sprytu, by się z niej wydostać. Laurence był tak niewiarygodnie głupi, że nie zniszczył nawet listów Brendy. Ona prawdopodobnie zniszczyła jego listy, bo ich nie znaleziono. I to nie Laurence umieścił marmurowy posążek na drzwiach pralni. Zrobił to ktoś inny, ktoś kogo twarz nadal ukrywała się za maską.

Dojechaliśmy. W holu powitał nas nie znany mi mężczyzna, który zsalutował Tavernerowi.

Moją uwagę przyciągnął piętrzący się pod ścianą stos bagaży. Wyglądały na gotowe do wyjazdu. Po schodach zeszła Clemency. Miała na sobie czerwoną sukienkę, tweedowy płaszcz i czerwony filcowy kapelusz.

- Jesteś na czas, by się pożegnać, Charlesie - powiedziała.

- Wyjeżdżacie?

- Spędzimy noc w mieście. Nasz samolot odlataje wcześniej rano.

Była cicha i uśmiechnięta, ale oczy miała czujne.

- Ale na pewno nie będziecie teraz mogli wyjechać.

- Dlaczego? - Jej głos stwardniał.

- Po jej śmierci...

- Nie mamy nic wspólnego ze śmiercią niani.

- Może nie. Ale jednak...

- Dlaczego mówisz „może nie”? Nie mamy z tym nic wspólnego. Zaraz po śniadaniu poszliśmy na górę i przez cały ten czas, gdy kakao znajdowało się na stole, nie schodziliśmy na dół. Byliśmy zajęci pakowaniem.

- Możesz to udowodnić?

- Ja zaświadczę za Rogera, a Roger za mnie.

- To za mało... Nie zapominaj, że jesteście mężem i żoną.

Wybuchnęła gniewem.

- Jesteś niemożliwy! Roger i ja wyjeżdżamy po nowe życie. Po co, do diabła, mielibyśmy truć miłą, głupią staruszkę, która nigdy nie zrobiła nam nic złego?

- Możliwe, że to nie ją chcieliście otruć.

- Jeszcze mniejsze prawdopodobieństwo, byśmy mieli truć dziecko.

- To zależy od dziecka, czyż nie?

- Co masz na myśli?

- Josephine nie jest zwyczajnym dzieckiem. Wie dużo o ludziach. Ona...

Przerwałem, bo z salonu wyłoniła się Josephine. Jadła oczywiście jabłko, a jej oczy błyszczały jak u podeksytowanego gnoma.

- Otruto nianię - powiedziała. - Tak jak dziadka. To strasznie podniecające, prawda?

- Nie martwi cię to? - zapytałem surowo. - Lubiałaś ją przecież?

- Niespecjalnie. Ciągle mnie o coś łajała.

- Czy ty nikogo nie lubisz? - zapytała Clemency. Josephine spojrzała na nią wzrokiem upiora.

- Kocham ciocię Edith - odpowiedziała. - Bardzo kocham ciocię Edith. I mogłabym kochać Eustace'a, gdyby nie był dla mnie taki okropny i gdyby interesowało go dochodzenie, kto to zrobił.

- Lepiej przestań dochodzić różnych rzeczy - poradziłem jej. - To nie jest bezpieczne.

- Niczego już nie muszę dochodzić - odparła Josephine. - Wiem.

Na moment zapadła cisza. Oczy Josephine, uroczyście i nieruchome, wpatrywały się w Clemency. Do moich uszu dotarł odgłos głębokiego westchnienia. Odwróciłem się. W połowie schodów stała Edith de Haviland, ale to nie jej westchnienie słyszałem. Dźwięk dobiegł z za drzwi, z których przed chwilą wyszła Josephine.

Podszedłem do nich szybko i rozwarłem je szeroko. W pokoju nie było nikogo.

A jednak czułem się poważnie zaniepokojony. Ktoś stał za tymi drzwiami i usłyszał słowa Josephine. Wróciłem do dziewczynki i ująłem ją za ramię. Jadła spokojnie jabłko i

patrzyła bez emocji na Clemency. Wyczułem, że za tą powściągliwością kryje się złośliwa satysfakcja.

- Chodź, Josephine - powiedziałem. - Musimy porozmawiać.

Wiedząc, że mała może protestować, starałem się działać z zaskoczenia i zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, byliśmy już w korytarzu. Na siłę zaciągnąłem ją do części domu należącej do jej rodziny, gdzie mogliśmy porozmawiać bez świadków. Sprawdziwszy, czy nikogo nie ma w pobliżu, zamknąłem drzwi, posadziłem ją na krześle, a sam usiadłem naprzeciwko niej.

- Teraz, Josephine - zacząłem - wychodzimy z cienia. Co dokładnie wiesz?

- Dużo rzeczy.

- Nie wątpię w to. Twoja głowa musi pękać od nadmiaru informacji związanych i nie związanych z tematem. Ale wiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Oczywiście, że tak. Nie jestem głupia.

Nie wiem, czy była to aluzja do mnie, czy do policji, ale postanowiłem nie zwracać na to uwagi.

- Wiesz, kto zatrul kakao? - zapytałem.

Kiwnęła głową.

- Wiesz, kto zamordował dziadka?

Ponownie kiwnęła głową.

- Zatem powiesz mi to natychmiast

- Nie.

- Będziesz musiała. Każda informacja, którą wyniuchałaś, musi być przekazana policji.

- Nic nie powiem policji. To głupcy. Myślą, że zrobiła to Brenda... lub Laurence. Ja nie byłam taka głupia. Doskonale wiem, kto to zrobił. Miałam cały czas podejrzenia, ale zrobiłam test i teraz wiem, że się nie mylę. Zakończyła z nutą triumfu w głosie.

- Posłuchaj, Josephine, jesteś wyjątkowo inteligentna. - Wyglądała na zadowoloną z komplementu. - Ale co ci z tego przyjdzie, jeśli nie dożyjesz momentu chwały? Czy nie widzisz, ty mały głuptasio, że dopóki trzymasz wszystko w tajemnicy, jesteś w ciągłym niebezpieczeństwie?

Josephine kiwnęła aprobująco głową.

- Oczywiście, że jestem.

- Dwa razy ci się udało, chociaż pierwsza próba wyeliminowania cię nieomal się powiodła. Druga kosztowała życie nianie. Czy nie rozumiesz, że jeżeli będziesz paradować po

domu i obwieszczać gromkim głosem, iż wiesz, kto jest mordercą, to będą kolejne próby zamachu na twoje życie i zginiesz ty albo ktoś inny. Niewiele ją to wzruszyło.

- W niektórych książkach ludzie giną jeden po drugim - stwierdziła wyniośle - aż w końcu policja łapie mordercę, bo jest on jedyną osobą, która pozostaje przy życiu.

- To nie jest kryminał. To Trzy Szczyty w Swinly Dean, a ty jesteś małą dziewczynką, która się naczytała za dużo powieści kryminalnych. Powiesz mi, co wiesz, choćbym miał tobą potrząsać aż powypadają ci zęby.

- Mogę ci powiedzieć nieprawdę.

- Możesz, ale tego nie zrobisz. Na co ty właściwie czekasz?

- Nic nie rozumiesz - odparła Josephine. - Może nigdy nie powiem. Może lubię tę osobę.

Zrobiła pauzę, bym mógł się nad tym zastanowić

- A jeżeli powiem - ciągnęła - to zrobię to w odpowiedniej chwili i w odpowiedni sposób. Wszyscy będą siedzieli wokół mnie i słuchali. Opowiem im wszystko od początku ze szczegółami, a na koniec zawołam nagle: „I to byłeś ty...”

Wskazała palcem prosto na wchodzącą do pokoju Edith de Haviland.

- Włóż ten ogryzek do kosza na śmieci, Josephine - powiedziała staruszka. - Masz chusteczkę? Lepią ci się palce. Zabieram cię na przejażdżkę. - Spojrzała znacząco w moje oczy. - Tak będzie dla ciebie bezpieczniej. - Ponieważ Josephine wyglądała buntowniczo, dodała: - Pojedziemy do Longbridge na lody.

Oczy Josephine rozjaśniły się.

- Weź kapelusz, płaszcz i granatowy szal. Jest zimno. Charlesie, czy mógłbyś z nią pójść? Nie chcę, żeby pozostawała sama, a mam jeszcze kilka rzeczy do napisania.

Usiadła za biurkiem, a ja eskortowałem Josephine do jej pokoju. Nawet bez ostrzeżenia Edith przyssałbym się do niej jak pijawka.

Byłem przekonany, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Kiedy Josephine skończyła przygotowania do przejażdżki, do pokoju weszła Sophie. Mój widok zaskoczył ją.

- Cóż to, Charlesie. Bawisz się w niańkę? Nie wiedziałam, że tu jesteś.

- Jadę do Longbridge z ciocią Edith - poinformowała Josephine z ważną miną. - Będziemy jeść lody.

- Brr. W taki chłodny dzień?

- Lody są zawsze pyszne - odparła Josephine. - Kiedy ci zimno od wewnątrz, zdaje się, że na zewnątrz jest cieplej.



Sophia zmarszczyła brwi. Zaniepokoiła mnie jej bladość i cienie pod oczami.

Wróciliśmy do saloniku. Edith akurat zbierała ze stołu koperty. Podniosła się energicznie i ruszyła w stronę drzwi.

- Możemy jechać - oznajmiła. - Poprosiłam Evansa, by podstawił samochód.

Przeszła do holu. Podążyliśmy za nią.

Mój wzrok ponownie przyciągnęła sterta bagażu pod ścianą. Z jakiegoś powodu wyzwalała ona we mnie niepokój. Kiedy wyszliśmy przed dom, Edith przystanęła i rozejrzała się wokół.

- Zupełnie przyjemny dzień - zauważyła, wciągając rękawiczki i wpatrując się w niebo.

- Zimny, ale orzeźwiający. Prawdziwy angielski jesienny dzień. Spójrzcie, jak pięknie wyglądają nagie gałęzie drzew na tle nieba... ostatnie złote liście...

Przez chwilę milczała, wreszcie odwróciła się i ucałowała Sophie.

- Do widzenia, kochanie - powiedziała. - Nie martw się za bardzo. Pewne rzeczy trzeba przetrwać. Chodź, Josephine - zwróciła się do małej i wsiadła do samochodu.

Dziewczynka zajęła miejsce obok niej.

Pomachały nam i samochód odjechał.

- Myślę, że ona ma rację - zauważyłem - i że lepiej, by Josephine znalazła się na razie z dala od domu. Ale musimy zmusić ją do powiedzenia tego, co wie.

- Prawdopodobnie nic nie wie, tylko popisuje się. Josephine lubi czuć się ważna, wiesz przecież.

- To coś więcej. Czy wiedzą już, czym zatruto kakao?

- Prawdopodobnie była to digitalina. Ciocia Edith zażywa ją na serce. Miała w pokoju pełną butelkę. Teraz jest pusta.

- Powinna trzymać ją w zamknięciu.

- Zamykała ją. Ale chyba nietrudno było znaleźć klucz.

- Kto to zrobił? Kto? - Popatrzyłem na stos bagażu i nagle powiedziałem bardzo głośno:

- Nie mogą wyjechać. Nie wolno im na to pozwolić.

Sophia wyglądała na zaskoczoną.

- Roger i Clemency? Charlesie, chyba nie myślisz...

- A co ty myślisz?

Sophia rozłożyła ręce w bezradnym geście..

- Nie wiem, Charlesie - wyszeptła. - Wiem tylko, że powrócił... koszmar...

- To samo pomyślałem, jadąc tu z Tavernerem.

- To naprawdę jak koszmary sen. Poruszam się między ludźmi, których znam, widzę ich twarze, a te twarze nagle się zmieniają... i to nie są ludzie, których znam... to obcy... okrutni obcy...

Rozplakała się.

- Chodźmy stąd, Charlesie... gdziekolwiek... choćby do ogrodu. Tam jest bezpieczniej...  
Boję się przebywać w tym domu...

## 25.

Spacerowaliśmy po ogrodzie aż do zmierzchu, rozmawiając o wszystkim z wyjątkiem ostatnich wydarzeń. Na mocy milczącego porozumienia omijaliśmy temat, jakby chcąc zapomnieć o horrorze, który nad nami wisiał. Sophia opowiadała mi o zmarłej niani, o tym jak się z nią bawili w dzieciństwie i jak opowiadała im bajki o ojcu, Rogerze i pozostałym rodzeństwie.

- Byli jej dziećmi, wiesz. Wróciła do nas podczas wojny, gdy Josephine była niemowlęciem, a Eustace zabawnym małym chłopcem.

Te wspomnienia były jak balsam dla jej cierpiącej duszy, toteż zachęcałem ją do nich, wypytując o różne sprawy z przeszłości. Wciąż jednak nie mogłem przestać myśleć o tym, co robi teraz Tavemer. Przypuszczałem, że przesłuchiwał domowników. Na podjeździe dostrzegłem policyjny samochód, który przywiózł fotografa, a w chwilę później nadjechała karetka.

My zaś nadal wędrowaliśmy po ogrodzie rozmawiając, a słowa coraz bardziej maskowały nasze prawdziwe myśli.

W końcu Sophie dała sygnał do powrotu.

- Musi być bardzo późno - powiedziała. - Zrobiło się ciemno, trzeba wracać. Ciocia Edith i Josephine powinny już tu być...

Obudził się we mnie nieokreślony niepokój. Co się mogło stać? Dlaczego ich jeszcze nie ma? Czyżby Edith celowo przetrzymała dziecko z dala od domu?

Weszliśmy do środka Sophia pozaciągała zasłony. Ogień płonący na kominku oświetlał swoim blaskiem cały salon, przywodząc na myśl spokój i harmonię minionych lat.

Sophia zadzwoniła i pokojówka z góry podała herbatę. Miała zaczerwienione oczy i bez przerwy pociągała nosem. Zauważyłem również, że rozglądała się dookoła przerażonym wzrokiem.

Po chwili dołączyła do nas Magda. Philip jak zwykle pił herbatę w bibliotece. Matka Sophii grała tym razem rolę skamieniałego posągu żalu. Prawie wcale się nie odzywała.

Raz tylko zapytała, myśląc wyraźnie o czymś innym:

- Gdzie Edith i Josephine? Już późno.

Stawałem się coraz bardziej niespokojny. Dowiedziałem się od Magdy, że Taverner jest nadal w domu, i postanowiłem go odszukać. Powiedziałem mu, że niepokoję się o pannę de Haviland i dziecko.

Natychmiast wydał przez telefon odpowiednie polecenia.

- Powiem ci, gdy będą jakieś nowiny - obiecał. Podziękowałem mu i wróciłem do salonu. Zostałem tam

Sophię i Eustace'a. Magdy już nie było.

- Taverner da nam znać - oznajmiłem.

- Coś się stało, Charlesie - powiedziała cicho Sophia. - Coś się musiało stać.

- Kochanie, nie jest jeszcze tak późno.

- Czym się przejmujecie? Prawdopodobnie poszły do kina - rzekł beztrząs Eustace i wyszedł z pokoju.

- Mogła zabrać Josephine do hotelu - powiedziałem do Sophii. - Zdawała sobie sprawę z tego, że dziecko jest w niebezpieczeństwie... pewnie rozumiała to lepiej od nas.

Sophia popatrzyła na mnie ze smutkiem, którego nie potrafiłem rozszyfrować.

- Pocałowała mnie na do widzenia...

Nie bardzo wiedziałem, co miała na myśli, wypowiadając tę uwagę bez związku.

- Czy Magda bardzo się martwi? - zapytałem.

- Matka? Nie, Ona nie ma wycucia czasu. Czyta nową sztukę Vavesoura Jonesa. To zabawna sztuka o morderstwie, ściągnięta z „Arszeniku i starych koronek”. Według mnie jest tam dobra rola kobieca. Bohaterka maniacko pragnie zostać wdową.

Nie skomentowałem tego. Siedzieliśmy w milczeniu, udając, że czytamy.

Wpół do szóstej do salonu wszedł Taverner. Wyraz jego twarzy nie wróży\* nic dobrego.

- I co? - zapytała Sophia.

- Przykro mi, ale mam złe wieści. Rozesłałem ludzi na poszukiwanie tego samochodu. Ktoś zgłosił, że widział wóz z takim numerem rejestracyjnym, skręcający w las na drodze do Flackspur Heath. Znaleźliśmy go w kamieniołomie. Obie pasażerki nie żyją. Zginęły na miejscu.

- Josephine! - W drzwiach stała Magda. Jej głos przeszedł w płacz. - Josephine... moje maleństwo.

Sophia podeszła i objęła ją ramionami.

- Poczekajcie chwilę - powiedziałem. Przypomniałem sobie coś. Edith de Haviland napisała kilka listów w saloniku i wyszła z nimi do holu, ale nie miała ich ze sobą, wsiadając do auta.

Pośpieszyłem w kierunku długiej dębowej skrzyni. Znalazłem listy za mosiężnym dzbankiem.

Pierwszy z wierzchu zaadresowany był do Tavernera.

Podaliśmy mu list, a on rozdarł kopertę. Stojąc za nim przeczytałam:

*Oczekuję, że zostanie to otwarte po mojej śmierci. Nie będę zagłębiać się w szczegóły, ale przyjmuję na siebie pełną odpowiedzialność za śmierć Aristide Leonidesa i Janet Rowe (niani). Zapewniam uroczyście, że Brenda Leonides i Laurence Brown są niewinni. Doktor Michael Chavasse, mieszkający przy ulicy Harley 738, potwierdzi, że zostało mi zaledwie kilka miesięcy życia. Wolę odejść w ten sposób, by dwoje niewinnych ludzi nie zostało skazanych za morderstwo, którego nie popełnili. Jestem zdrowa na umyśle i w pełni świadoma tego, co piszę.*

*Edith Elfrida de Haviland*

Kiedy skończyliśmy czytać, Taverner podał list Sophii, która błyskawicznie przeleciała go wzrokiem, po czym spojrzała na nas i wyszeptała:

- Ciocia Edith...

Przypomniałem sobie, jak panna de Haviland bezlitośnie rozgniotła obcasem powój. Przypomniałem sobie swoje wcześniejsze, fantazyjne podejrzenie. Ale dlaczego...

Zanim zdołałem sformułować tę myśl, Sophia już ją wypowiedziała.

- Ale dlaczego Josephine? Dlaczego ją z sobą zabrała?

- Dlaczego w ogóle popełniła te zbrodnie? Jaki miała motyw?

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że trzymam w dłoni drugi list. Zobaczyłem na nim własne nazwisko. Nagle wszystko zrozumiałem.

Był grubszy i twardszy niż poprzedni. Wiedziałem, co w nim jest, jeszcze zanim go otworzyłem. Kiedy rozdarłem kopertę, wypadła z niej mała czarna książeczka Josephine. Podniosłem ją z podłogi. Otworzyła się sama na pierwszej stronie...

Z oddali dobiegł mnie głos Sophii, był wyraźny i opanowany.

- Myliliśmy się - powiedziała. - Edith nie zrobiła tego.

- Nie - przyznałem.

Sophia zbliżyła się do mnie i wyszeptała:

- To była... Josephine, tak?

Razem popatrzyliśmy na pierwszą linijkę zapisaną nieforemnym dziecięcym pismem:

- Dzisiaj zabiłam dziadka.

## 26.

Później zastanawiałem się, jak mogliśmy być tacy ślepi. Prawdę mieliśmy cały czas przed oczyma. Josephine i tylko Josephine miała wszelkie niezbędne cechy. Jej próżność, uporczywa zarozumiałość, wielokrotne powtarzanie, jaka to ona inteligentna, a policjanci głupi.

Nigdy nie brałem jej pod uwagę, ponieważ była dzieckiem. Ale dzieci również popełniają morderstwa, a ta szczególna zbrodnia miała wszelkie cechy dziecięcej psychiki. Dziadek sam podsunął jej praktyczną metodę, gotowy projekt Wszystko, co musiała zrobić, to zetrzeć odciski palców, a do tego wystarczyła jej odrobina wiedzy z kryminałów. Reszta to były zupełnie przypadkowe zachowania, wybierane na chybił trafił z różnych książek. Notesik... śledzenie... udawanie, że ma podejrzenia... upieranie się, że nic nie powie, dopóki nie będzie miała pewności...

Wreszcie zamach na samą siebie. Nieprawdopodobne przedstawienie, w wyniku którego naprawdę mogła zginąć. Ale będąc dzieckiem w ogóle nie wzięła pod uwagę takiej możliwości. Była bohaterką dramatu. Bohaterowie nie umierają. Mieliśmy wskazówkę - ślady ziemi na siedzeniu krzesła. Josephine była jedyną osobą, która musiała się wspinać na krzesło, żeby umieścić marmurowy posążek na szczycie drzwi. Widocznie kilkakrotnie pocisk chybił - o czym świadczyły ślady na podłodze - a ona cierpliwie wspinała się i umieszczała go ponownie na drzwiach, wycierając szalem odciski palców. A potem posążek uderzył ją w głowę i ledwie uniknęła śmierci.

Było to świetnie pomyślane. Odnieśliśmy wrażenie, że teraz ona stała się celem zbrodniarza! Była w niebezpieczeństwie, „wiedziała coś”, zaatakowano ją!

Zrozumiałem, że celowo ściągnęła moją uwagę na pomieszczenie ze zbiornikami. A przed wyprawą do pralni wybebeszyła swój pokój.

Ale kiedy wróciła ze szpitala i dowiedziała się, że Brenda i Laurence zostali aresztowani, musiała się poczuć rozczarowana. Sprawa była zamknięta, a ona sama nie znajdowała się już w świetle reflektorów.

Ukradła więc digitalinę z pokoju Edith, zatrula swoje kakao i zostawiła je nietknięte na stole w holu.

Czy wiedziała, że wypije je niania? Możliwe, że tak. Rano uskarżała się, że ciągle ją strofuje. Może mająca długie doświadczenie z dziećmi niania coś podejrzewała? Myślę, że wiedziała, iż Josephine nie jest całkiem normalna. Przedwcześnie rozwinięta dziewczynka nie miała poczucia moralności. Może też spotkały się w niej różne cechy dziedziczne, które Sophie nazywała „bezwzględnością w rodzinie”.

Josephine miała w sobie autorytatywną bezwzględność babki i egoizm Magdy, patrzącej na wszystko tylko ze swojego punktu widzenia. Z pewnością cierpiała też, podobnie jak Philip, z powodu piętna nieatrakcyjności, bycia odmieńcem. Wreszcie charakterystycznym przejawem jej psychiki było kręctwo, tak typowe dla starego Leonidesa. Była jego nieodrodną wnuczką, miała jego inteligencję i spryt, ale tam gdzie miłość dziadka zwracała się ku rodzinie i przyjaciołom, miłość Josephine zwracała się ku niej samej.

Pomyślałem, że stary Leonides zdawał sobie sprawę z tego, czego nie dostrzegała reszta rodziny, z tego, że Josephine może stać się źródłem zagrożenia dla siebie i innych. Dlatego nie zgadzał się na posłanie dziewczynki do szkoły. Wolał pilnować jej w domu i nakazał Sophii, by robiła to samo.

Nagła decyzja Magdy o wysłaniu córki do Szwajcarii mogła być spowodowana obawą przed tym dzieckiem. Może nie tyle świadomym strachem, co matczynym instynktem.

A Edith de Haviland zapewne najpierw coś podejrzewała, potem bała się, a w końcu wiedziała na pewno. Popatrzyłem na list, który trzymałem w dłoni.

*Drogi Charlesie. Zwierzam się tobie, a jeżeli zechcesz, możesz powiedzieć Sophii. Konieczne jest, żeby ktoś poznał prawdę. Znalazłam załączoną książeczkę w nie używanej psiej budzie na tylnym podwórku. Tam ją chowała. Te zapiski potwierdzają to, co podejrzewałam już wcześniej. Działanie, które podejmuję, może być słuszne lub złe - tego nie wiem. Ale moje życie zbliża się ku końcowi, a nie chcę, by to dziecko cierpiało, gdyby przyszło mu zdać rachunek z tego, co uczyniło.*

*Jeżeli się mylę, Bóg mi wybaczy. Zrobiłam to z miłości. Niech Bóg was błogosławi. Ciebie i Sophię. Edith de Haviland*

Przez chwilę wahałem się, ale w końcu podałem list Sophii. Kiedy go przeczytała, razem otworzyliśmy książeczkę Josep-hine.

*„Dzisiaj zabiłam dziadka”* - tymi słowami rozpoczął się ten wstrząsający pamiętnik.

Odwracaliśmy kolejne strony. Był to zdumiewający tekst. Pomyślałem sobie, że mógłby stanowić rewelacyjny materiał dla psychologa. Był pełen przerażającej klarowności i egoizmu. Motyw przestępstwa okazał się żałośnie dziecinny i zupełnie nieadekwatny do dokonanego czynu.

*Dziadek nie pozwolił mi uczyć się baletu, więc postanowiłam, że go zabiję. Wtedy zamieszkamy w centrum, a mama nie będzie miała nic przeciwko lekcjom.*

Podaję tylko kilka fragmentów. Są znaczące.

*Nie chcę jechać do Szwajcarii... nie pojadę. Jeżeli matka mnie zmusi, zabije, ja... jeżeli tylko zdobędę truciznę. Czytałam, że trujące są jakieś jagody.*

*Eustace bardzo mnie ostatnio rozgniewał. Mówi, że jestem tylko dziewczyną i głupim detektywem. Nie uważałby mnie za głupią, gdyby wiedział, że to ja popełniłam to morderstwo.*

*Lubię Charlesa, ale to głupek. Nie wiem jeszcze, na kogo rzucę podejrzenia. Może na Brendę i Laurence'a... Brenda jest paskudna... mówi, że mam nie po kolei w głowie... ale lubię Laurence'a... opowiadał mi o Charlot Korday, która zabiła kogoś w wannie... nie była za sprytna.*

Ostatni fragment wyjaśniał cel jej pisania.

*Nienawidzę niani... nienawidzę jej... nienawidzę. Mówi, że jestem tylko małą dziewczynką. Mówi, że się popisuję. Namawia matkę, by wysłała mnie za granicę... Zabije ją... Myślę, że nada się do tego lekarstwo ciotki Edith. Po kolejnym morderstwie policja wróci i znów będzie ekscytująco.*

*Niania nie żyje. Cieszę się. Nie zdecydowałam jeszcze, gdzie ukryję buteleczkę po lekarstwie. Może w pokoju Clemency, a może u Eustace'a. Kiedy będę umierać jako stara kobieta, zostawię tę książeczkę dla policji, żeby zobaczyli, jaką byłam wspaniałą przestępczynią.*

Zamknąłem książeczkę. Po twarzy Sophii płynęły łzy.

- Och, Charlesie... to takie straszne. Była monstrum, a jednak... a jednak to takie tragiczne.

Czułem to samo.

Lubiłem Josephine... Nadal czuję do niej sympatię... Nie przestaje się kogoś lubić dlatego, że ma gruźlicę lub jakąś inną chorobę. Josephine była monstrum, jak powiedziała Sophia, ale monstrum tragicznym. Urodziła się ze skazą. Przestępcze dziecko z Domu Przestępców.

- Gdyby żyła... co by się z nią stało? - zapytała Sophia.

- Chyba wysłano by ją do zakładu poprawczego lub do szkoły specjalnej, nie wiem.

Sophia wzdygnęła się.

- Lepiej, że tak się stało. Ale ciocia Edith... że wzięła na siebie winę.

- Sama dokonała wyboru. Nie sądzę, by sprawa stała się własnością publiczną. Myślę, że Brenda i Laurence po prostu nie zostaną postawieni w stan oskarżenia.



- A ty - dodałem po chwili innym tonem i ująłem ją za rękę - wyjdiesz za mnie. Właśnie dostałem przydział do Persji Pojedziemy tam razem i zapomnisz o Domu Przystępców. Twoja matka będzie wystawiać kolejne sztuki, ojciec kupi nowe książki, a Eustace wkrótce pójdzie na studia. Nie musisz się już o nich martwić. Pomyśl w końcu o sobie. No i oczywiście o mnie.

Sophia spojrzała mi prosto w oczy.

- Nie boisz się ze mną żenić?

- Dlaczego miałbym się bać? W biednej Josephine zebrały się wszystkie najgorsze cechy Leonidesów. Ty zaś posiadasz ich zalety i odwagę. Twój dziadek tak uważał, a on się nigdy nie mylił. Głowa do góry, kochanie. Przyszłość należy do nas.

- Tak, Charlesie. Kocham cię, zostanę twoją żoną i uczynię wszystko, żebyś był szczęśliwy. - Popatrzyła smutno na książeczkę. - Biedna Josephine.

- Biedna Josephine - przyznałem.

- Jaka jest prawda? - zapytał mnie ojciec, kiedy się z nim spotkałem.

Nigdy nie okłamałem Staruszka.

- To nie była Edith de Haviland - powiedziałem. - To Josephine.

Ojciec pokiwał łagodnie głową.

- Tak - wymruczał. - Podejrzewałem ją od pewnego czasu. Biedne dziecko...